



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>





50  
F. HOESICK

# TATRY I ZAKOPANE

<http://rcin.org.pl>

cz. 1. 1910

<http://rcin.org.pl>

TATRY I ZAKOPANE





FERDYNAND HOESICK

# TATRY I ZAKOPANE

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

CZEŚĆ II

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**

**00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72**

Tel. 26 60 63



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO

<http://rcin.org.pl>



ZDJĘCIA TATR, ZDOBIĄCE KSIĄŻKĘ NI-  
NIEJSZĄ, UDZIELONE ZOSTAŁY WYDAW-  
NICTWU PRZEZ ZNAKOMITEGO ARTY-  
STĘ - FOTOGRAFA I TATERNIKA, PANA  
JANA JAROSZYŃSKIEGO Z WARSZAWY.

18.607/12

CZĘŚĆ DRUGA  
OD ZEJSZNERA DO NOWICKIEGO

<http://rcin.org.pl>

## Rozdział I.

### Czasy Zejsznera i Stęczyńskiego.

(1838—1853.)

Jednym z najbardziej zasłużonych badaczy Tatr i Podhala, który już przed rokiem 1840 na lato jeździł do Zakopanego, jest bezwarunkowo Ludwik Zejszner, najznakomitszy po Staszicu geolog i mineralog polski, od roku 1829 profesor mineralogji w uniwersytecie Jagiellońskim, potem dyrektor górnictwa rzeczypospolitej krakowskiej, a wreszcie od r. 1857 profesor warszawskiej akademji medyczno-chirurgicznej. Jako autor wybitnych prac naukowych z zakresu mineralogji, geologii, paleontologji i t. p., pisanych po polsku, po niemiecku i po francusku, a prócz tego człowiek o całkiem wyjątkowej kulturze umysłowej, często bywając w Tatrach, nad którymi prowadził gruntowne studia przyrodnicze, wydał on, niezależnie od swych dzieł specjalnych, zbiór *Pieśni ludu Podhalańców*, czyli *Górali tatrów polskich*, poprzedzając zbiór ten „wiadomością o Podhalańcach”, która to wiadomość należy do najlepszych rzeczy wogóle, jakie o Tatrach i ich ludzie napisano.

## I.

Książkę tę, wydaną w Warszawie w roku 1845, poprzedza po mistrzowsku skreślona przedmowa p. t. *Rzut oka na Podhalę*. Jest to zbiór wrażeń i obserwacji, zgromadzonych w czasie parokrotnych pobytów w Tatrach i Zakopanem, począwszy od roku 1838, a służących za tło etnograficzne dla góralskich pieśni ludowych. „Czyniąc fizyczne i geologiczne poszukiwania w Tatrach — pisze Zejszner w słówku *Do czytelnika* — rad nierad często wiele dni słotnych przepędzałem w domach Podhalan i wtedy bliżej poznałem sposób życia, obyczaje, zabawy i śpiewy mieszkańców tych najwyższych gór polskich. Obudzony w literaturze naszej powszechnej interes dla pieśni ludu, spowodował mię do zbierania śpiewanek, czyli pieśni Podhalan, tak długo całkiem w piśmiennictwie naszym nieznanych. W roku 1838 zacząłem je spisywać; coraz nowe znajdowałem lat następnych...”

Pieśni te z dwóch względów głównie zasługiwały na uwagę, raz, że dają obraz wykształcenia uczuć i właściwych rysów charakteru Podhalan, a powtóre, że przyczyniają się do poznania języka góralskiego, wówczas nieznanego całkiem.

Czem najwięcej człowiek zajmuje się, co treść jego myśli stanowi, co mu rozkosz lub boleść sprawia, to w śpiewie wydaje, i dlatego wielka liczba tych piosnek odnosi się do życia pasterskiego. Najpiękniejszą część roku przepędzając wśród owych majestatycznych hal,

śpiewają o nich i przedmiotach z niemi styczność mających, o owcach i szalasach, o kozach i koniach; unoszą się nad pięknością kwiatów pokrywających wirchy. Niektóre piosnki tchną pełnem delikatności uczuciem: inne obrazami poetycznymi; są też takie, co zdradzają grube a surowe obyczaje. Do wojskowości mają wstręt niezmierny; przez nią bowiem opuszczać muszą ukochane wirchy, i lat wiele mieszkać na równinach, i pić niedobre wody. Jak wszędzie, tak i u Podhalań jest najwięcej piosnek miłosnych, z tych wiele maluje ich stanowisko moralne.

Stanowisko to niezawsze bywa zgodne z moralnością oficjalną, zarówno w piosnkach o treści miłosnej, jak w śpiewkach zbójnickich. Co pewna, że wśród kilkuset pieśni, zebranych i ogłoszonych przez Zejsznera, nie brak nader wdzięcznych. Oto np. wiązanek pieśni miłosnych, czasem tęsknych jak dumki ukraińskie, czasem pełnych humoru jak *F r a s z k i* Kochanowskiego:

Powiedz, powiedz, nie taj se,  
 Komuś dała gębusie?  
 O, nie powiem, nie powiem,  
 Bobyś mię bił, dobrze wiem.

Płaczcie oczki, płaczcie, a łzy nie puszczajcie.  
 Coście pokochały, to se poniechajcie!  
 My se zakochały jednej matki syna,  
 Bodaj nam go była cicha woda wziena.

Babo moja, babo,  
 Daj mi gębę, abo  
 Jak mi nie dasz gęby,  
 Wybije ci zęby.

Frajerecki moje, nie zazdroście sobie:  
Nieporadne rzeczy, zebyk was wziął obie.

Ty, mój kochaneczku, nie zabaczaj o mnie,  
Choć zajdziesz najdalej, pisuj listy do mnie.

Dziewczyno, dziewczyno, źle o tobie radzą:  
Wianeczek ci wezmą, czypeczek ci dadzą.

Czyli się tó chłopcze tobie zaprzedała?  
To se dam gębusię, komu będę chciała.

Miłość moja miłość, miłość ta przeklęta,  
Zamknęła mi serce na żelazne pęta.

Boli mię głowa, boli,  
Bo mój miły inną woli;  
Woli inną, a mnie nie chce,  
Kamienieje moje serce.

Mój się miły z inną śmieje,  
Moje serce kamienieje,  
Niech się śmieje, wola jego,  
Ja pokocham też innego.

Moja młodość taka płocha,  
Że się na raz we dwóch kocha;  
A ja mówię: nic w tem złego,  
Lepiej dwóch mieć, jak żadnego.

Bieda ci je, bieda, z dwiema frajerkami,  
Jedna pod okienkiem, druga za dźwierkami.

Wszyscy wyginiecie, ino ja nie zgineę,  
Schowa mnie frajerka pod swoją pierzyneę.

Bodaj cię, Janiczku, ziemia nie nosiła,  
Wzięłaś mi wianeczek, co se w nim chodziła.



Wzięłaś mi wianeczek, weźże i mnie samą,  
Bo ja bez wianeczka nie będę chodziła.

Chodźcie mnie ty nie wzięła, bez to będę żyła,  
A tobie, łajdaku, bieda będzie biła.

W lesie sobie w lesie,  
Kołyseczkę krzesze,  
Dopiero ją struga,  
Już na inną mruga.

Dworacy, dworacy, śmieję się wam w ocy,  
Całować, całować po całuskiej nocy.

Miała ja tej nocy Janiczka ładnego,  
Samo mi serduszko gadało do niego.

Hej tęskno mi, tęskno, sama nie wiem, czego?  
Bez mego Janiczka, dalekom od niego.  
Boli mię główeczka, serduszka nie czuje,  
Hej, nikt tego nie wie, z kim ja se bonuję:  
Bodaj ten człek nie żył, bodaj nie wiekował,  
Co on to kochanie na świecie fundował.  
Nie płacz, frajereczko, otrzyj sobie ocka,  
Przyjdę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

Bodaj ty dziewczyno, maliniaku zjadła,  
Coś ty Janiczkowi do serduszka wpadła.  
Chyba cię, dziewczyno, djabli malowali,  
Co do twoich licek taką krasę dali.  
Ej, dyć mię malował sam Pan Jezus z nieba,  
Bo do moich licek takiej krasy trzeba.

Całkiem w innym tonie i nastroju są „śpiewanki zbójeckie i żołnierskie“, gdyż o ile w poprzednich panowała niepodzielnie Wenus, i to mało

licząca się z etyką, o tyle tutaj przeważa nuta heroiczna, pełna kawalerskiej fantazji i animuszu. Wszystko, co góral wielbił w zbójniku i jego ideale Janosiku: odwaga, pogarda śmierci, czy to od kuli, czy na szubienicy, nieposkromiona żądza zabawy z dziewczętami, szczęście w miłości, a przede wszystkim poczucie swobody bez granic i skrupułów, wszystko to odbiło się w tych śpiewkach.

Poza buczki, poza hraść,  
Pójdziem, chłopcy, zbijać, kraść!  
Pójdziem, chłopcy, za hory  
Na liptowskie talary!

Owce moje, owce,  
Niech was pasie, kto chce;  
Ja was paść nie budziem,  
Bo ju na zbój pójdziem.

Powiadali ludzie: ze mnie zbójnik budzie.  
Jak budzie, to budzie: samym wirchem pójdzie.  
Nie będę ja gazdą, nie będę rolnikiem,  
Jeno będę chodził zbójnickim chodnikiem.  
Hej, i jak mię złapią, to ja będę wisiał,  
Na wierzchu jodełki będę się kołysał.  
Nie bój się, frajerko, choć ja na zbój pódeę,  
Jeno proś u Boga, to ja twoim budę,  
Jaworze, jaworze szerokiego liścia  
Dajże, Panie Boże, zbójnikowi szczęścia!

Zbójniku, zbójniku, masz frajerkę ładną,  
Dajże dozór na nią, bo ci ją ukradną.

Karczmareczko nasza, nie zagaszaj ognia,  
Przyjdą śwarne chłopcy, będą tańczyć do dnia.

Hej, zamku, zamku, nowo murowany,  
Siedział ja w tobie roczek okowany;  
Siedział ja, zamku, przez rok i przez tydzień,  
Nigdy ja nie widział, kiedy noc, kiedy dzień.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie,  
Jego frajereczka dobrze nie zaginie.  
Pije zbójnik, pije za ten talar bity,  
Nie płacz, frajereczko, napijesz się i ty!

Odmienna nuta dźwięczy w śpiewkach góralskich żołnierskich: ani śladu tego życiowego humoru i optymizmu, które cechują piosnki zbójec-kie. Bo co innego zbójnik, idący „zbijać, kraść“ z własnej ochoty, z własnego popędu, a co innego żołnierz, przemocą wzięty do wojska. Ze zbójnikiem w rozumieniu górala wiąże się pojęcie swobody; tymczasem żołnierka to niewola, to przymus.

Com się nauciekał, com się zimy namarzył,  
Nieszczęsny wojaczek za piecem mię znalazł.  
Kiedy mnie pożeną do Sącza białego,  
Nie żałuj, dziewczyno, talara bitego.  
Kiedy mię pożeną do Sącza, do Sącza,  
Nie żałuj, dziewczyno, talarów tysiąca.

Chowałaś mię, matko, jak pszeniczne ziarno,  
Teraześ mię dała cesarzowi darmo.

Uciekajcie chłopcy do lasu, do boru,  
Bo was będą łapać hajducy do dworu.

Werbuje, werbuje cisarska Tereska,  
Już powerbowała kany jaka wieska.

Nie płacz, matko, nie płacz, nie masz drobnych  
Ostatni syneček do wojenki leci. [dzieci,

Wogóle, jak tego pozwalają się domyślać piosnki góralskie, Podhalanin niechętnie i z obawą szedł do wojska. „Nieszczęsna to droga, co do Sącza wiedzie“, są słowa jednej piosneczki; a w drugiej powiada góral, już „okowany“ przez „stolicznych hajduków“: „przyjdzie maszerować, będzie sercu smutno“. To też, jak mogli, tak się bronili przed służbą wojskową.

Kiebyś, matko, dała białego kogutka,  
Tobyś wymieniła ze Sącza rekrutka.

O ile im uśmiechały się niebezpieczeństwa,  
związane ze zbójnictwem, o tyle do wojaczki nie  
mieli najmniejszego zapalu.

Nie budzie, nie budzie rodzineczka znała,  
Gdzie się budzie ze mnic krewka rozlewała.

Wszystko to mi, wszystko matka powiedziała:  
Nie kochaj wojaka, bo będziesz płakała.

Wojenko, wojenko, mnie wojenka służy,  
Kieby nie wojenka, wojowałbyk dłużej.

Idzie woda, idzie, dwoma potokami,  
Moja frajereczka stoi z wojakami.

Nieszczęśliwa matko, coś mię wychowała,  
Pocóżeś mię, pocó za wojaka dała?

Trąbili trębacze, a muzyczka grała,  
Mój miły wędrował, a ja jeszcze spała.

Hej, trawko zielona, kto ją będzie kosić,  
Jak pójdę na wojnę, budę szablę nosić.

Bodaj ten Nowy Sącz pioruni strzaskali,  
Żeby nam do niego chłopców nie bierali.

Jakkolwiek te pieśni, których Zejszner ogłosił 740 w swym zbiorze (z pominięciem rozwiązanych), są znakomitym przyczynkiem do psychologicznej i obyczajowej charakterystyki Podhalań, to jednak poprzedzający je „rzut oka na Podhale“, jako wynik dokładnej znajomości życia górali, znakomicie, zwłaszcza na ów czas, tę charakterystykę uzupełnia mnóstwem świetnie zaobserwowanych szczegółów zewnętrznych, które, skreślone utalentowanym piórem, czynią z Zejsznera zasłużonego poprzednika Witkiewicza, jako autora *N a p r z e ł ę c z y*.

Jak Witkiewicz, podobnie i Zejszner daje przede wszystkim dokładny opis chaty góralskiej, jakby wychodząc z założenia: „pokaż mi, jak mieszkaś, a powiem ci, kim jesteś.“ „Chata góralska — powiada Witkiewicz — od pierwszego spojrzenia wydaje się czemś pełnem charakteru, tego pierwiastku osobowości, który wyróżnia z tłumu ludzi szczególnych i rzeczy niezwykle“. Tego samego pozwala się domyślać i Zejszner, kreśląc następujący opis chaty góralskiej:

Domy góralskie i ich zabudowania gospodarskie bardzo są porządne i przyjemnego pozoru, stawiane z okrągłaków, gontami albo deskami pobite, są o dosyć wielkich oknach z czystymi szybami; nie widać tu

owych walących się lepianek, tak pospolitych wśród niw najżyźniejszych w Krakowskiem lub Mazowszu. Nie-mało ku temu porządkowi przyczyniają się znaczne lasy, lecz jednak najwięcej sprawia pracowitość i zamiłowanie porządku ich mieszkańców. Jak powierzchowność tak i wewnątrz domów ten sam porządek oznacza; pospolicie sień dzieli dom na dwie części: z jednej strony jest izba czarna, z drugiej biała, a za nią mała komórka na schowanie przeznaczona. Pierwsza, pospolicie obszerniejsza, całkiem zakopcona, prawdziwie czarna izba, ma w jednym końcu ognisko, z którego dym nie kominem, tylko po całej izbie rozchodzący się, drzwiami wychodzi; kiedy się na ognisku pali, powstaje obłok dymny, do połowy wysokości izby unoszący się, i kto nie nawykł do niego, wytrzymać tam nie może, albowiem nadzwyczajnie szczypie w oczy. Tu gotują, tu czeladź w zimie przebywa, tu ma wstęp młode cielę z krową i inne czworonożne domowe zwierzęta, bo wszystko, co żyje, garnie się do ciepła, mianowicie w tak ostrym klimacie. Z drugiej strony jest izba biała, bardzo schludna, z podłogą wybitą deskami, czysto wymytą; wokoło przymocowana ława; w jednym rogu stoi stół cisawy; na przeciwnej ścianie, na mniej lub więcej długich półkach stoją różnokolorowe talerze, miski, miseczki, nad niemi rzędy garnuszków i dzbanków pięknie polewanych, tyle prawie potrzebne, co przedmioty serwantek salonowych. W innym rogu, nad obszernem łóżkiem, licznemi pierzynami nasłanem, wiszą obrazy świętych, niezbyt pięknego pendzla. Wreszcie naprzeciw jest piec i komin wybielony. Czystość panująca w tej izbie i pewien rodzaj wygody daje miłe wyobrażenie o mieszkańcach. Tu przebywa gazda (tak nazywa się gospodarz), tu odwiedzających przyjmuje, tu odbywają się zabawy domowe. Również porządne są inne zabudowania: małe stodołki, stajnie, wozownie, ustawione są w czworobok, a w środku podwórzec, niekiedy płaskimi kamieniami wyłożony. W stajniach piękny krępy konik,

kilka krów i wołów, i stadko owiec; jest i niejeden wózek, zgrabnie a lekko wyrobiony. Przed domem pospolicie stoją zasadzone drzewa, zasłaniając go od wichrów, bo tu przed słońcem kryć się nie potrzeba; nigdy bowiem u Podhalan na zbytek ciepła uskarżać się nie można; nigdzie też nie widział jesionów (jasionami tu nazywanych) bujniejszych i weselej rosnących. Drzewo to musi znajdować najwięcej sprzyjające warunki do swojego wzrostu. Jesion nie ku samej ozdobie służy góralowi: stanowi pożyteczne, prawie niezbędne drzewo. Z jesionu sporządza on sobie zgrabne wózki i inne sprzęty. Sady bywają gdzieś gdzie przy domach, rzadko tam bowiem dojrzewają owoce. Prócz okiennych klat żelaznych, nicby tym domom zarzucić nie można.

Dorodny i inteligentny lud, zamieszkujący te domostwa, a także i strojem różniący się od mieszkańców dolin, tak opisuje Zejszner (na 50 lat przed Witkiewiczem):

Podhalanie w ogólności mocno i pięknie są zbudowani; o ile jednakże mężczyźni dorodni, o tyle kobiety są niepozorne, pospolicie wysokie, budowy kościstej, bez żadnego wdzięku, wyjątkowo tylko w niektórych wioskach znajdują się doskonałe piękności, mogące zaświecić między najpiękniejszymi kobietami. Ubiór Podhalan zastosowany do miejscowości, do wstępowania na owe góry wyniosłe, wszędzie jest jednaki. Mężczyźni noszą długie opięte spodnie z białego sukna, wyszywane z węgierską kolorową włóczką; na nogach kawał skóry zwinięty w kształcie trzewika, rzemieniem licznie okręconym do spodni przymocowany, kierzpcami nazywa się. Ten szczególny rodzaj lekkiego obuwia ma swoje zalety; chodząc bowiem po górach, zachowuje noga od natury daną giętkość, i dlatego nasi górale nie potrzebują owych ostrych żelaz, jakie w Szwajcarji do grubych, niezbyt zgrabnych trze-



wików, przypinać trzeba; kierpce nie zasłaniają nogi od wilgoci i drą się prędko; kto nie nawykł używać tego prostego obuwia, zbyt uczuje twardość kamieni. Ale Podhalanie, na największe trudy wytrzymali, inne obuwia mieniać kosztownemi, w kierpcu sobie szczególniej upodobali. Krótką koszulkę, równą połowie naszej zwyczajnej, spajają pod gardłem ogromną spinką mosiężną, kilka łutów ważącą, a ta dźwiga liczne łańcuszki. Jest to rodzaj ozdoby ulubionej od młodych juhasów czyli pasterzy owiec. Wielkim pasem z czerwonej skóry na pół łokcia i więcej szerokim przepasują się, spinając go przed sobą długim rzędem dużych, mosiężnych sprzączek. Pas ten służy za kieszenie, których nie zwykli używać, i w nim pieniądze, tytuń, skałki i inne drobnostki chowają: niekiedy wybijają go wielkimi guzikami ku większej ozdobie. Ich wierzchnią suknię stanowi gunia z grubego, brunatnego sukna, czasem białego, kroju terażniejszych paletotów, którą jakby płaszcz zawieszają, a czasami wdziewają na rękawy. Wioski odróżniają się między sobą małą obwódką na guniach z różnokolorowego sukna. Gunia tem jest krótsza im z wyższych okolic są mieszkańcy. Podczas zimy używają kożucha albo kurtki z sukna granatowego. Głowę pokrywa mały kapelusik z okrągłym denkiem, z małym kołem; kapelusik ten zamiast wstążki miewa sznurek z białych muszelek morskich. Muszelki te wysoko cenione w całej Podhalańszczyźnie, zowią kostkami. Zamiast sznurka muszelek, bywa czasem kawał skóry, wybitej w rysunki różnowzore z guzików mosiężnych.

Prócz kapeluszy, cały ubiór Podhalanie sami sobie wyrabiają. Kobiety noszą również kierpce, zaś w dni świąteczne żółte safjanowe buciki na wysokich korkach, które w pobliżu kościoła wdziewać zwykły. Dalej długa spódnica ciemnoniebieska z rzucikiem białych kwiatków; na to gunia brunatna podobna do męskiej. Włosy w wielkie warkocze zaplatają, albo białą chustką obwijają głowę. Podhalanie zwykle dorodni, wysokiego



wzrostu, są postawy szlachetnej i odważnej. Czarny włos, spadający na barki, nadaje ich podłużnym pełnym wyrazu twarzom niemało powagi.

A ich usposobienie, charakter, obyczaj? Wiele dałoby się o tem powiedzieć. W każdym razie, posiadając wiele zalet, i to wybitnych, nie są i bez wad. Zejszner nie był ślepy ani na jedne, ani na drugie.

Nie mogę mienić Podhalan wielce wstrzemięźliwymi; owszem, często w rozgrzewających napojach miarę przebierają; ale niema u nich zupełnego w tym względzie zapominania się; zawsze rachują się, oszczędzają, i są to raczej wybryki chwilowe, a nie skutek rozpuszczania się, tak niestety zgubnego u naszych włościan.

Aczkolwiek Podhalanie mieszkają w ostrym klimacie, nadzwyczajnie są żywi, weseli, pełni dowcipu, często burzliwych namiętności.

Wogóle bardzo są rozwiązli. Starając się o rękę dziewczyny, nie mają jej tego bynajmniej za złe, że istnieją niedwuznaczne zadatki jej poprzednich miłostek, i gazda chowa często jedno lub dwoje dzieci swojej żony. Pochodzi to zapewne ze szczególnego rodzaju zalecanek. Wieczorem w sobotę, zwykły wybrany przez okno włązić do swej frajerki czyli kochanki, a rano tą samą drogą wychodzi. Te odwiedziny wiadome są rodzicom, i oni bynajmniej tego im nie wzbraniają, często nawet z izby ustępują.

Rzadko gdzie więcej jak u Podhalan spostrzegać można pociągu do kształcenia się. Wogóle czytanie na książce mają w poważaniu wielkiem, a kto w kościele modli się na książce, ma pewien rodzaj wyższości. Często młode parobki służą przez rok darmo, i tylko za naukę czytania i pisania. Jeżeli który wydatniej zdatny ma chęć do nauki, a rodzice dość potemu możni, wtedy oddają go do Podolińca na Spiszu, do szkół pijarskich

przez książąt Lubomirskich ufundowanych. Tam o małej zapomodze, kończą nauki, trudniąc się uczeniem dzieci młodszych i wychodzą na uniwersytet do Lwowa, Pesztu lub Presburga. Prawie bez wyjątku poświęcają się stanowi duchownemu, i większa część księży w góralszczyźnie, Galicji, Krakowskiem, są synami Podhalan, uprawiających najbiedniejszą rolę, którzy przemyśłem i ładem oszczędzili na lepsze dzieci swoich wychowanie.

Już od pewnego czasu corocznie znaczniejsza liczba podróżnych odwiedza Tatry. Podhalanie za chlubę sobie poczytują rozmawiać z panami, i uprzejmą uniżonością i chętnością jedną ich serca. Powszechnie wychwalając swoje wirchy, zalecają wyborne wody kryniczne, pod niebiosy wnoszą żętycę, wszystkie choroby uzdrawiającą, opisują swój kraj ubogi; dalej dziwią się nad budowę pojazdu i zaprzęgiem podróżnego. Nadzwyczajnie ciekawi, wypytują się o najdrobniejsze szczegóły, nie opuszczają nigdy sposobności oświadczenia paniom, że się im podobały; często podróżni usłyszeć od nich mogą, takie wykrzykniki i zapytania: „O jak jesteście piękni! jakie macie piękne szaty! a co was to kosztuje?“ Ta naiwność obok rozsądku, prostota przy wesołości, a często dowcipu niemało, uprzyjemnia zwiedzanie tych wspaniałych wirchów.

Zdaniem Zejsznera, czasem potwierdzonem i przez Witkiewicza, zdolnościami swemi przewyższają górale o wiele innych chłopów polskich, z czego zresztą oni sami najlepiej zdają sobie sprawę:

Jak wszystkie stosunki geograficzne i przyrodzone kraju od Podhalan zamieszkałego odmienne są od pagórkowatych okolic i równin Polski, tak i charakter ich ma pewną odrębność; ci górale bowiem wykształtowali między sobą właściwe zwyczaje i obyczaje różniące ich od reszty polskich mieszkańców: mowa ich



Typy góralskie w Zakopanem.  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)

FOTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU



nawet ma liczne nieznanne gdzie indziej słowa i zwroty. Ubdarzeni od natury silnie zbudowanem ciałem a bystrym umysłem, w najnieurodzajniejszym kraju umieli sobie zabiegłością i pracą tyle środków przysposobić, że nierównie przyjemniejsze wiodą życie od włościan najżyźniejszych ziem naszych; a nadto wyrobili w sobie pojęcia ludzi, mających więcej potrzeb duchowych. Pewność posiadania swej roli, oddzielenie ich kraiku granicami gór wysokich i przykrych, od krajów sąsiednich; jałowość gruntu, ostrość klimatu, zdolności umysłowe, wszystkie te okoliczności razem wzięte, historycznie wpłynęły na wykształcenie właściwego im sposobu życia, a stosunki przyrodzone wskazały zatrudnienia, nic spólnego nie mające z mieszkańcami równin. Nadto wśród Podhalań wyrobiło się to przeświadczenie, iż są wyżsi duchem od mieszkańców, cierpiących niedostatek i nędzę wśród najżyźniejszych równin krajowych. Skąd pochodzi ich lekceważenie Łachów, którzy nawzajem górali nienawidzą, dowcipkując z ich oszczędności, z ich jałowej roli. Królowie polscy od najdawniejszych czasów góralskie kraje, niezmiernie wtedy leśne, spólnie z gruntami i halami oddali osiadłym albo osiedlanym ludziom, czyli sołtysom, z warunkiem składania pewnych danin, albo odrabiania corocznie kilku dni na zamku królewskim w Krakowie. Sołtysowie ci chowają w swych archiwach familijnych nadania królów z familji Piastów, gdzie poznać można, że ta sama rodzina przeszło pięćset lat uprawia grunta swoich przodków, na tychże halach swoje barany pasa. Każda rodzina, obrawszy z pomiędzy siebie głowę rodziny, czyli najstarszego, a zarazem zamożnego i rządowego gazdę, składa u niego swe dokumenta. Gazdy tego obowiązkiem jest bronić od krzywdy praw rodziny. W jednym z takich archiwów podhalańskich u Kalałów, widziałem w Szaflarach, wiosce niedaleko Nowego Targu leżącej, nadania Kazimierza Wielkiego, i wielu po nim następujących królów potwierdzenia lub zmiany powinności.

W mistrzowskiej powiastce Witkiewicza o Ojcu Nędzy, opowiedzianej językiem Sabały, wspomniano między innymi, jak to Stasek uplątał się w gałęziach jabłoni. „Złękło się chłopcysko, kce uciekać, a tu przywarło go do pnia, co sie z miejsca nie moze ruszyć. Raty! ludzie na świecie! Sarpie się w tyk gałęziach, jak kwicoł w sidłak, a jabłoń nie pusca.“ Ażeby zrozumieć to porównanie o kwiczole w sidłach, należy zajrzeć do książki Zejsznera, który, opisując różne sposoby zarobkowania górali w owych latach, tak pisze w tej kwestji:

W jesieni łowią bardzo znaczne ilości kwiczolów, roznoszą je daleko, aż do Warszawy, Lwowa i Wiednia. Łowy te, poczynające się w połowie października, najkorzystniejsze są w listopadzie i grudniu. Łapia kwiczoly w sidła lub sieciami zatraskującemi się. W środku sieci ustawiają mały ogródek z jałowca, w nim przywiązują chowanego kwiczola, który przelatujące wabi; ptasznik zaś czatuje w małej chatce z zielonej świerczyny i z niej sieć zaciąga. Chociaż łapanie kwiczolów bardzo jest proste, przecież trzeba mieć dość po temu wprawy, gdyż ptaki te bardzo są lękliwe.

W dni świąteczne, wolne od pracy, po przedpołudniu spędzonym w kościele, górale nie stronią od karczmy. Wtedy też przychodzi do tańców, które są bardzo charakterystyczne. Oto jak je opisuje Zejszner:

Tanec zupełnie właściwy Podhalan, różni się od tańców właściwych mieszkańcom równin; zbliża się do słowackiego. Piękny, rosły chłopak, w opiętych białych spodniach, zrzuciwszy gunię, występuje na środek izby, i zaczyna taniec przebierając nogami w najroz-



maitszy sposób: skacze i tupie, czasem poświstuje lub wykrzykuje. Jedna albo dwoje dziewcząt, krokami drobniemi, tańczą wokół mężczyzny, popisującego się na środku izby: to zbliżają się do niego, to znów oddalają. Muzyka, towarzysząca na skrzypcach, nie należy do zbyt przyjemnych, monotonna jest i melancholiczna, a gdy nadejdą szybsze akordy, wtedy chłopak porywa zwinną tancerkę i wykręca nią z niewymowną prędkością. Zebrani w karczmie przypatrują się: chwałą zwinność, weselą się, piją, lub namawiają dziewczęta do przyszłego tańca. Jest to raczej popisywanie się, a nie taniec ogólny. Taniec zbójcecki różni się od tańca zwyczajnego skokami śmielszemi, a muzyką bardziej poważną, zapowiadającą.

Tancerz między odstępami zwykł śpiewać dwa wiersze, wyjątkowo cztery, a widzowie i słuchacze cieszą się dowcipem tych śpiewek, a cóż dopiero ich przystosowaniem.

Ale jeżdżąc w Tatry, nie czynił tego Zejszner dla studjów folklorystycznych nad ludem góralskim, ale dla celów naukowych przyrodniczych; dlatego, o ile pogoda nie stawała na przeszkodzie, najwięcej czasu spędzał w górach, zarówno po polskiej jak i po węgierskiej stronie (choć na polskiej więcej); stąd jego spoufalenie się z pustką tatrzańską, z ciszą szczytów i jezior, z poezją turni i hał. W Rzucie oka na Podhalań znalazło się następujące odbicie tych wrażeń z wycieczek samotnych najczęściej (z przewodnikiem naturalnie):

Dla odwiedzającego hale Tatrowe, ta wielka wspaniała natura niewymownie głębokie wrażenie sprawia; olbrzymie szczyty wśród przezroczystego powietrza rozłożone, jeden obok drugiego sterczą wysoko nad równiną. Na szczytach i dolinach pod niemi leżących,

panuje uroczysta cisza, tylko rozrzucone morza kamienne widać, a w środku rzadko gdzie zieloną oazę roślinną, pospolicie w pobliżu płatu topniejącego śniegu, czasem tylko biały motyl przypomina żyjące istoty lub piskliwy głos ptaszyny gnieżdżącej się odzywa się w kosodrzewinie. Orzeł wznosi się niekiedy nad wirchy, ale prędko opuszcza te samotne kraje, bo tam niemasz dla niego przedmiotów łupu. Na wirkach i ich bokach, wśród mroźnego klimatu, skałą wyskakującą zaslonione rosną cudnej piękności kwiaty, najświetniejszymi kolorami barwione. Często czerwone kwiecie poziome pokrywa całe wirchy, i stąd zapewne powód nazwania wirchów czerwonymi. Inne kwiaty mają najrozmaitsze odcienie niebieskiej barwy, i należą zwyczajnie do rodziny *Gentianeae*. Jeden gatunek ma bardzo poszukiwany korzeń, zwany goryczką, w dalekie kraje rozwożony. Tak strojnie w kwiaty ubrane wirchy, niszczy nagle śnieg, wśród najcieplejszych miesięcy padający. Niemasz nigdzie straszniejszych obrazów, jak w pośrodku najwyższych gór, gdzie same tylko widać skały i kamienie, i błękitne niebo. Żaden widok bardziej strasznym a zarazem majestatycznym nie jest nad południową pochyłość Krywania. Dzika a martwa przyroda rozwinęła się tam we wszystkich ostatecznościach; skaliste ściany 1000 do 2000 stóp wysokie, pochyłe boki samymi kamieniami zarzucone, w dole pokazują się szmaragdowo-zielone płaszczyzny: są to wody kilku jezior Tatrowych. W tych okolicach, gdzie martwa natura panowanie swoje obszernie rozpościera, spotkany juhas z kierdelem (stado owiec) wita z niewymowną serdecznością, nie może się dosyć nacieszyć obliczem podobnej sobie istoty.

Robiąc wycieczki w góry, często parodniowe, spędził Zejszner niejedną noc w szałasie pośród juhasów. To też dobrze obznałmił się z ich sposobem życia i obyczajami na hali.



Odwiedzających szałas, przyjmują bardzo gościnnie bacę i juhasy. „Witajcie, witajcie! a siadźcie, wypocznijcie“, pierwsze jest przyjęcie owych pełnych serdeczności ludzi. Potem przynoszą co mają najlepszego, to skopki żętycy słodkiej i kwaśnej, to mleka, dalej sery świeże i skiszone lub oszczepki; proszą, aby nie gardzić tem co podają; wszystko to odbywa się z niewymowną uprzejmością, z największą gościnnością. Potem podróżnego obsypują pytaniami: „A skąd przychodzicie? co słyhać na równinach? w domu, czy owiesek dochodzi? jak drogie życie (zboże)? a jak się wam podobają hale? — To się dziwią jakiemu szczegółowi ubioru, to strzełbie lub instrumentowi. Swoją chętną usłużnością, szybkością wykonania żądań jedną sobie odwiedzającego; a kiedy się oświadczy, że się chce u nich przenocować, wtedy niemasz granic radości. Znajduje wtedy podróżny wszystko, co tylko jest najwygodniejszego w szałasie; ścielą na ławie cetynę, czyli gałązki świerczyny, oddają swoje gunie, całą noc pali się ogień, jeden z juhasów raz wraz drzewa dokłada. Jeżeli noclegu nie można uważać za bardzo wygodny, chęć z jaką ci go dają, ulepsza go nieskończenie. Kiedy się wszystko uspokoi, pasterze spoczywają w śnie głębokim. Rzut oka na szałas, oświetlony palącemi się kłodami, jest szczególny w swoim rodzaju. Na całej podłodze szałas leżą juhasy rozciągnięci z nogami do ogniska zwróconemi, i kroku nie można zrobić bez potrącenia którego ze śpiących.

W swoich rozmowach z góralami, zarówno w szałasach na halach, jak i w chatach wiejskich, Zejszner nasłuchiwał się niemało różnych baśni i podań, na które wyciągał starszych gazdów, pamiętających dawne czasy, z końca XVIII wieku, kiedy to na tronie zasiadała „cesarska Tereska“ t. j. Marja Teresa, a w górach grasował Janosik.

Przy tej sposobności przekonał się dowodnie, że Podhalanie wogóle są ludem religijnym, że katolicyzm dobrze odpowiada ich fantazji. Pod tym względem opinia Zejsznera różni się cokolwiek od opinii Witkiewicza, który, opierając się głównie na rozmowach z Sabałą, zbyt uogólniał jego religijny sceptycyzm.

Pożycie domowe Podhalan nie jest bez powabów, i wszędzie rysy charakteru ich przebijają się. Cierpki klimat, niezmiernie zamiecie w zimie, zmuszają ich niemało czasu zostawać w schludnych a ciepłych domach; sobie i myśleniu oddani nabyli pewnej smętności charakteru, obok melancholicznej łagodności, z drugiej strony często u nich górę bierze nadzwyczajna fantazja. To usposobienie duszy niemało wpływa na wykształcenie uczuć religijnych. Nabożeństwo po kościołach odbywa się z nadzwyczajną uroczystością. Prawdziwa skrucza maluje się na owych poważnych, długich twarzach, a głęboko wpojone zasady religijne i moralne przewodniczą im w stosunkach życia. Księża doznają wysokiego poważania; we wszystkich okolicznościach otacza ich szacunek niezmienny. Kiedy śród wieczorów zimowych zbierze się drużyna przy domowym kominie, po zaspokojeniu potrzebnych wiadomości gospodarskich, po wymienionych żartach, rozpuszczają wodze fantazji. Pospolicie najwięcej mają do czynienia z diabłami, i to co opowiadają, nie odbywało się w jakichś odległych czasach lub miejscach. Dziad, ojciec na tej górze albo w owym lesie, wyplatał jakiego figla diaskowi czyli czartowi, albo robiąc w spółce, zabrał i uciekł. Dalej niezmiernie zajmują się wyszukiwaniami skarbów ukrytych w skałach: zbójcy mieli je tam nigdy zachować. Nieraz, gdym rozpoznawał skały Tatrowe, idący do hał gazdowie, ciekawi zapytywali, czego

szukam? Wszyscy tedy opowiadali, że ów lub ten wirch ogromnie wiele dobrego (drogiego metalu) mieści, ale niekażdego nim Bóg pożegna (udarzy).

O czem mu także naopowiadali niemało, to o zbójnijkach, którzy już w tym czasie stawali się coraz mniej dzicy i niebezpieczni, tudzież o Janosiku, który już stał się bohaterem legendowym. Na podstawie tych opowieści doszedł Zejszner do przekonania, że tatrzańscy zbójnicy przeważnie rekrutowali się z „rozpuszczonych“ t. j. rozwydrzonych juhasów.

Wiele miesięcy od reszty ludzi oddzieleni nabierają pewnej ostrości charakteru, która ich wiedzie do rozputy po zrobieniu pomniejszego przewinienia, a szczególnie po zjedzeniu barana. Obawiając się kary, uciekają z szałasów, walczą się po halach, aż wreszcie zostają zbójcami, i wtedy idą na zbój, jak zwykli się wyrażać. Niemało pomagają temu stosunki miejscowe. Nietylko w Tatrach mogą znaleźć schronienie, ale i w dalszych na południe położonych górach, do czego przyczynia się słaba, i niesprężysta administracja węgierska. Pospolicie zbójniki odznaczają się powierzchownością, szerokim pasem z licznymi sprzączkami, wybitym guzikami świecącymi, z piórem na kapeluszu; uzbrojeni napadają na szałas, strasząc a nie robiąc nic nikomu, grabią oszczepki, a wieczorem gotują w mleku zabitego barana. Jest to największy przysmak góralski. Pospolicie, kiedy się zbójniki ukazują, opowiadają o nich juhasów po szałasach dziwne wiadomości, liczbę ich niezmiernie przesadzając. Zuchwałość wychwalają, dziwią się męstwu, a drżą przed ich okrucieństwem; kiedy się zatem jeden albo dwóch z nich pokażą na szałasach, przelekkły baca i juhasi, których pospolicie 6 do 10 bywa, pozwalają sobie odbierać serki, częstują mlekiem i żętycą i warzą barany. Rozumie się, że

dwóch ludzi nie mogą spożyć przygotowanej smacznej wieczerzy, wtedy cały szalas ma udział, a chociaż nadzwyczajnie boją się zbójów, jak to zwykli opowiadać, nie są jednakże w szalaszach niemiłymi gośćmi. Owszem jest pomiędzy Podhalanami przyjęte zdanie, że iść na zbój jest coś szlachetnego, odznaczającego się; o tem ciągle mówią, śpiewają, mają nawet oddzielny rodzaj piosnek zbójceckich. Najcelniejszym takim bohaterem nietylko u Podhalan, ale i u wszystkich Słowaków węgierskich jest Janosik. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to osoba niezmyślona, w której jednakże wszystko co tylko wyobraźnia tych prostych ludzi umiała ułożyć świetnego a odznaczającego, w nim zgromadziła. Najwięcej Janosik broił w Liptowie, Orawie, na Śpiszu, i pomiędzy Podhalanami; zapuszczał się wprawdzie dalej do Fatrów i gór Roznawskich i nad źródłami Hronu wznoszących się, ale w Tatrach i przyległych miasteczkach, najwięcej sztuk wyrabiał wspólnie z dwunastoma swymi towarzyszami. Pokazują w Tatrach miejsca, kędy przechodził do Węgier, strome skały, na których obiadował, jamy, które zamieszkiwał. Nadzwyczajnie silny, zuchwały w przedsiębiorstwie, trafny strzelec, miał górujące nadzwyczajnych ludzi przymioty, był niezmiernie biegłym tancerzem, dorodny, wspaniały w postępkach, brzydził się okrucieństwem, odbierał bogatym, obdarowywał biednych. Niejedną miał kochankę, był prawdziwym bożyszczem nimf góralskich. Te przymioty razem wzięte, uczyniły Janosika ideałem w całej góralszczyźnie, i dlatego wszyscy Podhalanie wszystkie swoje doskonałości i całą poezję w nim skupili. Smutny jednakże był koniec jego, z rozrzewnieniem go opowiadają górale. Schwytany w Liptowie został w Mikołaszu powieszony. Sam cesarz z Wiednia miał życie mu darować, ale już było za późno; obiecywał bowiem, że w wojnie za pułk stanie, i będzie się bił; za co Liptacy co rok muszą sromotną karę płacić, kilka groszy wynoszącą. Liczne obrazy niezgrabnie rysowane po całej góralszczyźnie

polskiej i słowackiej, na ścianach wiszące, zwykle przedstawiają go patrzącego, na siekierce opartego, gdy jeden z towarzyszków tańczy, elegje smutne śpiewają i narzekają. Ci zbójnicy niepokojący szafasy, niekiedy rozzuchwaleni napadają na podróżnych, rabują domy, dopuszczają się gwałtów i morderstw, lecz pospolicie ograniczają się na rabunku serów, owczego mięsa, i to jest raczej rozpustą często bezkarnie uchodzącą.

Inaczej się rzecz miała z rozbójnikami dawniejszej daty, którzy rzeczywiście żyli wyłącznie z mordu i rozboju. O jednym z nich istnieje nawet ponura дума góralska, którą Zejszner, przytoczywszy ją w całości, opatrzył następującym komentarzem.

Pewien zamożny gazda miał siedmiu synów i bardzo urodziwą córkę; między zalotnikami u niej był i zbój. Ojciec znał go jako bardzo porządnego gazdę, nie robił więc trudności w oddaniu mu córki! Córka również zostaje w niewiadomości: ani jej przez myśl przechodzi, aby miała być małżonką zbrojnika; jednakże po niejakiem czasie pożycia, niepokoi ją odludne położenie ich domu pomiędzy najdzikszymi skały i bory; na różne domniemania naprowadza zbyt częste oddalanie się męża z domu. Wypytuje się o przyczynę i wyrzuca z płaczem, dlaczego jej nigdy nie otworzył skrzyni ze swojemi rzeczami i dlaczego bielizny do prania nie daje? (Między ludem niemasz ważniejszego powodu do posądzenia męża o niewierność, jak kiedy nie daje bielizny do prania), lecz góral daje jej tylko same wykrętne odpowiedzi, które jej wcale nie mogły zaspokoić. Zdarzyło się po niejakiem czasie, iż pewnego wieczora powrócił do domu bardzo zmordowany, i ze skrwawioną bronią. Przełęczona żonaypytywała go i tym razem, ale napróżno. Postanowiła więc czekać stosownej pory i kiedy znowu mąż gdzieś poszedł na dni kilka, otworzyła skrzynię i znalazła w niej pomiędzy bie-



lizną prawą rękę; po pierścionku na małym palcu, poznała rękę swego najmłodszego brata. Już teraz przekonała się, że jest małżonką zbójnika i w cichości znosiła swoją dolę nieszczęsną. Niedługo stało się, że Pan Bóg dał jej syna. Raz gdy go lulała do snu i dawała przestrogi, aby się nie wdał w ojca, mąż ją podsłuchiwał. Wszedł do chaty i kazał powtórzyć piosenkę, ale biedna, dała jej inny obrót podchlebny dla męża. Nie zmięczyło to zbójcy, kazał żonie odziać się w świąteczne szaty, wywiózł gwałtem w las odludny i odrąbał ręce za to, że otwierały skrzynię; a oczy wydłubał, że przepatrywała jego rzeczy; poczem odprowadził nieszczęsną do domu i sam poszedł w Tatry, i nie było więcej o nim posłuchu.

Miejscowością, w której zbójnicy gnieździli się najchętniej, ze względu na mnóstwo doskonale osłoniętych kryjówek po skałach, była Dolina Kościeliska, którą zresztą droga prowadziła na Węgry i z Węgier. „Zbójnicy — prawili górale — do niej się zawsze spuszcza; mieli tam wszelkie sprzęty i w niej podczas zimy mieszkali; teraz jeszcze są tam zupełne mundury na dwunastu ludzi i niezmierne skarby, które można wziąć, kto ową dziurę wynajdzie, ale do munduru niech się nikt nie zbliża, gdyż na spodku leży broń nabita i za dotknięciem sukien zabija“. Dolina Kościeliska, zdaniem Zejsznera „najpiękniejsza w całych Tatrach i n a ś w i e c i e“ wogóle jest nadzwyczajnie upoetyzowana nieskończoną ilością baśni. „Do każdej skały wiąże się jakaś powieść.“

I tak zaraz na początku przy piecu wapiennym napotkało dwóch zbójców chłopca; każdy niósł pół centa (centnara) pieniędzy, i mówili do niego: „Bóg

ci poszczęścił (i oddawali mu swe pieniądze), uszczęśliwisz siebie, a nas zbawisz“. Chłop jednak bał się przyjmować skarbu, mówiąc: „Boję się, bobyście mnie wydalili“ i odszedł. Zbójnicy poszli na górę, pieniądze wzięli i djabłu je oddali, i ten ich wartuje. Chłop jednakże pilnie patrzył, gdzie się podziiali zbójnicy; a gdy odeszli, poszedł za nimi w miejsce, gdzie się skryli do góry, jednakże ani dziury ani skarbów nie znalazł. Wielu po nim szukało w temże miejscu, ale nic nie znaleźli. Chłop chciał spuścić mały staw Smreczyński na końcu doliny Kościeliskiej położony: gdy go zaczął przekopywać, zawołał do niego głos: „Przestań, bo jak spuścisz ten staw, to wszystkie wsie aż do morza zatopisz.“

Mógłbym wiele podobnych powieści przywieść, ale większa część jest podobna opowiedzianym. Wszędzie powtarzają się zbójnicy, czarowniki, pieniądze i nieznaledzenie miejsca, w którym leżą ukryte, z małą tu i owdzie odmianą miejscową.

Powieści te opowiadają Podhalanie wielce dramatycznie. Zdaje się, jakoby tych zdarzeń byli naocznymi świadkami. Ich twarze i cała postać przybiera wtedy wyraz to podziwienia, to żalu, to smutku; w dali jednak przebija się jakby z poza obłoku, wyraz prawdy ostrzegającej, że to są piękne uludzenia bez rzeczywistości, których sprawdzenia życzyłby sobie warto.

Podobnie jak wszyscy górale, tak i Podhalanie bardzo są przesądni. Jeśli im cokolwiek zginie, udają się do wróżki, mieszkającej prawie w każdej wiosce, i jak zwykle odbierają dwuznaczne odpowiedzi. Ta ostatnia niezbyt kosztowna rada uspokaja ich zupełnie.

Oczywiście, że i Morskie Oko oprzędła fantazja Podhalan mnóstwem podań, mniej lub więcej poetycznych.

Jeziro to sławne jest szeroko i daleko, ze swoich malowniczych widoków, licznych powieści, i corocznie wielu wędrowców przynęca. Idąc z wioski Bukowiny,

w dolinę rzeki Białki, masz jeden za drugim piękniejszy widok. Po najgorszej, często do kamiennego rumowiska podobnej drodze, trzeba w górę piąć się do Morskiego Oka. Odrazu ujrzysz wielkie jezioro wody zielonego czy niebieskiego zwierciadła. Obraz ten dziwnie rozmaity a wspaniały, uroczysty a smętny, niewymownie czemś pociąga; w eterycznej dali sterczą liczne szczyty: tu wznosi się niezmierna skała, kilka tysięcy stóp wysoka, uwieńczona w lekkie obłoki, na bokach strojna w białe pasy śniegu trwającego nawet wśród najcieplejszych miesięcy letnich. Nad samem jeziorem wśród świerków i kosodrzewiny, stoi szałas dla wygody gości zbudowany. Darmo szukałby kto w nim człowieka, trudniejby mu jeszcze przyszło brać szałas ten za dom zajezdny, których na podobnych miejscach nie brak w Szwajcarji. Szałas ten chroni tylko podróznego od wichrów i deszczów, i dlatego wybierając się do zwiedzenia Morskiego Oka, trzeba się zaopatrzyć w żywność, bo tam niczego nie dostanie, krom czystego powietrza i wybornej wody źródlanej.

W stronie wschodniej Morskiego Oka, około 500 stóp wyżej, wśród najdzikszej, skalistej okolicy, leży inne jezioro, zwane Czarny Staw, znacznie mniejsze; niektórzy Morskiem Okiem je nazywali, nie wiedząc, co istotnie ta nazwa znaczy.

Z różnych legend i baśni „w najświetniejszą poezję ubranych“ Zejszner przytacza jedną tylko, i to najmniej poetyczną, a czyni to dlatego jedynie, by wykazać jej... nonsens z punktu widzenia naukowego.

Oko Morskie ma być według nich nie do zgłębienia, i łączy się z morzem Adryatyckiem. Pan jakiś, płynąc morzem, rozbił się w czasie burzy okropnej: życie jednak uratował, straciwszy wszystkie swoje kosztowności. Długo w smutku pogrążony, szukał ponad morskim brzegiem swojej szkatułki, pełnej drogich kamieni, ale



nadaremnie. Podróżując po świecie, odwiedził także Tatry, i głośne po wszystkich karpaccich krajach Morskie Oko. Płynąc pelcią (tratwą) po tym tajemniczym jeziorze, postrzega nagle ową szkatułkę i kawały drzewa okrętowego. Wydobywają to juhasy, była zamknięta, nienaruszona jak przy rozbiciu, i kosztowności wszystkie zawierała. Nie trzeba dowodzić, że cała ta powiastka jest jedynie pięknym zmyśleniem, gdyż słodka woda z jeziora Tatrowego również jest dobra do picia jak licznych źródeł miejscowych, a części słonych niema w sobie śladu. Morskie Oko leży 4200 stóp nad powierzchnią morza; gdyby więc z nim łączyło się, musiałoby w jednej chwili wyciec, na zasadzie prawa fizycznego, mocą którego płyny w rurkach spólkujących układają się do równowagi.

Juhasy często opowiadają o potwornej wielkości rybach, pokazujących się z pośrodku głębin jeziora, w czasie burzy. Są to bez wątpienia wielkie ryby w głębinach Morskiego Oka mieszkające.

Dzisiejsze pokolenie uczonych już i wobec tych „wielkich ryb“ zajmuje stanowisko sceptyczne.

---

## II.

W sierpniu 1839 roku zrobiła wycieczkę ze Szczawnicy w Tatry w licznych towarzystwie znanych Lucja z książąt Giedroyciów Rautenstrauchowa, autorka bardzo w swoim czasie czytanych, a w r. 1844 w Poznaniu w 5-ciu tomach wydanych wrażeń z podróży po różnych krajach Europy, p. t. Miasta, góry i doliny. Znalazły się w nich w tomie I także wrażenia z Tatr, z Morskiego Oka, Doliny Kościeliskiej i Zakopanego.

Wrażenia te, jako opisy literackie, bardzo banalne i pretensjonalne, wrażenia kobiety egzaltowanej, która we Francji za czasów Moliera zasłużyłaby sobie niewątpliwie na miano *précieuse'y*.

Ze Szczawnicy przez Czorsztyn zajechano powozami do wsi Bukowiny, gdzie obiadowano w miejscowej karczmie, a gdzie „pierwszy raz postrzega się położenie zupełnie karpackie“, stamtąd bowiem „widać już zbliżone, dumne, groźne, straszliwe samych nawet Tatrów czoło, tę ich niezmierną okiem wielkość, co jakimś rodzajem trwogi serce przeraża“.

Bukowina jest ostatnim z tej strony krańcem, nie powiem cywilizacji, bo ona tam wszędzie nie daleko zaszła, lecz zaludnionego świata; tam się kończą pola, łąki, wszelkie zabudowania, wszelka droga. Kto wnętrze Karpat zwiedzić zamierza, musi tam rozstać się z pojazdami i końmi swemi, a zamienia je na wózki i konie góralskie, nazwyczajone do czepiania się po opokach.

Natychmiast po przyjeździe, nim jeszcze przyrzadzono do obiadu, posłaliśmy po górali. Lecz, iż to był poniedziałek, dalszy ciąg niedzieli, bardzo wielka znalazła się trudność nagromadzenia ich tylu, ilu nam było potrzeba. Każdy wózek bowiem, może tylko dwie osoby zabrać, jedną naprzeciw drugiej, a do każdej takiej kolebki trzeba trzech, a najmniej dwóch silnych chłopów, którzy ją ciągle od przepaści bronią, często zupełnie w rękach unoszą. Obrachowawszy się sumiennie, wyliczono dla nas potrzebę ośmiu takich wózków i dwudziestu górali. Długo nadaremnie na wszystkie za nimi posyłano strony. Wkońcu nagromadziła się liczba ich niemała. Lecz im grono liczniejsze, tem i zdań więcej: każdy utrzymywał swoje, każdy podług

siebie radził; główna część nalegała, by do następnego dnia wyprawę tę odłożyć... My zaś, w przekonaniu, iż wszystkie te rady są z namowy karczmarza, dla zachowania nas na nocleg, nie wielką do nich przykładaliśmy wagę... Zdawna wiedzieliśmy tylko, że koło samego Morskiego Oka jest jakiś budynek, iż tam nie-jeden nocował, a zatem wnosiliśmy, iż i my przed nocą schronienie znajdziemy. Tak więc z ufnością w sercu i myślą wesołą wsiedliśmy do nasłanych słomą drabiniastych wózeczków, tak małych, jakby dziecinne, tak wązkich, iż otyła osoba nie pomieściłaby się.

Jakoż o czwartej ruszono w drogę. Droga ta jednak okazała się bardzo wiele pozostawiającą do życzenia.

Już na pół drogi okrutnie kości nasze czuły ciągle przerzucanie wózka po łomach, skałach, rowach i zdrojach; w głowie się kręciło na widok częstych przepaści, a oko zmęczone tą więcej niż dziką przyrodą tęskniło za zielenością i równiną...

Jakiś nieład, coś do chaosu podobnego wkoło nas się rozlegało. Wszystko poprzewracane, zburzone, jakby nazajutrz po potopie. Góral w Bukowinie mówił, że tam, jak przed stworzeniem, mnie zaś się zdawało, iż po skończeniu świata tak będzie. Wzrok nigdzie dalej zasięgnąć nie mógł, bo wszędzie się odbił o ścianę wysokiej skały, za którą dwie lub trzy jeszcze wyższe szczyty w śniegu i obłokach ginęły. Wszystko to razem nużyło wzrok, mordowało ciało, nękało duszę.

Górale moi (bo wózek mój otwierał szereg) co chwila wysyłali naprzód jednego z pomiędzy siebie, dla zobaczenia, którędy przejechać można będzie, wyznając, iż po ostatnich deszczach zupełnie w tem nowem zburzeniu rozpoznać się nie mogą. Gdzie tylko było podobieństwo zatrzymania koni, stawaliśmy, tak dla rozpoznania się jak dla odpoczynku, równie potrzebnego nam biednym nielitościwie utrząsnionym, jak biedniejszym jeszcze koniom. Słońce już nisko kiedy

niekiedy tylko przez jakąś w skałach lukę ukośnym promieniem nas zęgało. Górale nic nie mówili, lecz pochowali fajki i ponuro spoglądali po sobie, a na zapytanie: czy daleko? „Nie można im odpowiedzieć, mówili, bo niewiadomo, jak tu do Morskiego Oka teraz trafić...” I jechaliśmy dalej po łomach i parowach.

Cienie coraz dłuższe słały się przed nami. Wkrótce przyszedł pomrok, wkońcu i noc przyszła, noc bez księżyca, bez gwiazd, ciemna, straszliwa. Górale coraz mniej zapewniającym tonem nas spokoili, coraz mniej rozpoznawać się mogli; niebezpieczeństwo było niewątpliwe, widoczne. Jednak naprzód postępować musieliśmy koniecznie, bo nawet rzadko gdzie znalazło się dość płaskiego miejsca, gdzieby ośm wózków stanąć mogło; lecz postępowano jak można najwolniej, a każdy co chwila silniej czuł potrzebę przybycia.

Około północy ciemność już była tak gęsta, iż o jeden krok nic rozróżnić niepodobna było. Jednym się snuły jakieś straszne widziadła przed oczami, drugim rozmaite o rozbójnikach wieści, tysiącnie w tamtych stronach powtarzane, na myśl przychodziły, gdy raptownie na boku niezbyt daleko ujrzelśmy światło. Ogień! Ogień! zawołaliśmy zrazu wszyscy z radością taką, jak żeglarz woła: ziemia! ziemia! „Może to rozbójnicy?” jakiś głos się ozwał. „Nas taka gromada, a każdy ma broń, odrzekł drugi. Nic nam nie zrobią”. „Obeszłoby się jednak bez tego spotkania,” dodał trzeci. „Obeszłoby się”, powtórzono.“ Zaraz posłano kilku w tamtą stronę.

Byli to nie rozbójnicy, tylko owczarze. Było ich dwóch. Powiedzieli nam, iż już niezbyt daleko do naszej mety, i za dobrą nagrodą podjęli się nam przewodniczyć, przyświecać. Radość i spokój wstąpiły w dusze nasze. Owczarze, osmoleni i czarni, zapalili dwie duże sosny, a potrząsając je nad głową, krocie sypiąc iskier, zupełnie do szatanów podobni, rzucali odblask czerwonego światła na te urwiska i strugi, na te poprzewracane drzewa i skały, na ten cały nieład na-

tury, który wówczas miał w sobie coś z piekła... Było to wspaniałe i malownicze. Niedługo atoli trwała ta rozrywka: sosny suche, z zapasu owczarzy wzięte, niebawem się spaliły. Inne na drodze podniesione, mokre, mimo usiłowań palić się nie chciały. Okropna ciemność znów nas otoczyła. Niebezpieczeństwo i trwoga na nowo powstały. Lecz owczarze mówili, że już bardzo blisko, iż drogę napamięć znają, obiecywali szczęśliwie nas doprowadzić.

W parę kwadransów wózek mój stanął. Powiedziano, żeśmy przyjechali, że już wysiąść można. „Ale w którą stronę?“ zapytałam. „Tu gdzieś, jak mówiono, jest domek, a zatem mieszkańcy i ogień. Trzeba poprosić, żeby nam poświecono, bo nic wcale nie widać.“ „A któżby tu mieszkał?“ ktoś mi odrzekł z uśmiechem. „Dom jest, to prawda, ale nic więcej.“ Ani mi przyszło pierwiej na myśl, że może być dom bez ludzi. Wówczas się dowiedziałam dopiero, że całem schronieniem dla nas biednych podróżnych będzie strzecha, tylko sama strzecha, a żadnego przytułku, najmniejszej nie znajdziem obcej pomocy!.. Podano mi rękę, wprowadzono po kolczastych szyszkach i krzemieniach na jakąś kładkę. Zalecono, bym się poręczy jej trzymała. I poręcz i kładka wszystko się trzęsło i chwiało pode mną. Pod kładką słycać było bystro płynącą wodę. Było to zawiadomienie, iż jeden zbroczony krok niezawodną śmierć niesie.

U końca kładki znalazły się drzwi, szczęściem otwarte. Wysoki próg przebywszy, domyśliłam się, żeśmy już w domu. Oparłam się o ścianę... a gdy zapalono świece, przystąpiliśmy do zwiedzania pałacu naszego. Było w nim izbek trzy: sionka wprawdzie nieduża, bo ledwo sześć stóp kwadratowych miała, za nią takichże wymiarów kuchenka, a w bok duża, jedyna izba, w której dwa okna bez ram i szyb, lecz z okien<sup>4</sup> nicami, dwie ławki, stół jeden i drzwi; te spaczone niezamykały się. W braku okien na belkach i po ścianach pełno napisów, poezją miejsca natchnionych.

Na kuchni rozłożono ogień, nastawiono wody na herbatę i poncz. Wydobyto z wózków słomę, która nam za materace służyć miała, a z tej jednej izby zrobiono dwa apartamenta: jeden dla pani T. i jej kuzynki, drugi dla mnie. Pod przewodnictwem grzecznego wynalazcy tego przemysłu, ławki jedna na drugiej postawiona, pokryte kobiercami, utworzyły doskonałą ścianę i wygodny dla mnie gabinet. Mężczyźni mieli się w sionce umieścić, ludzie pod strychem...

Po herbacie i „nowej gawędce, gdzie każdy swe przygody z owego pamiętnego dnia opowiedział“, udano się na spoczynek.

Od pół godziny może obolałe członki na miękkiej wyciągałam słomie, i już sen mię trochę ogarniał, gdym usłyszała za ścianą szelest i przytłumione wołanie: „Złodziej! złodziej! Łapaj go, trzymaj!“ Potem nastąpiły śmiechy. Był to jakiś góral zmokły i zziębnięty, który przez okiennicę zobaczywszy tlejący się jeszcze na kuchni ogień, usunął ją, i cicho dla osuszenia się wlaźł, bo gdzieś przypadkiem wpadł był w wodę. Przechylny jego, gdy jako złodziej widział się ujętym, stał się śmiechu powodem.

Znów wszystko ucichło, i na nowo już mi się zlepiły powieki, kiedy nowa do snu znalazła się przeszkoda. Zerwał się raptownie niesłychanie silny i świszczący wicher. Ściany domku naszego skrzypieć i chwiać się poczęły. Zdawało się chwilami, iż wszystkie jego wiązania puszczą, iż w kawałki pójdzie, lub iż go całkiem wiatr porwie i razem z nami gdzieś poniesie. Wkrótce i grzmot coraz bliżej dał się słyszeć.

Bardzo byłam ciekawa burzy w Karpatach. Nieraz myślałam, iż to musi być rzecz godna widzenia. Wstałam więc zcicha, by nie przebudzić śpiących, i usunęłam okiennicę. Lecz ciemność była tak wielka, iż nic dojrzeć nie mogłam, a lubo błyskawice pręły czarne chmury, blask ich padał tylko na same skały wierzchołki,



a moje chwilowo zaćmione tym blaskiem oko, nie mogące żadnego sobie utworzyć wyobrażenia o zupełnie mu obcym miejscu, wcale niezadowolone do ciemności wracało. Bardziej mnie zajmowało echo grzmotu, które tysiącnie o głaz odbite, coraz dalej, coraz słabiej się odzywało, a wkońcu powoli ginęło w przestrzeni. Burza ta jednak nie była taką, jak ja jej żądałam, jak ją naprzód myśl mi przedstawiała... Żaden piorun pod nogi mi nie padł, żadna skała się nie rozsypała, żadne nawet drzewo nie spłonęło. Widząc, iż grzmot się oddala, prawie rozgniewana wróciłam do łóżka, słuchając tylko przeraźliwego wichru...

Nad rankiem wszystko ucichło. Zorza swym czerwonym niepewnym wzrokiem przez szpary okienicy zaglądać do nas poczęła; ja też co prędzej pobiegłam ją powitać w tym nowym zupełnie mi nieznanym, w tym tylu trudami okupionym świecie. Wybiegłam, spojrzałam i padłam na kolana, na twarz... oczy obu rękami przykryłam, jakbym oblicze Boga, a przynajmniej tron Jego ujrzła...

Tutaj następował bardzo długi opis Morskiego Oka, równie długi, jak afektowany, pełen romantycznej egzaltacji i przesady. Taki sam jest opis Czarnego Stawu, który zwiedzono również, przepłynąwszy Morskie Oko na tratwie.

Po południu, po „obfitym“ obiedzie w schronisku nad Morskim Okiem, po krótkiej poobiedniej przechadzce zebrano się w powrotną drogę, ażeby przed wieczorem zdążyć do karczmy w Bukowinie.

W Bukowinie, po doskonałym noclegu, i gdy już do własnych pojazdów napowrót siadać mieliśmy, podano nam wielką księgę, gdzie podróżni, wracając z Morskiego Oka, zapisywać się zwykli. W niej ty-

siące znanych i nieznanych nazwisk, prawie tyleż równie rozmaitych wierszem i prozą konceptów, trochę nam czasu zabrały. Między nimi niektóre dość były ładne. Główna zaś część tchnęła temże marzeniem, które i ja stamtąd uniosłam: wielkości Stwórcy, nicości stworzenia.

W Zakopanem, gdzie nam przypadł popas, niesłychany upał i zmęczenie odjęły mi ochotę zwiedzenia pięknego położenia dość stamtąd odległego.

Wobec tego jedni odpoczywali w oberży, inni poszli obejrzyć źródło Białego Dunajca, inni szukali ochłody w zimnej kąpieli w pobliskim potoku.

Dopiero, gdy obiadu godzina zgromadziła wszystkich, po obiedzie poszliśmy razem oglądać żelazną fabrykę pana Homolacza, dziedzica całej tej cudnej części Galicji. Każdy z nas dla pamiątki wyprawy naszej nabył jakąś drobnostkę. Moja żelazna stamtąd charciczka, dotąd na papierach biurka mego spoczywa, przyciska moje wprawdzie nie górnotne, lecz czasem może za dziwaczne marzenia.

Z Zakopanego udano się do Kościelisk. Opisała ją Rautenstrauchowa po swojemu, tj. à la pani de Staël, po bajrońsku, ultraromantycznie. Przeciwwstawiła ją Czarnemu Stawowi nad Morskiem Okiem.

Po Czarnym Stawie widok Kościelisk był dla mnie, jak po strasznej nocy różowy wschód jutrzeńki, po łzach rozpaczy uśmiech swobody, po krwawej łunie pożaru, co przeraża i niszczy, biały promień księżycy z lazurowego nieba, obiecujący pogodę i rozkosz. Jak tam wszystko żalobne, wszystko tchnie śmiercią i grobową wielkością zdumiewa, tak tu wszystko łagodzi to srogie wrażenie. Czarny Staw zda się stworzon dla zbrodniarza i wygnańca, przed którym świat się zamknął, a śmierć jedyną przyszłością, straszliwą pokutą; Koście-



liska dla zakochanego, co w oddaleniu z uczuciem swem się pięści, co pragnie pierwotną dziewiczość jego zachować. Zawsze pyszna karpacka przyroda, jakby zalotna kobieta, więcej tu kochania, niż podziwiania, pragnąc, zielonością brzegów młodego Dunajca odmładnia się i wdzięczy, wesołością i swawolą jego swą hardość łagodzi. Demoustier byłby ją porównał do Minerwy w srebrnej szarfie z amorkiem na kolanach, a zamiast groźnego szyszaku czepeczkiem nowozamężnej wieńczącej skronie.

To porównanie Kościeliskiej Doliny do Minerwy w czepeczku młodej mężateczki z amorkiem na kolanach jest wprost nieocenione. Jest w niem cała epoka, cały sposób odczuwania natury przez pewne oświecone warstwy naszego społeczeństwa z czasów ponapoleońskich.

Po Kościeliskiej dolinie oprowadzał Rautenstrauchową i jej grono malarz krakowski Głowacki, o którym z jej opisu dowiadujemy się następujących szczegółów:

Gdy po pierwszym uwielbienia zachwycie wyskoczyliśmy z pojazdów, te odeszły do karczmy, lecz nie znalazły tam miejsca, karczma bowiem zajęta była przez malarza krakowskiego Głowackiego, który tu sobie pracownię założywszy, w Kościeliskach szukał piękności wzorów. Uradzono zatem udać się do folwarku, gdzie, zda mi się, mieszkał, właśnie nieobecny wówczas, główny nadzorca fabryk żelaznych, również w Kościeliskach, jak w Zakopanej czynnych, lub inny jakiś pana Homolacza znany z swej uprzejmości rządu.

Poznawszy się z Głowackim, który tam już od kilku tygodni mieszkał i malował krajobrazy, sentymentalna autorka **M i a s t, g ó r i d o l i n**, nie-

tylko zaraz w jakąś „artystyczną“ wdała się z nim rozmowę, wskutek której Głowacki prosił, żeby jego Kościeliską zwiedziła pracownię, ale w słusznym przekonaniu, że on jej najlepiej wskaże miejsca, jego sobie za cicerona po uroczej dolinie obrała.

Po noclegu w domu leśniczego całe przedpołudnie następnego dnia poświęcono na zwiedzenie Kościeliskiej doliny. Poczem po obiedzie puszczono się w powrotną drogę. Przenocowano w Nowym Targu, skąd na obiad zdążono do Czorsztyna, a stamtąd łódkami z biegiem Dunajca wrócono do Szczawnicy.

---

### III.

W roku 1849, a więc w cztery lata po wydaniu w książce swych *Pieśni ludu Podhalań*, ogłosił Zejszner w Bibliotece Warszawskiej obszernie studjum p. t. *Podhale i północna pochyłość Tatrów czyli Tatry polskie*. Praca ta, zamykająca się w czterech zeszytach tego poważnego miesięcznika, tak się ma do poprzedniej, jak wyczerpująca rozprawa naukowa do literackiego feljetonu. Ale pomimo swego erudycyjnego balastu, którym sownie jest obciążona (nie przeładowana jednakże), czyta się doskonale, bo Zejszner, choć wielce zasobny w wiedzę specjalną, umiał pisać powabnie, z beletrystycznym zacięciem, a tem samem nie potrafił być ciężkim, ani suchym, ani nudnym. Dzięki tej

właściwości swego autora Tatry polskie, obok ustępów o charakterze etnograficznym, historycznym, geologicznym i botanicznym, zawierają przynajmniej drugie tyle ustępów narracyjnych, np. osobistych wspomnień z wycieczek w góry, co znakomicie ożywia rzecz całą, czyniąc ją zajmującą i poczytną.

W pracy tej powtórzono wiele rzeczy, omówionych już w przedmowie do *Pieśni ludu Podhalań*, tylko, że to, co tam raczej było naskicowane, tutaj doczekało się bardziej artystycznego wykończenia. Tak np. w rozdziale o *Morskim Oku* Zejszner opowiedział raz jeszcze ową historję o podróżnym, który tu znalazł swoją szkatułkę z kosztownościami, lecz opowiedział ją o wiele dokładniej, zaznaczając mianowicie, iż ów wędrowiec ujrzał na powierzchni jeziora „różne kawały okrętu“, i między niemi dopiero, gdy je „zwinne juhasy“ wyłowiły na brzeg, znalazła się zaginiona w *Adriatyku* szkatułka.

Jak dalece ta baśń wiarę znalazła po całym kraju, opowiem, co mi o tem udzieliła osoba godna wiary. Za panowania Stanisława Augusta przysłano temu królowi z *Morskiego Oka* część tego okrętu, rozbitego na morzu *Adryatykiem*, i dla osobliwości te wielkie belki zostały w tutejszym<sup>1)</sup> zamku zawieszzone, i były przystępne każdemu dla obejrzenia.

Wszystkie te legendy powstały głównie na tle nazwy *Morskiego Oka*, tymczasem „szczególna ta nazwa — dodaje Zejszner — powtarza się

<sup>1)</sup> Czyli warszawskim.

w kilku miejscach w Tatrach i w innych im przyległych górach, i zdaje się być raczej nazwą zbiorową, aniżeli jakiego pojedynczego stawu.“

Jezióra mające ciemne, prawie czarne wody, zdają podobne do oka, zwykli tak nazywać mieszkańcy obdarzeni bujną fantazją. W Tatrach zachodnich, pod górą Raczkową już na Liptowie, na pochyłości południowej, małe jeziorka nazywają Morskimi Oczyma; podobnież ma się nazywać jedno jezioro przy Styrbie na Spiszu. W niskim pasmie, bardziej południowem, rozciągającym się pomiędzy Przeszowem a Tokajem, którego południowy koniec nazywa się Hegyallya, znajduje się także Morskie Oko.

„Wielkim rybom“ w Morskiem Oku, o których we wstępie do Pieśni ludu Podhalań znalazło się zaledwie parę wierszy, poświęca Zejzner w Tatrach polskich następujący obszerniejszy ustęp, potwierdzający ich istnienie, bo pisze tak, jakby je widział na własne oczy:

Stojąc na pełci (tak nazywają Podhalańce tratwę z okrągłaków zbitą), widać na dnie mnóstwo snujących się wielkich ryb, cztery do sześciu i więcej stóp długich. W tej zupełnie przezroczystej wodzie, mianowicie kiedy jej powierzchnia jest spokojna, można rozróżnić przedmioty aż do głębokości 20 do 30 stóp, które szczególnie stają się wyraźnemi, gdy pada na nie promień słońca; wtedy widać każdą bryłę granitu, a między niemi żwiry i te wielkie ryby. Życzyłoby należało, aby jaki miłośnik rzeczy ojczystych zajął się zbadaniem tych ciekawych jestestw. Niemało potrzeba będzie pokonać trudności w ułowieniu tych ryb, gdyż woda zupełnie jest przezroczysta, a za najmniejszym poruszeniem kryją się one w głębinach jeziora. Ale na wszystko znajdują się środki, byleby były chęci.

Na tle osobistych wrażeń, doznanych nad Morskiem Okiem, Zejszner kreśli kilka następujących impresyj pejzażowych.

W miesiącach letnich, odwiedzają liczni podróżni to zewszepochmiar ciekawe jezioro, słusznie uważane za najcelniejszy punkt w całych Tatrach. Nieraz wielkie zbierają się towarzystwa z 20 do 30 osób złożone i ożywiają nagle to samotne ustronie; wtedy rozbudzone echa przez liczne wystrzały z moździerzy, odbijające się od potężnych ścian skalistych, sprowadzają z przyległych szałasów pasterzy, którzy witają podróżnych, przynoszą im w darze kwiaty z najwyższych szczytów, mleko i sery, i opowiadają liczne szczegóły o sobie i o potworach Morskiego Oka. Aby podróżni mieli jakąkolwiek ochronę, wybudował właściciel tej doliny i lasów, p. Homolacz obszerny dom drewniany, zawierający wielką izbę dla gości, a kuchnię i sieni dla służby. Prócz ścian nie zostanie tu podróżny nic innego, jak drzewo na opał, które sobie ściąć musi, czyste powietrze, wyborną wodę, cudne widoki i niezmierny apetyt, który własnymi zapasami musi zaspokoić. Obok domu wystawił jeszcze p. Homolacz pomnik z żelaza lanego, wyobrażający popiersie pana Taafe, gubernatora Galicji, na pamiątkę, że raczył odwiedzić te strony.

Zdaniem Zejsznera najwspanialej przedstawia się Morskie Oko w jasny dzień, przy oświetleniu słonecznem; ale niemniej zajmujące są zmiany jeziora przed nadciągającą burzą.

Opowiem, com doznał przy tem jeziorze wśród ciepłego dnia sierpniowego. Poprzednio przez kilka dni najcieplejsza była pogoda; rano, kiedyśmy się przebudzili w Młocie Porońskim z pierwszym brzaskiem, niebo było zupełnie czyste, nie pokazywała się najmniej-

sza chmurka, i cudnie pięknie wschodziło słońce z poza Tatrów, przyświecając w ciągu całej naszej podróży do Morskiego Oka. Gdyśmy pływali po jeziorze, zaczęły się na szczytach pokazywać jakby różdżką czarodziejską wywołane białe mgławce obłoczki, podobne do welonu unoszonego przez wiatry; obłoczki te bezustanku pojawiały się i znikały, każdy późniejszy widocznie większą miał objętość, aż nareszcie znaczniejsze łącząc zaczęły się z sobą z sąsiednich szczytów; a zarazem spadły na nas, zostających na jeziorze, wielkie pojedyncze krople. Jednakże wkrótce wystąpiło słońce w całej świetności, — znowu spoglądaliśmy na te niebotyczne szczyty, gdy wtem grożący jakiś mrok coraz bardziej szerzył się po całej dolinie, jakaś nieodgadniona ciemność zwiększała się co chwila, a chociaż słońce jeszcze świeciło, widocznie ściemniało się wokoło, chociaż zaledwie była pierwsza po południu. Zbliżające się chmury sprawiły to zaćmienie widnokregu; wkrótce mgła do dymu podobna wypełniła dolinę i okryła wszystkie przedmioty; wreszcie na szczyty nasunęły się ciemne obłoki i odrazu spadły z nich wielkie krople, tak, że ledwie mieliśmy dosyć czasu zdążyć do szałas; krople coraz się mnożyły, aż wreszcie spuścił się ulewny deszcz, kilka godzin trwający wśród okropnych piorunów. Ile razy zdawało się, że deszcz ustaje, tyle razy wracał z nową gwałtownością. Uderzenia grzmotów są tutaj prawdziwie przerażające, bo trzaski ich przez odbijające się echo nie mają końca; nieraz zdawało się, że się skończyły, aż znowu dały się słyszeć, jakby z odległej doliny przybyłe.

W przeciwieństwie z tym obrazem dziennym opiszę dwie noce w tem szczególniejszem ustroniu. Gdyśmy nocowali w szałasie nad tem jeziorem, począł w nocy padać niezmierny deszcz; a gdy po kilku godzinach zmniejszył się, wśród zupełnej ciszy nagle dały się słyszeć zdała niezmierne huki, tak, iż przebudziły nas ze snu. Sprawily to bryły odrywającego się granitu od ścian prostopadle sterczących nad Czarnym Stawem



i kilka razy potem powtórzyły się ponure, przytłumione trzaski.

Wreszcie muszę wspomnieć o jednej nieporównanej nocy, jakiej doznałam raz nad Morskiem Okiem. Było to już na początku jesieni w dniu 7 września 1844 roku. Gdy poznikały mgły, oblegające wirchy, pokazały się wieczorem gwiazdy, a nad ranem wystąpiła wązka kosa księżyca. Niebo było nadzwyczajnie czyste, bo zdawało się, iż gwiazdy były jeszcze raz tak wielkie, jak zwykle; wydawały one cudnie piękne spokojne światło. Zrazu, gdym wyjrzał, sądziłem, iż ogromna góra, wznosząca się z drugiej strony jeziora, tuż jest przy szalasię, że znikła przestrzeń, która oddziela jezioro. Ten szczególny widok, przy doskonałej ciszy, przerywany tylko szmerem wlewającej się wody do Białki, niewymownie miłe zostawił wspomnienie. Nie wątpię, iż podobne nocne widoki mogą nadać umysłowi zwrot ku mistycyzmowi.

Niemniej czarownym jest ogólny widok na całe pasmo Tatr, widziany z oddali, np. z karczmy w Bukowinie, na drodze do Morskiego Oka.

Tatry, zamykające na południe od doliny Dunajca widnokrąg, a zarazem Podhale, mają tenże sam kierunek, co taż dolina, to jest ze wschodu na zachód. Potężny ten łańcuch, podobny do niezmiernego zębatego muru, nadzwyczajne sprawia wrażenie. Ale obraz ten bardzo jest odmiennym w różnych porach dnia: kiedy powietrze jest przezroczyste, a skłaniające się ku zachodowi promienie słońca oświetlają te potężne szczyty: wtedy bywa do najwyższego stopnia wspaniałym i jakiś niewymowny urok owłada naszą duszą. Przeciwnie zaś, kiedy białawe mgły obsiadą te szczyty w czasie skwarne go południa, a liczne obłoki unoszą się nad niemi, wtedy nie mają ani wielkości, ani tego czarownego widoku; bo nie tak właściwość postaci, jak raczej oświetlenie jest przyczyną szczytnej piękności krajobrazów.

Mówiąc o klimacie Podhala, mającym także wybitny wpływ i na jego mieszkańców, których tworzą sami polscy górale, Zejszner tak pisze między innymi:

Łatwo się dorozumieć, że znaczne wyniesienie Podhala stanowczy wpływ wywarło na jego właściwości fizyczne. Im bowiem kraj jaki więcej się wznosi nad poziom morza, tem jest zimniejszym, i stąd pochodzi, że na Podhalu klimat podobny jest jak w krajach leżących w wysokiej północy, n. p. w północnej Norwegji i Japonji. Dlatego też Podhalanie nie uprawiają zbóż ozimych, ograniczając się tylko na samych jarzynach, a pospolicie sieją owsy i jęczmienie; czasem widać wprawdzie kilka zagonów żyta, ale te są po ogrodach. Ziemiaki udają się również dobrze, jak na równinach; ale szczególnie sprzyja tutejszy klimat uprawie lnu; stąd często widać podczas lata wielkie łany, okryte niebieskim kwiatem tej rośliny, co nadaje właściwy wdzięk tym okolicom.

O limbach, których wtedy rośło nad Morskiem Okiem jeszcze o wiele więcej, niż dzisiaj, tak pisze Zejszner:

Z wejrzenia drzewo to jest bardzo podobne do naszej zwyczajnej sosny, ale przypatrzwszy mu się bliżej, wiele spostrzegamy różnic. I tak: śpilki ma wysmuklejsze, a w małych pochewkach przy osadzie zawiera ich pięć, gdy tymczasem sosna tylko dwie; szyszki zaś są bardzo odmienne w dwóch tych drzewach: limbowe mają wielkość pięści dorosłego człowieka, a w nich zawarte nasiona podobne są do jąder laskowego orzecha, i równie jak te są smaczne. W ogólności limba rzadkiem jest drzewem w Tatrach; pospolicie stoi pojedynczo, tylko czasem kilka tych drzew rośnie obok siebie, nie okrywając jednakże znacznych przestrzeni, jak to bywa w Alpach. Drzewo limbowe



należy do najlepszych w naszym pasie ziemi, gdyż nie tylko nadzwyczajnie jest ściśłem, ale nadto przejęte wonną żywicą odstrasza robaki. Dobrze zna jego własności Podhalanin i dlatego staje się ono coraz radszem w Tatrach, tak, że zachodzi obawa, iż kiedyś zginie zupełnie i tylko wiadomość pozostanie po niem, iż rosło tu niegdyś.

Powszechnie utrzymuje się opinja, iż Chałubiński pierwszy „odkrył“ Zakopane. Nie ulega wątpliwości, że dzięki Chałubińskiemu, dzięki jego wpływowi i stanowisku w społeczeństwie, Zakopane stało się tem, czem jest dzisiaj, t. j. letnią stolicą Polski, a jednak już na ćwierć wieku przed Chałubińskim byli ludzie, którzy w Zakopanem widzieli wszelkie warunki na pierwszorządne letnisko, śmiało mogące rywalizować z najsłynniejszymi miejscowościami szwajcarskimi: dowodem Zejszner i jego studjum o T a t r a c h P o l s k i c h, i to, co w niem pisze o Zakopanem.

Nawiasem mówiąc, Zejszner, zwiedzając Tatry, robił wycieczki z różnych wsi, u ich stóp położonych, między innymi także z Zakopanego, ale go jeszcze nie uważał wcale za główny punkt u stóp Tatr polskich. Mimo to odrazu zwrócił uwagę na Zakopane, jako na idealnie położoną miejscowość, nadającą się na pierwszorządne letnisko, byle w niej stworzyć odpowiednie warunki t. j. zaprowadzić europejski komfort, taki, jaki się spotyka w podobnych miejscach w Szwajcarji. Urządzone stosownie, po europejsku, Zakopane, jego zdaniem, wcaleby się nie potrzebowało lękać

konkurencji najpiękniejszych i najświetniejszych ba-  
dów zagranicznych. Dane bowiem, jakie tu stwo-  
rzyła natura, są całkiem wyjątkowe.

Mnóstwo białych zabudowań, należących do za-  
kładu hutniczego, wypełnia dolinę Zakopanego. Te  
dzieła sztuki odbijają dziwnie od przeważających potęg  
przyrody. Równie niespodzianą, jak miłą jest rzeczą  
spotykać wśród dzikiej okolicy zakład przemysłowy,  
a z nim w parze idący byt dobry. Pięknie wymurowany  
wielki piec do wytapiania żelaza, dwa młoty czyli  
fryszkerki do jego przekuwania, a na samym początku  
doliny nowo założona, obszerna pudlingarnia, gdzie  
walczą żelazo, są przedmiotami godnymi wspomnienia.

Pan Elsner, staranny naczelnik zakładu zakopiań-  
skiego, od pewnego czasu powiększył znakomicie pro-  
dukcję, przekuwając surowiec z Węgier, sprowadzany  
z Hrabusic na Spiszu. Tym sposobem zakład ten na-  
biera coraz więcej znaczenia i jest jednym z najcel-  
niejszych w Galicji. Przy wielkim piecu Zakopanego  
urządzoną została odlewalnia; rozmaite przedmioty,  
służące do ozdoby i użytku, bardzo piękne, można wi-  
dzieć i nabyć w składzie, a mianowicie krzyże, świecz-  
niki, garnki i t. d. Do wszystkich robót hutniczych  
używają w Zakopanem węgla drzewnego, i dlatego że-  
lazo tutejsze, mianowicie przekuwane z surowca wę-  
gierskiego, słynnem jest ze swej dobroci. Z niepos-  
politym skutkiem zaczęto niedawno używać w pudlin-  
garni torfu, pochodzącego z pobliskich niezmiernych  
pokładów.

Zabudowania Zakopanego są porządnie z kamienia  
wystawione. Na domach fabrycznych są napisy, ob-  
jaśniające co się w nich wyrabia. Szkoda tylko, że  
zostały dane po niemiecku i że na Podhalu trzeba mieć  
drogomana, aby się dowiedzieć o jawnej tajemnicy.

Z wielu miar zakład Zakopanego nader dogodnym  
jest do używania żętycy czyli serwatki z owczego  
mleka, tak walnie pomagającej na choroby piersiowe

i ogólne osłabienie organizmu; leży bowiem przy halach, już w samym łańcuchu Tatrowym. Jakoż corocznie przybywa tutaj kilkanaście osób dla użycia tego produktu wysokich gór.. Niemało pomaga zdrowiu wysokie położenie Zakopanego. Według obserwacji barometrycznych, z wszelką ścisłością wykonanych, dwóch tutejszy leży 3032 stóp nad morzem, a zatem półtora raza tak wysoko, jak Łysica, najwyższa góra w Królestwie Polskiem. To wyniesienie daje tę lekkość i czystość powietrza, które zdaje się być często oddechem rajskim. Do tych fizycznych stosunków geograficznych niemało przyczyniają się owe cudne widoki; gdzie rzucić okiem, tam miły, nowy a niespodziany roztwiera się krajobraz.

Gdyby tutaj były dogodniejsze mieszkania, niema wątpliwości, że powiększyłaby się liczba używających żętycy. Kilka bowiem tylko osób znajduje pomieszkowanie w oberży i u urzędników zakładu, a reszta musi się mieścić u włościan, mieszkających nieco odleglej. Niech nikt nie spodziewa się tutaj wytworniejszych wygód, jakie znajdujemy po kąpielach Niemiec, Francji, Włoch; nieraz słyshałem gości, zadowolonych z tego, że mieli codziennie świeży chleb i mięso.

Okolice Zakopanego należą do rzędu arcy-malowniczych; w którąkolwiek stronę zwrócimy nasze kroki, wszędzie czekają nas niezrównanej piękności pejzarze. Tam miłe ustronie i rozkoszne gaje; ówdzie dzikie skały, pomiędzy któremi szemrzą strumyki z czystymi jak łąza wodami. Jednym z najcelniejszych spacerów dla używających żętycy jest góra Nosal, stojąca jakby na straży tej doliny. Bujny las świerkowy okrywa ją, a z niego wyskakują skały wapienne, podobne zdaleka do nosa, i ztąd poszła ta nazwa... Trudno sobie wystawić bardziej zachwycający ogród angielski, nad doliną opartą o Regle, rozciągającą się na zachód od Zako-

panego ku Kościelisku... Tu widać łąki okryte świeżą zielonością, tam miłe polka obsiane owsami, jeszcze w początku września zielonemi, a przy nich domki z okrągłaków, ocienione malowniczo rozłożonemi świerkami. Z każdej doliny szczelinowato rozwartej, płynie strumień przezroczystej wody szmaragdowej barwy. Szereg ten piramidalnych pagórków stanowi przedgórze Tatrowe... Pomiędzy wszystkimi górami odznacza się potężna skała Gewont z wielką szczyrbą w środku, za którą wznoszą się dopiero nierównie wyższe wirchy, zupełnie nagie, cudnych kształtów. Kraj-obrazy te, odznaczające się nadzwyczajną różnorodnością, zostawiają na duszy najgłębsze wrażenie, i zawsze obudzały we mnie jakąś niewypowiedzianą radość, i wywoływały spokój duszy; nieraz pomyślałem sobie, że tutaj możnaby było marzyć o układzie wiecznego миру z całym światem, o zgodzie z najzawziętymi nieprzyjaciółmi!...

Domki długiej wioski Zakopane mają po większej części miłe wejście; w każdym widać staranie około powierzchowności i porządek w zabudowaniu. Jeden z odznaczających się domków, położony w nader pięknej okolicy, pod samemi stopy Regłów, należy do wójta tej wioski, Krzeptowskiego. Obszerniejszy od zwyczajnych, ma kilka izb i komór; biała izba ma ściany wyłożone pięknie wygładzonymi deskami, i żywo przypomina mieszkania szwajcarskie i tyrolskie; obok zwyczajnych sprzętów góralskich była i komoda z mosiężnymi antabami, a na niej zegar, wybijający nietylko samą godzinę, ale i ćwierćgodziny. Kiedy kto z przyjeżdżających wstąpi do jego domu, uważa to sobie ten rozsądny a uprzejmy człowiek za niemały zaszczyt; oddaje mu swą najlepszą izbę na mieszkanie, a wszyscy domownicy zostają gościowi na usługi; a są tak chętni, tak uprzejmi, jakby to była dawna zażyłość<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż w tym właśnie domu Krzeptowskiego mieszkał Zejszner w czasie swego pobytu w Zakopanem.



Zakopane — ogólny widok.

Tatry i Zakopane.)

<http://rcin.org.pl>

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘDZANI  
św. WJCIECHA W POZNANI





Jakież przecudne miejsca możnaby w długiej wiosce Zakopane obrać na wiejskie siedziby, któreby sama przyroda otoczyła najcudniejszemi ogrodami angielskiemi! Ze smakiem założone wille uczyniłyby równie głośną tę dolinę, jak pobrzeże jeziora Como lub Genewskiego. Tatry mają tyle właściwości, tyle niezrównanych wdzięków, że byłby tu pobyt bardzo ponętny; ale trudno przewidzieć, czyli się ziszczą kiedyś te życzenia.

Ziściły się na szczęście, a Zejsznerowi przypada ten zaszczyt, że pierwszy naprawdę poznał się na piękności Zakopanego, że pierwszy je ocenił należycie, jako wymarzone miejsce na letnisko polskie, które, zabudowane „ze smakiem założonemi willami“, mogłoby się stać równie sławnem w Polsce przynajmniej, jak wiele letnisk szwajcarskich, a miałoby tę wyższość nad niemi, że każdy Polak czułby się tu u siebie, nie mówiąc już o tem, iż po troskach i trudach całorocznego życia w mieście znajdowałby tu potrzebny i tak upragniony „spokój duszy“.

Niemal to do myślenia dawała Jaszczurówka, która, jako jedyna cieplica na ziemi polskiej, tem bardziej mogła się przyczynić do podniesienia Zakopanego, jako miejsca kuracyjnego. Oto w jaki sposób zwracał na nią Zejszner uwagę:

U stóp Nosala wytryska, o ile dotąd wiadomo, jedyna cieplica w krajach polskich, Jaszczurówką zwana. Nazwa ta szczególna pochodzi od licznych żyjących w niej jaszczurów czyli zwyczajnej salamandry. Cie-

plica ta tworzy sadzawkę, okrywającą przeszło sążeń kwadratowy przestrzeni; otaczają ją wielkie bryły granitu, naniesione zdala z Olczyńskiej doliny. Woda tej cieplicy, chociaż zupełnie spokojna, odpływa przecież szybko i daje początek znaczniejszemu strumieniowi; jest zupełnie czysta, bez obcych domieszanych pierwiastków i bez smaku. Chociaż nie należy do gorących, jest letnią, i statecznie pokazuje 20° C. ciepła; że i w zimie zachowuje tę temperaturę, wszelkie jest prawdopodobieństwo, albowiem nie zamarza podczas najtęższych mrozów i niezmierne obłoki mgły się z niej dobywają. Na powierzchni wód tego źródła pływa w wielkiej obfitości zielona nitkowata roślina, zwana glonem, a zbiwszy się w grubą masę, okrywa powierzchnię wody.

W spodzie tej cieplicy, pod kamieniami, żyją liczne jaszczury czyli salamandry. Zwierz ten, należący do oddziału żabowatych, podobny jest do jaszczurki; lecz nie ma ani jej smukłej budowy, ani zwinności w ruchach; zupełnie jest czarny, okryty wielkimi pomarańczowemi plamami. Jaszczury są barometrem Podhalan; ile razy wychodzą ociężałe w górę, chociaż najpiękniejsza pogoda, zapowiadają deszcze; jeżeli zaś spokojnie siedzą w źródle pod kamieniami, wtedy jest to niemylną oznaką trwałej pogody.

Własności źródła tego wcale nie są znane; żaden lekarz nie robił nad niem poszukiwań, jak dalece pomaga zdrowiu. Nawet Podhalanie, co wszystko badają albo słonią w piękne myty, nie opowiadali mi nic o jego własnościach lekarskich. Przecież ta cieplica musi posiadać jakieś ukryte własności: może ma podobne do cieplicy w Bad Gastein w Alpach tyrolskich, tak cudne wpływy wywierającej na wędniejący organizm. Wspomnę tylko o tak często powtarzanej własności tej ostatniej. Włożywszy zwiędłą różę do szklanki napełnionej jej wodą, gdy postoi przez noc, wraca pierwotna świeżość kwiatu, prawdziwie zmartwychwstaje. Z pełną nadzieją zwracamy się do naszych lekarzy, że się zajmą zbada-



niem własności Jaszczurówki i dadzą poznać, jak działa na organizm człowieka. Może kiedyś ta cieplica u stóp Nosala zasłynie pomiędzy celnymi kąpielami Tatrówemi. Pytać się tylko trzeba przyrody, a spadnie zasłona z przed oczu naszych i objawią się jej tajemnice.

Żeby nie nasz dziwny brak przedsiębiorczości, z pewnością i dolina Kościeliska mogłaby stać się pierwszorzędną miejscowością leczniczą, mianowicie dla osób piersiowych, potrzebujących kuracji żętycą; ale podobnie jak Zakopane, tyle mające warunków na stację klimatyczną, i ten uroczy zakątek ziemi polskiej, mogący rywalizować z naj słynniejszymi miejscowościami europejskimi, całkiem jest opuszczony i zaniedbany. Zdaniem Zejsznera, grzech to nie do darowania. Bolejąc nad tem, tak pisał w tej kwestji:

Dolina Kościeliska jest podług mego zdania najpiękniejszą ze wszystkich Tatrówych; a gdy ją porównywan z naj słynniejszymi alpejskimi w Szwajcarji i Tyrolu, nie mogę równej znaleźć co do wspaniałości widoków, szczególnego kroju skał, które ją otaczają, i tego niezrównanego wdzięku, którego piórem określić niepodobna. Jeżeli niepospolitemi pięknościami odznaczają się doliny Val di Fassa w Tyrolu południowym, albo dolina Agno pomiędzy Recoaro i Valdagno w Alpach Wicentyńskich, albo sławna dolina Chamounix w Sabaudji, tyle przez podróżnych zwiedzana, to dolina Tatrowa posiada tyle wdzięku, że się z wszystkimi równać może. Kto raz widział Kościeliską dolinę dobrze oświetloną promieniami słońca, widział, co jest najpiękniejszego na świecie; nie można sobie wyobrazić, wymarzyć coś piękniejszego i doskonalszego od niej. Jak piosnka narodowa, przemawiająca do duszy, zawsze jest obecną, tak i dumając o pięknych krajobrazach,

mimowolnie jakby jakie mary przesuwają się przed duszą te postaci skał, te dumne szczyty, te łąki wiosennej zieloności, ubarwione najcudniejszego koloru kwieciami doliny Kościeliskiej.

Niestety, o ile natura dokazała tu cudów piękna, o tyle ludzie prawie nic nie zrobili dla uprzyśtępnienia i korzystania z tych piękności.

Chociaż ta dolina tak jest powabną, trudnooby było nieco dłużej tu zostawać, gdyby tradycyjna gościnność leśniczych nie ustępowała podróżnym 3-ch do 4-ech pokoi, i nie przyjmowała ich do własnego stołu. W podobnej okolicy w Szwajcarii stanęłyby niezmiernych wymiarów pałace, zaopatrzone we wszelkie wygody życia, na jakie się tylko zdobyć mogą wielkie miasta, i przepełniałyby się w miesiącach letnich najwytworniejszym towarzystwem podróżnych. W Tatrach zaledwie kilka osób spotykałem u leśniczego z niedalekich stron, używających żętycy, a rzadko zabłąkał się jaki podróżny dla poznania ich widoków.

Przed 20-tu laty dawny właściciel tej doliny, pan Homolacz, zamierzał za skromnym domkiem leśniczego wystawić wspaniały pałac; obszerne mury, wzniesione pod pierwsze piętro, świadczą, że wielkość jego miała być niemałą. Jednakże śmierć przerwała ten godny pochwały zamiar; teraz dwie czy trzy izby urządzone w tych murach na mieszkanie, a reszta rozpada się w niezbyt malowniczą ruinę.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Snując różne porównania między kulturą Szwajcarii a jej zupełnym brakiem w Tatrach, przy opisie szałasów krowiarskich na Porońcu, Zejszner boleje nad tem, że drzemie tutaj w śnie głębokim wszystko, cokolwiek zakrawa na coś wyższego, co tylko wznosi się nad pojęcie ludu. Tak np. według jego zdania, „niema wątpliwości, że w Tatrach możnaby równie

Niedaleko stoi kilka domków; pomiędzy nimi odznacza się jeden, nie tak dla swego porządnego wejścia, jako raczej dla wygórowanej nędzy i tego ubóstwa, które właśnie wywołuje malownicze kroje. Budynek ten posłużył niejednemu artyście do wydania nader pojętnego obrazu. Jest to nadzwyczaj obszarpane domostwo, zawierające młot, w którym przerabiają surowe żelazo wytopione w Zakopanem na kute, i tym sposobem zużywają się drzewa, rosnące w rozległej dolinie Kościeliskiej.

Kiedy wszystkie pokoje do rozdania zdadne zajmą u leśniczego podróżni, wtedy mimowolnie trzeba szukać schronienia w naprzeciw młota stojącej karczmi żydowskiej. Zewnątrz jest ona dosyć pozorną i obszerną, ale w środku niech nikt nie pyta o czystość. Jednakże jest to miejsce, do którego wzdychają juhasy: długo żyjąc w odosobnieniu na halach, gdy się dostaną do niej, pomiędzy dawno niewidzianych znajomych i przyjaciół, przy palence i gęśli bawią się w najlepsze. Tak to człowiek mało potrzebuje przyrzędów do zabawy, jeśli ma do niej usposobienie wewnętrzne. W niskiej, brudnej izbie, przy ciemnej łojowej świeczce znajdują górale tyle przyjemności, ile jej wydają najświetniejsze salony.

Ale człowiek cywilizowany nie może się zadowalać tak prymitywnymi uciechami. A dla ludzi kulturalnych, przyzwyczajonych do zagranicznego komfortu, do hoteli-pałaców, jest dolina Kościeliska, jak za czasów Zejsznera, tak i dziś jeszcze, jako miejsce dla dłuższego pobytu, niemożliwa.

dobre sery sporządzać, jak w Szwajcarii; wszystkie są tu bowiem ku temu sprzyjające warunki. Krowy pasą się po halach, gdzie rosną wonne, pełne aromatyczności kwiaty, nieznanne w równinach," a tylko brak „znaczniejszych właścicieli, posiadających większą liczbę krow, którzyby mogli urzeczywistnić powyższe pomysły."

A jednak od czasów Zejsznera upłynęło już lat kilkadziesiąt... Smutne to, ale prawdziwe!

Jeden z najcenniejszych krajobrazów tej doliny przedstawia się z domu leśniczego; niema wątpliwości, że dlatego założyciel jego tutaj się zabudował. Kilkaset kroków na południe wznoszą się bezpośrednio nad doliną niezmiernie ściany, fantastycznie podarte, kończące się w licznych iglicach. Przez rozstąpienie się tej potężnej ściany powstała dolina Kościeliska. W samym końcu, w eterycznej dali, wznosi dumne czoło wspaniała Pyszna, mająca podobieństwo do dachu katedry gotyckiej. Z jednej i drugiej strony Pysznej sterczą również wysokie wirchy. Niekiedy wśród najcieplejszych miesięcy letnich okrywają się te szczyty śniegiem, i wtedy przeciwieństwo powstające pomiędzy ich białością a zieloną murawą, ubarwioną najpyszniejszemi kwiatami, niemało przyczynia się do podwyższenia uroku tego obrazu. W tych przeciwieństwach właśnie leży ukryty wdzięk. Szczytność tego widoku jest skutkiem szczęśliwie zbiegających się w jedną całość wielu okoliczności: powstaje przez malowne ugrupowanie skał, najbujniejszą roślinność, i z tego czystego błękitu niebios, właściwego krajom włoskim. Tatry bowiem stoją na granicy pomiędzy szarawym błękitem nieba północnego, a lazurowym, południowym krajom właściwego. Podobnie, jak w wielu innych dolinach, panuje tutaj uroczysta cisza, przerywana tylko szmerem toczącego się Dunajca. Krajobraz ten, kąpiący się wśród lekkiego powietrza, dziwnie wpływa na usposobienie umysłowe; budzi niewymownie miły spokój duszy i tę harmonję, nieznaną ludziom, rozerwanych drobnostkami życia.

Czytając ten ustęp o kolorystycznych walorach doliny Kościeliskiej, mimowoli przypominamy sobie to, co Witkiewicz pisze w swem mistrzowskim studjum o Mickiewicz u jako koloryście, kładąc nacisk na to, jak twórca Pana Tadeusza „czując bezprzykładnie głęboko i jasno barwność natury, miał wszystkie cechy wielkiego kolorysty malarza.“ W każdym razie nie da się zaprzeczyć, iż Zejszner w swych opisach piękności doliny Kościeliskiej raz po raz daje dowody „głębokiego poczucia harmonji“, że w opisach swych, kreślonych z wielkiem poczuciem malowniczości, nietyle na rzeczy same, ile na ich barwy kładzie nacisk główny. Szkoda, że Witkiewicz nie znał tego studjum Zejsznera o Tatrach: z pewnością byłby mu oddał sprawiedliwość nie tylko jako uczonemu, ale i jako koloryście.

Opisując zarysy skał, wznoszących się po obu stronach doliny Kościeliskiej, o jednej z nich, dzisiaj zwanej Sową, Zejszner pisze, iż „podobna jest do kury siedzącej na jajach“. Opowiadali mu o niej juhasi, że „tu zwykł był obiadować Janosik, tu nakazywał panom posyłać sobie najlepsze jedzenie, najkosztowniejsze wina“.

W samym końcu doliny, pod stopami Pysznej, są ślady rozległych kopalń, zwanych Na k u n s z t a c h, przedewszystkiem w postaci kup żużli, pozostałych po dawnej hucie. Stał tu młyn do mielenia rudy na proszek. Zejszner dotarł aż do czterech potężnych dołów, a przy nich wielkich sto-

sów kamieni, świadczących, iż tu odbywały się na wielką skalę roboty podziemne.

Potwierdzają to powieści mieszkańców o łańcuchach dwieście sążni długich, któremi wyciągano miedziankę i srebrnicę zapomocą kunsztów, czyli wielkich kół obracanych wodą. Wiarogodni ludzie opowiadali mi na Węgrzech, że jeszcze na początku tego wieku towarzystwo z Lubowli dobywało tutaj kruszce; nie mogłem się dowiedzieć o przyczynie zarzucenia tej kopalni.

Oprócz doliny Kościeliskiej opisał Zejszner obszernie w swem studjum i wszystkie inne doliny w Tatrach polskich, począwszy od Strążyskiej i Kalatówek, a skończywszy na Wierchcichej i Chochołowskiej. O każdej miał coś ciekawego do opowiedzenia. Tak np. o górze, wznoszącej się z lewej strony Kalatówek, zapisuje taką opowieść:

Górze tę obrała bujna wyobraźnia Podhalan za składy niezmiernych skarbów, których nikt dotąd nie mógł znaleźć. Że to jest rzeczą pewną, zapewniał mnie mój przewodnik. „Jednego roku przybył do Zakopanego człowiek - Węgier i pytał się mego ojca Gąsienicy, pasającego właśnie owce na Kalatówce, gdzie koniec Kalatówki i perć na nią? Na to ojciec odrzekł, poco pyta? Nie chciał powiedzieć i znów się pytał: czy wie, gdzie jest suchy smrek z wykutą łapą niedźwiedzią? Zrozumiał ojciec, o co mu idzie, i powiedział: ja was tam zawiadę. Skoro weszli na koniec Kalatówki ową percią, nie mogli dostrzec ani smreka, ani łapy na nim. Zginęła. Spostrzegłszy, iż wszelkie starania są daremne, wtedy ów chłop z Węgier odkrył ojcu następującą tajemnicę: „Właśnie byłem w Peszcie, mówił, kiedy tracono zbójów, i gdy wiedli jednego na szubień, odezwał się: Może tu kto jest z Tatrów? Niech wie, że w końcu Kalatówek, pod percią, idąc



do połowy Kondratowej, w jamie niezmiernie jest wiele pieniędzy". Ta wiadomość stała się powodem, że odtąd wszyscy szukają w Kalatówce nadaremnie pieniędzy. Wielu nawet widziało, jak się paliły, to jest, jak się ukazywały w różnych miejscach płomienie. Jednemu z juhasów zginęły raz kozy i długo szukał ich na Kalatówce; wtem blisko wirchu, wśród strasznych skał, spostrzegł słaby płomień, jak kiedy goreje wódka. Przelekły uciekł do szałasów, i co widział, opowiedział. Ojciec Gąsienica wraz z tym pasterzem poszli w toż samo miejsce, ale nie zobaczyli ani ognia, ani znaleźć mogli miejsca, gdzie się paliło.

Nietylko w Tatrach, ale w całych Karpatach panuje głęboko zakorzeniona wiara, że nad zakopanymi pieniędzmi pokazują się płomienie, albo, jak się wyrażają, palą się pieniądze. Trzeba jednakże natychmiast w takie miejsce się udać i kopać, a pewnie wyjadą się skarby. Ale powszechnie tego, co widzi płomień, przejmuje niezmierny strach, ucieka, a gdy wraca, już nie może znaleźć miejsca, skąd się ogień dobywał. Tak to ludzie snują w swej wyobraźni niepodobne rzeczy i wreszcie w nie uwierzą.

Oprócz Morskiego Oka i Pięciu Stawów zwiedził Zejszner wszystkie większe i mniejsze jeziora po polskiej stronie Tatr. Dało mu to możliwość dokładnego ich zbadania naukowego, tudzież opisanie literackiego. Oto np. jak opisał Zmarzły Staw pod Zawratem, który zwiedził w dniu 4 sierpnia 1839 roku:

Nie zastałem tam ani śladu wody, tylko mierną przestrzeń lejkowatą, zagłębioną, okrytą bryłami granitu znaczniejszych wymiarów, a w samym zagłębieniu płat śniegu, mocno poczerniały. Tu mógłby znaleźć poeta obraz zniszczenia w całym znaczeniu martwej natury, gdzie ani śladu niema żyjącego jestestwa, tylko zimne glazy. Takie widoki przyrody, chociaż



przez się nieponętne, zewszecmiar są ciekawe; albowiem i najbujniejsza wyobraźnia nie może sobie wystawić nic okropniejszego, większego, nad te piękności ujemne, że się tak wyrażę.

Bardzo wyczerpująco pod każdym względem opisał Zejszner wszystkie Stawy Gąsienicowe, począwszy od Czarnego pod Kościelcem, a skończywszy na Suczym i Kurtkowcu pod Świnnicą. Zwiedził je Zejszner d. 22 czerwca 1838 roku. Szczyt Staw jeszcze był w dwóch trzecich zamarzły.

O powstaniu tej nazwy tak opowiadał mi przewodnik: „Juhasy z szałasu Gąsienicowego mieli bardzo niedobłą sukę; nietylko nie chodziła za owcami, ale ustawicznie je kaleczyła. Chcąc się pozbyć tego szkodnika, utopili ją w stawie. Po kilku dniach mój pradziad poszedł z czarownikami szukać złota do doliny Kacprowej, w potężnym źródle, zwanem Dziura za polaną. Właśnie była chwila, iż woda nie płynęła z niego. Nie zważając na ciemności, weszli do owej Dziury; na wstępie znaleźli wielki młot żelazny, ważący 20 funtów i ową sukę, przed kilkoma dniami do stawu wrzuconą, która tu wypłynęła podziemnymi kanałami, ciągnącemi się do rzezonego stawu. Gdy się dalej posuwali, zaczęła wzbierać woda, i trzeba było z życiem uchodzić, nie myśląc o złocie.

Zdaje się, iż stawy te Zejszner zwiedził w czasie wycieczki swej na Świnnicę, na której szczyt wyszedł bodaj czy nie pierwszy z Polaków. Okazuje się z jego opisu, że już wtedy, tak samo jak dzisiaj, prowadziły na Świnnicę dwie drogi. „Jedna przez przełęcz Liljowe, nieco dłuższa, ale zato wygodniejsza; druga około płatu śniegu, nader bystro wznosząca się, miejscami nawet niebezpie-

czna.“ Zejszner obrał pierwszą z tych dróg, przez Liljowe, przyczem, jakby w przeczuciu książki Witkiewicza, która wyraz góralski przełęcz wprowadziła raz na zawsze do języka polskiego i uczyniła go zrozumiałym w całej Polsce, tak pisze, z powodu swego odpooczynku na Liljowem, przy ścieżce, „którą z Galicji przechodzą do Węgiei ludzie, wiodący zabroniony handel tytoniem“:

Przełęcz ta jest wcięciem, czyli siodłem, łączącym dwie przyległe góry: Skrajną Turnię i Bieskid. Piękny wyraz „przełęcz“, malujący żywo stosunki geograficzne, godzien jest upowszechnienia.

Opisawszy rozległy widok z „morza granitów“ Pośredniej Turni, tak ciągnie dalej Zejszner:

Patrząc stąd na Świnnicę, wydawało się prawie niepodobieństwem wstąpić na tę nagą skalę. Boki jej są prawie prostopadłe, a strasznie skaliste; jednakże przewodnik prowadził nas bezpiecznie manowcami. i gdyby niekiedy nie trzeba się było przytrzymywać rękoma, droga byłaby wcale niezła.

Widok ze szczytu tego należy do najdzikszych, jaki tylko można sobie wyobrazić. Nic widać nic innego, jak same skaliste wirchy, sam ciemno-szary granit. Na szczycie Świnnicy jest mała płaszczyzna, dziesięć sążni obszerna, na której wygodnie można się pomieścić obok barometru, ustawionego na kamiennym kopcu, który pozostał od pomiarów trygonometrycznych Tatrów, wykonanych przez kwatermistrzostwo austriackie.

Mylił się jednak Zejszner, myśląc, iż wyszedł na najwyższy szczyt Świnnicy; szczyt bowiem, z kamiennym kopcem, ustawionym przez inżynier-

rów austriackich a istniejącym aż po dziś dzień, jest niższym szczytem tej góry.

Bawiąc w Zakopanem, nie omieszkał Zejszner wdrzeć się na szczyt Gewontu, który stale nazywa *Gewantem*. Czy przy tej sposobności poszedł dalej przez Kopę Kondracką, na Czerwony Wierch i Krzesanicę, trudno wywnioskować z jego rozprawy. W każdym razie był na tych szczytach, a wracał z nich przez Uplaz i Małą Łąkę. Oto jego wrażenia z wycieczki na Gewont i do tegoż szczyby.

Szczerbina ta jest potężnym otworem, dzielącym grzbiet na dwie nierówne części; północna tworzy podłużny grzbiet, na który nie śmie wstąpić i najśmielszy juhas; niema miejsca dla człowieka utrzymać się na tej ostrej krawędzi; druga część Gewantu mniejsza, ale zato nieco wyższa, jest do stogu siana podobna i dlatego nosi nazwę Kopa Gewantu. Jeszcze trudniejszy na nią wstęp, bo trzeba się wdrapywać i rękami pomagać. Na samym szczycie jest równinka, na której wygodnie ustawiłem barometr... Widoki z tej wyskakującej skały nie są bez wdzięku; w dolinie Kondratowej niema nic szczególnego; ale na Małą Łąkę jeżeli nie należy do arcypięknych, jednakże odznacza się niezwykłością i sownie wynagradza trud wstępowania i ten pot, wylewający się (w dzień skwarny) z każdego włoska.

Widok ze szczytu prawie jest zupełnie taki, jak ze Szczerbiny. Jak dobrze znane miasto z wysokości wieży całkiem obce ma wejrzenie, i nie można poznać go z początku: tak samo wydają się stąd doliny Białej i Małej Łąki. Góra ta nie jest tak wysoką, iżby spływały przedmioty w masowe płaszczyzny; można odróżnić jeszcze nierówności nawet leśnych drzew; z czarnych powłok świerkowych wyskakują siwe skały, pomiędzy

któremi ciągną się doliny. wydające się jak długie szmaragdowe wstęgi, a polany gdzie niegdzie przerywane są srebrnym potokiem. Widnokrąg zakończają Beskidy, ginące w mgławej dali. Z nich, prawie naprzeciw, wznosi się najwyższa góra tego pasma, potężna Babia Góra.<sup>1)</sup>

Niezmiernie interesujących wrażeń doznał Zejszner w czasie swej wycieczki na szczyt Pysznej, którą w swej pracy opisał nader szczegółowo. Odbył ją w towarzystwie malarza Bönischa, słynnego pejzażysty niemieckiego:

Gdyśmy wstępowali na tę wspaniałą górę, słońce przyświecało najpiękniej; szczyty od północy bawiły nas swemi śmiałymi kształtami; Kościeliska dolina zupełnie się odmieniła; formy gór były nie do poznania i dumaliśmy wiele nad tą zmianą przez parę godzin, potrzebnych do ustawienia i poczynienia obserwacji na barometrze. Wtem od północy nadciągnęły ku nam pojedyncze obłoczki; zbliżając się do tych potężnych wirchów, gwałtownie, prawie konwulsyjnie były przyciągane, podobnie, jak przyciąga magnes żelazo; wkrótce wypełnił obłok (będący niczem innym, jak gęstą białą mgłą) to dolinowate zagłębienie, pędzony silnymi wiatrami. Raz wraz obłok jeden za drugim

---

<sup>1)</sup> Godzi się także zanotować przy sposobności i to, co o Gewoncie pisze Feliks Berdau w swej Wycieczce botanicznej w Tatrach, odbytej w roku 1854. „Roślinność Giewontu — czytamy tam — dosyć jest bujną i o tyle rozmaitą, że prawie trzy czwartej roślin alpejskich, później na innych miejscach natrafianych, znalazłem tutaj zgromadzone. Dnia 10 sierpnia wszystko było na nim w pełnym kwiecie, a w niektórych załawkach, gdzie słońce później mogło śniegi stopić, znalazłem rośliny wiosenne, dopiero się rozwijające...”

następował, i w różnych odstępach czasu powtarzało się to zjawisko; każdy ginął gdzieś w Liptowskiej dolinie. Kiedyśmy wracali, na długim grzbiecie Pysznej okazał się nam jeden z najszczególniejszych fenomenów optycznych. Właśnie wypełniała gęsta mgła dolinę, ciągnącą się na wschód od Pysznej, czasem nawet zachodziła na nasz grzbiet; była to godzina popołudniowa, a słońce od zachodu rzucało skośne promienie. Nagle przewodnicy na przodzie idący zaczęli głośno wołać, wskazując na dolinę w mgłę zanurzoną. Zbliżywszy się do nich, spostrzegliśmy, że każdego człowieka cień pokazywał się w odległości w mgłę, obwiedziony kolorami tęczy; jednocześnie uważałem niekiedy cztery do pięciu podobnych obrazów. Zjawisko to było najwyraźniejszym wtedy, gdy człowieka, którego obraz ukazywał się, odziała lekka mgła. P. Bö-nisch, mój towarzysz podróży na Pyszną, znakomity malarz krajobrazów z Berlina, z właściwą sobie sztuką olejno wymalował i zrobił obraz mistrzowski tego optycznego zjawiska. Kolory tęczy nie były tak jasne, jak podczas deszczu, ale dokładnie można było je poznać.

Ażeby nie błądzić we mgłę, schodzono zachodnim stokiem Bystrej, nader stromym, a choć i tu mgły zasłoniły cały widnokrąg, szczęśliwie do-tarto do mniej pochyłego boku góry, gdzie też i mgły pozostawiono za sobą w górze. Dopiero nazajutrz, wchodząc na przyległy szczyt Ornaku, przekonano się, po jak niebezpiecznych urwiskach schodzono z Pysznej.

Niewątpliwie obdarzony wybitnym literackim talentem, Zejszner był doskonałym obserwatorem, zarówno przyrody górskiej jak i życia w górach. Oto np. charakterystyczny obraz koni góralskich, swobodnie pasących się nad halami, bez żadnego

nadzoru. Obrazek to, godny akwarelowego pendzla Juljusza Kossaka.

Ile razy wydarzało mi się napotkać konie w tych samotniach. Zbliżały się do nas, usiłując wszelkimi sposobami okazać swą radość: rżały, skakały, i za odchodzącymi postępowało często całe stado, jakby dla pożegnania. Trzeba je było odganiać. Wtedy wychodziły na wzgórze, wyzierały ku nam, a tymczasem wiatry igrały z ich grzywą.

Chociaż są bez pasterzy, nie oddalają się z pobliskich dolin, jeżeli te dają im dostateczną paszę. Raz na tydzień przybywa do nich jeden lub dwóch juhasów, dla zrachowania i obejrzenia czy się im nie wydarzył jaki przypadek.

Jednakże corocznie ginie wiele koni na halach, jeżeli nie od wilków, to od mrozu. Gdy ulewne deszcze padają na równinach, w górach zamieniają się one w śnieg; wtedy konie, błądząc po halach, niespokojne, że nie mogą znaleźć drogi, pną się na wysokości, by dostrzec szałas lub mieszkanie swych panów; ale niezmierną zadymką zasłania nawet bliskie przedmioty; wychodzą więc na coraz wyższe góry, a tam zastają tylko większe zimna. Zgłodzone, przeziębione, straciwszy ostatki sił, giną od mrozu wśród najcieplejszych naszych miesięcy, w lipcu i w sierpniu. Juhasy wychodzą wprawdzie na ich spotkanie, ale gdy zawieja i śniegi po wirkach zaczną dąć, trzeba być bardzo ostrożnym, by drogi nie zmylić: pospolicie wracają, nic nie wskórawszy, a konie zostają na łasce Opatrzności.

Co za szkoda, że Witkiewicz z tego motywu nie namalował drugiej Kurniawy: o ileż bowiem tragiczniejszemi, aniżeli barany, pędzone w czasie zamieci przez juhasów, są te opuszczone konie wśród pustych wysoczyzn górskich, bez nadziejnie skazane na zmarznięcie wśród takiej śnieżnej zadymki.



## IV.

W tym samym czasie mniej więcej, co Zejszner, bo w roku 1840 zrobił wycieczkę do Zakopanego i doliny Kościeliskiej redaktor L w o w i a n i n a i ruchliwy wtedy we Lwowie literat, Ludwik Zieliński. Lubo nie zachwycony Tatrami, doznane tam wrażenia opisał w artykule, wydrukowanym w zeszytach 5-tym i 6-tym L w o w i a n i n a pod następującym, dosyć długim tytułem: *Odwidziny gór tatrzańskich. Wyjątek z podróży po Galicji, odbytej r. 1840.* Artykuł ten, wogóle nieosobliwy pod żadnym względem, przynosi jedną wiadomość ciekawą, że już w r. 1840 zwiedzali dolinę Kościeliską... Anglicy!

Wjechawszy „triumfalnie na wózku góralskim od wsi Poronin przez górę prościuteńko do Zakopanego“, który to triumfalny wjazd odbywał wieczorem, przy księżycowej pogodzie, nie zachwycił się Zieliński miejscowością tą bynajmniej, pomimo iż „skały tu i owdzie nakryte płatką śniegu, wyglądały w swej szarej kapocie, jako starzy gospodarze, zadumani nad losem kartofli i owsa“. Zajechawszy do Kuźnic, doznał tu jakiegoś niemiłego uczucia pustki.

Istne zakopane wryło się między skały, między dwie rozpadliny gór, które za lada wstrząśnięciem ziemi wywrócić się mogą. Jabym nie mieszkał w Zakopanem!... Strach wielki opanował mnie, gdym się zbliżył do tych skał. Szczególniej ta pierwsza po lewej



ręce<sup>1)</sup> nastawiła się, aby komu na łeb zlecieć. Huk spadającej wody gdzieś tam po hamerni, dobił tchórza doreszty. Usiadłem więc na ziemi, a westchnąwszy szczerze za domem, rodziną i dziećmi, rzekłem sam do siebie: „Po jakiego licha jadę w te miejsca, gdzie chłodno, głodno i do domu daleko!“ A gdy zmartwiony, ledwie że nie płakałem, gdzieby nocleg odbyć, Opatrzność zsyła mi przyjaciela; on to, bywalec w tych stronach, miał pieczeń i dobre wino, które wiecznie pamiętać będę, bo drugiego dnia miałem post, miłe przypomnienie przeszłości. Drugiego dnia pobiegłem do garkuchni; tam był widok osobliwy: gospodarz czyścił garnki, a jejmość kurzyła tytoń. Obiadu niema, choćbyś dał dukata.

Rozgoryczony tym zawodem, wybrał się Zieliński na wycieczkę do doliny Kościeliskiej, ale mu „nie tak cudnie wyglądała, jak ją opisano“. Zdaniem jego, „takich dolin więcej mamy w naszym kraju“. A jednak zastał tu dwóch Anglików, którzy, przyjechawszy tu „zapewne dla rozpedzenia swego spleenu“, nietylko byli zachwyceni Kościeliskami, ale nawet okazali się tak serdecznymi wobec zgorzkniałego literata-pieczeniarsza ze Lwowa, że go poczęstowali kapłonem i winem.

Ulitowani pokorną miną niedouczzonego literata, dali kapłona; ależ to był kapłon większy, niż Łomnica, i wino smaczne, i chleb arcy-dobry, i wtenczas obejrzałem się na dolinę Kościeliską i... cudniejszą wydała mi się w tej chwili. Cudna dolina, wąska a długa, zielona, jak zielony aksamit, a po jednym i drugim boku skały i skały i... nic więcej.

Upadam do nóg, żegnam Anglików, z którymi na migi rozmawiać mogłem, a mój góral szepce mi w ucho:

<sup>1)</sup> Nosal.

„To nie ludzie; z nimi niema rozmowy: coś bełkocą, jakby im języki poucinał“. Ja mu na to: „Szkoda, że nie znasz Szekspira!“ „Spira? we dyć to nas górał, znam go“. Na tem się skończyła moja podróż romantyczna, którą deszcz zmoczył ku wieczorowi.

Bardziej zachwycony kapłonem Anglików, aniżeli doliną Kościeliską, poznania innych osobliwości Tatr nie był już Zieliński ciekawy.

## V.

Ludwik Pietrusiński, autor bardzo popularnych w swoim czasie Podróży, przejażdżek i przechadzek po Europie, zdobył się w roku 1844 na niebanalny Przelot z Krakowa na szczyt Łomnicki w Tatrach, przyczem odbywał tę śmiałą wycieczkę również w towarzystwie Anglików.

Że podobna wycieczka naprawdę w tych czasach była bardzo śmiała, o tem przekonały Pietrusińskiego już pierwsze do niej przygotowania w Krakowie.

Cztery godziny strawiłem, nim się o drogę do Tatr i okazje do nich wywiedzieć zdołałem. Łatwiej jest w Krakowie puścić się do Paryża o mil 200, niż w Tatry o mil 15. Aby stanąć nad Sekwaną składasz paszport, zapisujesz się na pruską kurjerkę... na odgłos trąbki wsadzają cię do pysznie wysłanej karety... zasypiasz... budzą cię... wysiadasz... płacisz... znowu wsiadasz; i tak ciągle naprzemian śpisz, płacisz, jesz i wysiadasz, aż nareszcie wołają: „Fort de Romain-

ville!“ i jesteś na miejscu. Masz się udać w Tatry?... zdania są podzielone co do paszportów, passier-zettlów, ważności ich na Galicję i Węgry. Ten radzi jechać Wieliczką i Sączem. „A któżby tak kołował“, woła drugi. „Przecież na Myślenice i Nowy Targ!“ „Tam wierutne bezdroża!“, zarzuca pierwszy. „Za pozwoleniem, przerwałem, powiedzcie mi panowie najprzód, gdzie jest ten szczyt Łomnicki? czy w Galicji, czy na Węgrzech?“ Oniemieli na to pytanie. „Gdzie jest ten Krapak Wielki?“ Milczą jak figura w Zampie. „Ta największa góra, śniegiem oblana, którą widać między Tatrami z góry św. Bronisławy?“ Utnij szyć, ani słowa. „Jako? to nie wiecie, gdzie ta góra? w którym cyrkule, komitacie, hrabstwie, obwodzie?“ „Nigdy na niej nie byliśmy. A pocoby się tam człek wspinał!“

Obrawszy drogę na Myślenice i Nowy Targ, gdy wreszcie wózek wtoczył się w rozległą dolinę Nowotarską, Pietrusiński wdał się w rozmowę z woźnicą-górale, przyczem dowiedział się różnych ciekawych rzeczy. Tak np. usłyszał o Zakopanem, że „moc państwa co roku tam zjeżdża“, a całe Podhale, choć niby to odcięte od świata, tak jest przeludnione, że „podczas, kiedy urodzajne niwy pszenne wschodniej Galicji zaledwie mają 2000 mieszkańców na mili kwadratowej, z tutejszych kilkunastu każda liczy do 3000 i więcej ludności“, bo w państwie nowotarskiem statystycy liczą 3684 głów na jednej mili kwadratowej.

Dobra te były od niepamiętnych czasów starościńskie i królewskie. Tu królowie polscy wyjeżdżali na łowy; tu Kazimierz Wielki założył był w Tatrach kopalnię i sztolnię na złoto. Tu osiedlali się wysłuzeni wojskowi; tu się zagospodarowywali sołtysi i wój-

towie; tu gromady, przez ziemię i niebo upośledzone, wyjednały sobie były od wieków różne prawa i przywileje. Niepłodność gruntu skasowała pańszczyznę, zaprowadziła czynsze. Zielone podgórze, rzeki i lasy sprzyjały chowowi bydła, ciesiołce i splawowi, a co ze wszystkiego najważniejsza, starostowie i panowie, widząc, iż w tej nieprzyjaznego klimatu dolinie niema z nagich górali wiele zysków do ciągnięcia, czy to miłosierdziem tknięci, czy też lepszymi korzyściami gdzie indziej zajęci, zostawili cały ten lud samemu sobie. Nie było więc szczęśliwszego położenia dla włościanina. Bez szkół obcych całe Nowotarskie nauczyło się czytać i pisać; bez zachęceń całe Nowotarskie przędzie, uprawia len, robi płótno; bez rozkazów całe Nowotarskie nie zna odłogów i w pracowitości prześciga Szwajcarów, a w ochędostwieomal nie zbliża się do Holendrów. Bez wzorów całe Nowotarskie dosyć wygodnie i przyjemnie zbudowane ma chaty włościańskie. Bez niczyjogo wpływu Nowotarskie choduje lepsze, silniejsze bydło. Bez niczyjogo zabiegu Nowotarskie tak się zaludniło, iż ostatnia pod Tatrami wieś, Zakopane, liczy przeszło 3000 mieszkańców i ciągnie się z milę. Bez obcego wpływu niektóre wsi tak się zbogaciły, że jak np. Czarny Dunajec, wykupiły się całkiem z pod własności dziedzica. Bez obcego wpływu, rodzaj cywilizacji, uprzejmości, wesolej gościnności tak się upowszechnił między ludem, iż nie potrzebaby, jak porwać pierwszą lepszą Dzianiszankę, zrzucić z niej bieluchny rańtuch, zielony kaftanik, niebieską spódnicę i biały fartuch, a przystroić ją w suknię aksamitną i oduczyć jej przez 6 tygodni mazurszczyzny, a możnaby ją posadzić w salonie obok niejednych panien, i ręczę, że dowcip jej naturalny zawróciłby głowę niejednemu brodatemu szarmantowi.

W Kesmarku Pietrusiński poznał się ze słynnym przewodnikiem na Łomnicę Fabrim.

Był to poczciwy Niemiec z rodziny Fabrich. Rodzina ta, od wieków w Kesmarku zamieszkała, co roku

szuka skarbów w Tatrach. Tymczasem, nim je wynajdzie, trudni się przewodnictwem podróżnych w wycieczkach, i naprawą obuwia kesmarczanom i kesmarczankom.

Tego samego dnia nastąpiło poznanie z młodą parą Anglików, którzy również wybierali się na Łomnicę, a dowiedziawszy się, że młody Polak, mający iść z Fabrim, mówi po angielsku, zaproponowali mu, żeby się wybrano razem. Było to, jak się okazało, bardzo oryginalne małżeństwo. Milady, nieco starsza od męża, młodego lorda, była poetką i literatką; podczas, gdy małżonek jej, typowy arystokrata angielski, trochę pozował na filozofa. W każdym razie oboje byli bardzo inteligentni i wykształceni, zapaleni podróżnicy, a podróżowali z całym dworem. Jakoż rozmawiało się z nimi bardzo przyjemnie. Wogóle okazali się niezmiernie miłymi towarzyszami.

Gdy nazajutrz rano wyruszono z Kesmarku całym taborem, paroma powozami i wozami, na pierwszy popas zatrzymano się w Kamiennej Wodzie w miejscowej leśniczówce, której mieszkańcy, „i majer, i majerka, i małe majerczątka“ mówili po polsku, dość mocno zatraćając ze słowacka.

U nich nocował był w r. 1793 angielski podróżnik Townson; u nich nocował szwedzki botanik Wahlenberg; tu nocowali niejedni odwiedziciele Tatr. O, bo Tatry odawna już ściągały na siebie uwagę znakomych cudzoziemców. Z za kanału La Manche przybyli do nich: Townson, Hunter, Arnold, Hambrough, Francuzi reprezentowani tu byli przez Beudanta, Hiszpanie przez Gimbernata. Nawet z Ameryki, z Meksyku, poznały Tatry podróżnika Decamara.

Tylko w swym własnym kraju olbrzymi ci strażnicy dotąd należytej czci nie odebrali, jak gdyby na sprawdzenie przysłowia: *Nemo in patria vates*, albo po polsku (z Twardowskiego):

Nikt w swej ojczyźnie  
Miodu nie liźnie.

A pomimo tego, któż nie wie, że ziemia Spiska ma znaczny dochód z miedzi, żelaza i srebra. Któż nie słyszał o złocie, drogich kamieniach i niesłychanych skarbach, które się w jeziorach tatrzańskich miały znajdować? Są rodziny, które co roku w lecie idą w głąbie Tatr szukać skarbów pod śniegiem i lodem. Czyż nie krążą ciągle między ludem powieści o skarbnicy pod skałą Mnicha nad jeziorem Żabim? O kokosze wysiadującej tu w piasku złotym jaja złote? O czarnoksiężnikach, których juhasi przez rozpadliny skał nieraz posuwających się widzieli? Czyż nie poświadcza sam Czapłowicz, iż około roku 1750 był w Kieżmarku mieszczanin, który sobie co roku z Tatr całe kawały złota przynosił, Żydom krakowskim sprzedawał i z tego się utrzymywał? Czyliż mieszczanin ten na łożu śmiertelnem nie odkrył miejsca tego ewangelickiemu kaznodziej Hellnerowi, którego atoli wkrótce potem śmierć zaskoczyła? Czyli i to nie jest prawdą, co tenże Czapłowicz poświadcza, iż koło r. 1770 włościanin Jekel z Wielkiego Sławkowa przyniósł był z Tatr kawał kruszcu złotego, tak wielki jak konew, który sprzedał złotnikowi w Nowej Wsi funt po 3 reńskie? Czyliż król Maciej Korwin, a w nowszych czasach towarzystwa górnicze z Nowej Wsi nie kopali złota na Krywanu w wysokości prawdziwie przestraszającej?

Z leśniczówki „majerów“, skąd powozy wróciły do Kesmarku, ruszono w dalszą drogę pieszo, częścią konno. „Górale z futrami, torbami, strzelbami i instrumentami, zeskoczywszy z wozów,



utworzyli oddział piechoty. Osiodłano konie wiejskie, które tam już na nas czekały, i damy, oraz nas czterech, tworzyliśmy kawalerję. Zapewne na odgłos naszej sławnej ekspedycji nadciągnął i rektor, t. j. nauczyciel szkółki ewangelickiej z pobliskiej wioski, zapalony myśliwy na dzikie kozy, wyglądający w krótkim płaszczyku, do góry zawiniętym kapeluszu i z dubeltówką przez plecy przewieszoną, jak Samuel z Wolnego Strzelca.“

Po całodziennej wędrówce wśród granitów, przed wieczorem zatrzymano się przy jeziorze Kamiennem, gdzie miano przenocować pod gołym niebem, a raczej w kolebie, którą służba Anglików niebawem zmieniła w „grootę pysznym dywanem wysłaną“. Tam posłano dla dam, podczas gdy mężczyźni, pozawijani w pledy, spali nieopodal, w pobliżu rozpalonego ogniska.

Nazajutrz, przy dość niepewnej, coraz bardziej pochmurnej pogodzie, wyruszono w dalszą drogę, ale po upływie dwóch godzin zatrzymano się na siodle Łomnicy, a tymczasem coraz niżej ciągnące chmury przesłoniły wszystkie szczyty. Towarzystwo podzieliło się na dwie partje: Anglik z damami zdecydowali się wrócić do Kesmarku, a tylko sam Pietrusiński i jego dwaj przewodnicy wytrwali w zamiarze wyjścia na szczyt Łomnicy.

Przewodnik mój, który dotąd prawie był nic nie mówił, wypalił na wstępie orację do mnie, wypytując mnie się, czy nie jestem uległy zawrotowi głowy? Czem drugi Niemiec był, nie wiem prawdziwie. Z ubioru sukienego, kapelusza okrągłego i butów miejskich



sądzić było można, że to jakiś przedmieszczanin z Kiezmarku. Ale że miał przez ramię przewieszony skórzany pas z torbą i niósł potrzebną dla nas amunicję, przeto wyglądał raczej na sługę, i Führer tytułował go Träger'em.

Wątpię, żeby ich obu z ciepłych łóż sama chęć zysku na wirchy wyprowadzała; bo zwykłym wynagrodzeniem przewodnika za 3 dni jest dukat lub 2 w złocie, a Träger z domu aż na wirch otrzymuje 6 cwancygierów. Że do tej wyprawy namówiło ich w wielkiej części owo zamiłowanie gór, które u szczególnych ludzi zamienia się w podobną namiętność, jak pasja do polowania albo do gier losowych, w tem mniemaniu utwierdziła mię okoliczność, iż nie wiem skąd znalazł się oprócz nich dwóch, jeszcze trzeci, 10-cio lub 12-to letni Niemczyk, syn czy krewny przewodnika, który jak wiewiórka zwinny i sprytny, tworzył przednią straż naszego korpusu.

Łomnicką wystaw sobie, jakby niesłychanie wielką wieżę z ogromnych pieców kaflowych. Na dolnym szeregu tych pieców, stoi szereg drugi węższy, na drugim trzeci jeszcze węższy, i t. d., a tak tworzą się z 3 stron nietylko piętra, ale tarasy czyli schody. Do tego dodać potrzeba, że tarasy te czyli schody nie są regularne, ale jedne niższe, drugie wyższe, jedne przerwane, drugie wyszczerbione: tu kilka sążni gładkiej ściany bez żadnego gzymsu, szpary, schodku, tam rozpadlina czyli rów, z góry na dół luźnemi kamyczkami napełniony, po których wygodnie kawał w górę iść można. „Geben Euer Gnaden Acht!“, zawołał przewodnik, „bo te stoczone kamienie (das Gerölle), jak się pod nogami pańskimi ruszą, to cały szereg onychże zleci koziołkując na dół, kamyczki te jedne poruszą drugie, te zaczną się zsuwać za tamtymi i wnet w tysięcznych skokach spadnie na dół deszcz kamienny, mogący skałeczyc tych, coby wówczas pod górę szli lub pod nią stali“.

Mimo rady przewodnika udałem się zamiast na prawo o kilka kroków na lewo. Idę, ale uszedłszy



(Tatry i Zakopane.)

Tatry Spiskie z Rohatki.  
<http://rcin.org.pl>

ROTOBRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
św. WOJCIECHA w POZNANIU



z pięć minut, natrafiłem na tak wysoką, gładką ścianę, iż chyba kot lub wiewiórka mogłyby się na nią dostać wyżej. Niema przejścia; na prawo i na lewo sterczą z góry na dół ogromne kanty skał. Nic nie pomogło; musiałem się wrócić kawał na dół i iść wskazaną sobie przez przewodnika ścieżką.

Już oddawna laskę rzuciłem, bo tam gdzie tylko chwytając się raz tą ręką, raz tamtą, to tego, to owego ostrza, to tej, to owej kończatości skały, możesz iść pod górę, tam nie mając trzeciej ręki, nie masz z laski żadnej pomocy, ale raczej przeszkodę.

I rozmowa wkrótce ustała... „Na, hier ist's besser.. Na, dort wird's besser seyn... Bitte links, dicht hinter mir... so, so... Jetzt weiter. Dort ist's schlecht... da komm'er nich durch!.. Langsam, Kleiner... Sehen sich Euer Gnaden nicht um“... O to nieobzieranie się prosi przewodnik dlatego, aby... Otóż nie wiem dlaczego? Zdaje mi się, iż właśnie powinien prosić, aby się gość często obzierał, i tym sposobem do widoku z takiej wysokości powoli przyzwyczaił, bo kto uległy jest zawrotowi głowy, łatwo go dostać może, spojrzawszy bez przygotowania nagle z takiego wzniesienia. Ja się też często obzierałem, a osobliwie ku stronie, którą piękniejsza część towarzystwa naszego była odeszła. Ujrzałem Milady żegnającą mię chustką. Byłem od niej 70 piątr wyżej. Wkrótce obejrzałem się znowu. Już ich widać nie było...

A więc sam, sam jeden z tymi trzema pocziwymi Niemcami drapię się pod górę. Żadnej rozmowy, żadnego zasiłku dla ducha, tylko mechaniczna praca, mechaniczne rękodzieło. Ale nie, nie sam jestem... Ty jesteś przy mnie, wiekopomny Staszicu! Ciebie, którego jako swojskiego przewodnika trzymałem naprzód w ręce, niosę teraz w chustce na pierśsiach przywiązanego jak depeszę. Ty byłeś i jesteś moim przewodnikiem: Tyś szedł tutaj temi samymi skał urwiskami, Tyś się wspinał po tych samych kamkach, na szczyt tego, jak go zowiesz, Krapaku.

Było ich tu wielu na tym szczycie, ale znakomitszego, cnotliwszego od Ciebie nie było.

Popatrzyłem na zegarek. Już pół do 11-tej. Słońce dnia tego grało rolę niepewną. Już to chciało być wspaniałem, już to, jak kutwa, garnęło do siebie bezużytecznie swe promienie. Zamiast, żeby koło południa miało być cieplej, wiatr zimny chłodził potem złane skronie.

Zakomenderowałem na chwilę: „Stój!“ Czy nie tam ten koszar łomnicki, na którym Staszic nocował i skąd z 3-ma góralami utorował sobie drogę na szczyt Łomnicy? Łatwiejsza jest wędrowka po Alpach śniegami. Tu śniegi wyglądają tylko z rozpadlin Tatr, osobliwie ku północy obróconych, tak iż o spacerze po nich ani myśleć, zwłaszcza iż powierzchnia ich nie jest (jak w Szwajcarii) zwolniała, ale przeciwnie, w najgorętsze dni lata zlodowaciała i śliską.

Słyszemy mocny świst!... „Ei, Väterchen! zwołał chłopczyk. Sieh da! Zwei Steinböcke!“ Wszyscy wlepili oczy w te kozły, których ja atoli na pochyłości szarej przeciwległej góry wcale rozpoznać nie mogłem. Cóż to zatrzepotało się nad nami?... To orzeł leci ku szczytowi Łomnickiej. Idźmy więc za nim.

Idziemy. Krawędzie skał stają się coraz węższymi. Gdzie niegdzie rowek, brózda tak są płytkie, iż ledwie krawędź podeszwy lub paznokcie ręki o nią się zaczepić mogą. Zaczynamy grać w gąski. Przewodnik prosi, abym krok w krok szedł za nim. Dwaj drudzy wstępują w moje ślady. Gdzie Niemiec stawia nogę, ja stawiam swoją, gdzie on się uchwyci prawą ręką, ja się chwytam prawą; gdzie się uchwyci lewą, ja lewą. „Wir sind gleich oben“, zapewnia mię przewodnik. Ale to gleich nie mogło być równoznaczącem z polskiem zaraz; bo minęła i 12-ta i wpół do 1-ej a jeszcze zaw-szcze szczytu nie widać. Już dawno rękawiczki zmieniły się w mitenki; już dawno wesoły humor wywietrzał i zaczęło się po głowie roić pytanie: którędy też nazad

schodzić się będzie? przecież samo się przez się rozumie, że tędy że tą samą drogą niepodobna?

Znowu okropny wicher wstrząsnął powietrzem. „Nur sich fest anhalten!“ była komenda przewodnika. A po pięciu minutach zajaśniał znów śliczny lazur na niebie... „Da sind wir schon oben!“ krzyknął chrapliwym głosem przewodnik. Spozieram w górę... widzę go wywijającego kapeluszem. Wysunął się do góry chłopczyk. Za nim, jak węgorz, ja się wysunąłem. I otóż jestem na wirchu Łomnickim!

Zachwycony widokiem, roztaczającym się ze szczytu, Pietrusiński opisał go na kilkunastu stronicach (nie szczędząc cytat ze Staszica), a gdy już dostatecznie nasycił wzrok „tym archipelagiem łąskich wirchów i szczytów, bielących się z głębi ciemnych dolin“, po tem „umysłowem pokrzepieniu“, „podali mu poczciwi Niemcy torbę z posiłkiem dla ciała“. Wtem nadciągnęła burza.

„Herr Gott! Da kommt ein gewaltiger Sturm!“ krzyknął nagle drugi Niemiec. Obzieramy się i widzimy chmurę wypadającą, jak duże jezioro z poza dwóch wirchów, daleko niższych od Łomnickiej. Zagrał uwerturę wicher szalony, zagrał ją na wszystkich instrumentach pisku, ryku, syku, miauku i gwizdzenia. Za chmurą, jak zazdrość żółta, wywaliła się druga czarna, trzecia czarniejsza, czwarta z piątą najczarniejsza i zaczął się taniec ich okropny. Zawyły naraz wszystkie amfiteatry głązów. Jak białe niedźwiedź, rzucony na środek cyrku między cztery rozjuszony tygrysy, tak tu na żółtą chmurę rzuciły się z wściekłością paszcze czterech czarnych. Rozpoczął się przeraźliwy chór furyj, któremu Perkun góralów jasnym migotem takt dawał. Parta ze wszystkich stron, chmura żółta pada od strzałów artylerji, wywraca się jezioro i wylewa się ocean wody na ziemię.



Może na 2000 stóp wzniesieni nad ten potop, przypatrywaliśmy się mu z wierzchołku, jakby z pająka, od sufitu nieba wiszącego. Dla pokrzepienia myśli, przewodnik kazał nam przylegnąć do skały, nieco niżej szczytu... Wzniesieni nad poziome losy dolnego świata, oczekiwaliśmy w naszym najwyższym porcie bezpieczeństwa, końca tego chaosu żywiołów.

Ale burza ta, o ile gwałtowna, o tyle przemienęła szybko. Wnet znowu wyjrzało słońce.

Od południa, nad doliną Małego Kolbachu unosi się milion pereł w obłoku, milion kropli łzawych, które całusem słońca zapłonione, jakby siedmiu tonami muzyki, wnoszą dwoma siedmiokolorowemi półkolami hymn uwielbienia dla Władcy natury.

Jeśli pysznym jest widok tęcz, dwóch tęcz, w górze, nad nami, jakby łuków wiążących niebo z ziemią, którymże z tych siedmiu kolorów odmaluję widok tęcz, ukazujących się tu nisko, pod nami. Jakże ci opiszę wrażenie, kiedy promieniste słońce, rozdarłszy na dwoje zasłonę ciemności, nawet na tem grobowisku, na tych szczękach trupich głów chwilowy uśmiech wymusiło!

Trochę niżej od samego szczytu przewodnik ukazał mi małą jamę, utworzoną ręką ludzką z głazów. Wyjął z niej zwyczajną butelkę zieloną, w której były papierki w trąbkę zwinięte. Wysypał je wszystkie, i czytaliśmy nazwiska gości tutejszych, którzy nie zastawszy snadź tego, kogo tu szukali, zostawili mu swe karty wizytowe. Można się domyślić, iż od żadnej damy karty wizytowej nie było.

Ale co mię ubawiło, to trzy bilety pana..., na których napisał: „Trzech pierwszych po nim przybywających tu miłośników natury, jakiegokolwiek narodu, religji i stanu, zaprasza do siebie hrabia..., zamieszkały w dobrach swych..., w komitacie..., o mil... od...; gdzie będą przyjęci, jak dawni przyjaciele.“ Przewodnik oznajmił mi, iż dał słowo hrabiemu, z którym tu był



przed kilkoma dniami, że niezawodnie te bilety zapraszające wręczy trzem pierwszym następnym gościom, a że ja byłem pierwszym, więc zaraz mi jeden gwałtem wcisnął do ręki. Wątpię, żebym z tych zaprosin skorzystał.

Choć miejsce zamieszkania hrabiego \*\*\* było w północnych Węgrzech i chociaż zaprosiny te dla samej swej oryginalności na wzgląd zasługiwały, mimo to Pietrusiński, któremu pilno było do narzeczonej w Krakowie, skorzystać z nich nie miał jakoś ochoty.

---

## VI.

W końcu maja 1850 roku wybrał się w Tatry w celach naukowych znakomity ornitolog polski Kazimierz hr. Wodzicki.

Wezwany od osób miłujących nauki przyrodzone, aby zbadać dokładnie Karpaty i Tatry, średnie i niższe góry Sandeckie, i przekonać się naocznie w różnych porach roku, jakie skarby ornitologiczne w tych mało znanych zakątkach dla historii naturalnej zebrać można, wybrałem wiosnę, czas, w którym dotąd żaden podróżujący nie śmiał wstąpić na szczyty okryte śniegiem niezglębionym, a to dla wyszukania gniazd ledwie znanych lotnych mieszkańców, i poznania dokładnego miejsc, materiałów używanych do budowy, jaj i piskląt, a szczególnie uważania ptaków w chwili gnieźdzenia się.

Z wrażeń i rezultatów naukowych, nagromadzonych podczas tej wycieczki, powstała bardzo interesująca książka, wydana w Lesznie

w r. 1851 nakładem autora p. t. Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty Galicyjskie na początku czerwca 1850 roku.

Oto niektóre ciekawsze momenty tej podróży:

Wyjechałem z Krakowa ku końcowi maja sam, gdyż mój zwykły towarzysz wycieczek podobnych, E. S. hipohondryk i śledziennik (jak to mniej więcej każdy naturalista bywa) nie dotrzymał przyrzeczenia. Ze smutkiem więc w duszy rozpocząłem podróż, gdyż nietylko osobiste bezpieczeństwo wymaga w dzisiejszym stanie Galicji pomocnika, lecz i nauka na braku takowego w pracy wiele traci...

Wyjechawszy własnymi końmi, o mało życiem nie przypłaciłem tego dawnego polskiego zwyczaju. Powolne one na równinie, w górach zniecierpliwione ciągłem szarpaniem i szturchaniem po kamieniach, potarły pasy, połamały wagi i najszybszym pędem uniosły mnie ku przepaści. Wielkiem mojem szczęściem znalazł się na mej drodze świerk, na którym wóz wyróciwszy się, uchronił mię od okropnej śmierci. Pokaleczony i stłuczony dostałem się nad wieczorem do Nowego Targu (Neumark) drogą, której nie opisuję, bo sądzę, iż żaden podróżujący po tejże błędzić nie będzie; ornitologom jej nie wskazuję, chcąc ich dla nauki zachować.

Zaklinam wszystkich, którzy ten mój opis czytać zechcą, a mają myśl zwiedzenia Tatrów, niech najmą konie i wózek od górali. Te spadziste góry, sypiące się kamienie, szumiące strumienie pod dziurawemi mostami, przejazdy po skalistych łożach rzek, to wszystko nieprzyzwyczajonego konia musi zniecierpliwic i przstraszyć, choćby miał naturę ciolka ofiarnego.

Z Nowego Targu udał się Wodzicki do wsi Bukowiny, gdzie przez parę dni oddawał się do-

brze zasłużonemu odpoczynkowi, oraz gorliwym poszukiwaniom ornitologicznym.

Po pięciu godzinach dosyć dobrej drogi, dostałem się do leśniczego Lazara. Uradowany gościnnem przyjęciem, dwoma białymi i czystymi pokoikami, dobrym obiadem, uczułem podwójną energję i chęć do pracy; z tego to mieszkania część moich wycieczek kilkodniowych uskuteczniałem z przewodnikiem Jędrzejem Parą, ostrożnym i pewnym człowiekiem, co niełatwo znaleźć. Najwspanialszy widok na całe pasmo gór z pokoju; trudno oderwać oko od czarującego obrazu.

Dowiedziałem się, iż od roku 1846 nikt nie zwiedzał gór. Sceny krwawe i okrutne, jakich się chłopstwo galicyjskie dopuściło, odstraszyły podróżujących, i kiedy dawniej w Tatrach widok guni góralskiej był przyjemnym, kiedy w każdym szałasie gościnnie przyjmowanym był pan i pieniędzy nawet brać nie chciano za nabiał, dziś z ostrożnością zbliżać się trzeba. Jak piorun, kiedy w drzewo uderzy, zmienia foremny kształt jego, tak grzmot i burza roku 1846 zmieniły charakter tego ludu, który ja sam pamiętam gościnnym, wesołym i radującym się z przybycia obcych. W tym roku góral ponury, bo na nim zbrodnia ciąży. Leniwy, jak włoski lazaron, bo do życia mało przywiązany; nie zna potrzeb i nie umie go ubarwić; żyje li dla brzucha. Podejrzliwy i bez zaufania, bo teraz między sobą praktykują, co panom robili. Obojętny na wszystko, a biedniejszy, niż kiedykolwiek.

Słowo z w y c z a j zaspokaja wszelką ciekawość; nie wypytuje się, co za jego górami, bo nie było we zwyczaju. Tem słowem odpowiada na wszystko, niem broni się w procesach; dalej rozum jego nie sięga, bo to jest artykuł wiary. Przyczyny nędznego ich stanu, braku przemyśłu i produkcji szukać trzeba w części w tem słowie.

Wykazałem im, co za korzyści ciągnący mogli, zostając dłużej na szałasach i nosząc masło do miasta;

pojęli, lecz odpowiedzieli: „Prawdaż to, ale cóż, kiedy taki zwyczaj; my ta inaczej robić nie będziemy“. Ciemnota dawna została, a do niej dziś wiele przybyło złego. Wszystkie myśli wolności i komunizmu mieszczą się w tych biednych głowach, lecz tak potwornie, tak rogato, że rozum się wzdryga na myśl i pojąć nie może, kto tę szatańską propagandę rozrzuca, która próżniactwo ohydne sprowadza i budzi namiętności, prowadzące do zbrodni.

Do tego przyczynia się religijne zaniedbanie, w jakim ten lud zostaje. Mała liczba plebanów, odległość kościołów, położenie górzyste, zima twarda i długa: są to przeszkody do uczęszczania na katechizmy, zania i nabożeństwa. Niejeden wieśniak mi mówił, iż dwa lub trzy razy do roku słucha Mszy świętej, a nieszczęśliwe dzieci, nie wiedząc o Bogu i powinnościach człowieka, dorastają jak dzicy ludzie..

W jednym tylko szalasie po dawnemu mnie przyjeżdżało, z gościnnością podano mi mleko, żętycę nawet wyżłowi memu; nie chciano przyjąć pieniędzy; lecz gdy im srebro pokazałem (metal w Austrii dziś prawie nieznanym, hojnie bibułą zastąpiony) mówiąc: „To wam szczęście przyniesie i chudoba się darzyć będzie“; wziął staruszek, który był gazdą mówiąc: „Dziękuję wam, panie, dobrze wam z oczów patrzy, niech was Bóg błogosławi i do nas znowu sprowadzi“. Potem dzieci i dziopy (dziewki) za podarunki ręce i nogi całowały; z trudnością to grono prostaczków opuścić zdołałem.

Nie wszystkie wycieczki, które Wodzicki przedsięwziął z Bukowiny w góry, były uwiecznione pomyślnem dopięciem celu, a to z powodu zbyt wczesnej pory. Tak np. nie udało mu się wycieczka na Łomnicę, na którą wejście w tym czasie z powodu śniegów okazało się niemożliwym, przynajmniej przy tym prymitywnym stanie

przewodnictwa, jaki wtedy panował po obu stronach Tatr.

Brak przewodników bardzo uczuć się daje. Kto szwajcarskich miał sposobność poznać, przytomnych i troskliwych w niebezpiecznych chwilach, rozumnych i obznajomionych ze swemi górami, ten widzi, iż galicyjscy i węgierscy, niosący prowjanty i rzeczy, do niczego innego użytymi być nie mogą: są to gatunki mułów w ludzkim ciele. Świadomi tylko w małej przestrzeni, a nie troszczący się bynajmniej, co tam za świat poza ich górami.

Jak z Łomnicy, tak i z Krywania Wodzicki zawrócić się musiał z pod ich stóp, a to z powodu „lodowatej drogi“; bo zastał w Tatrach na początku czerwca „więcej przestrzeni okrytej śniegiem, jak odtajalej“, wobec czego, zmuszony zrezygnować z wdzierania się na najwyższe szczyty, zdecydował się zwiedzić niżej położone jeziora i doliny.

Zaczął od Morskiego Oka, do którego wycieczkę opisał w następujący charakterystyczny sposób: „Dzięki gościnnemu i miłemu dziedzicowi tych gór, W. Panu Edwardowi Homolacz, jest droga przez las w dobrym dosyć stanie, o ile słowo droga nie staje się w tym kraju niepodobieństwem; zawsze uczucie wdzięczności wzbudzą w sercu mosty nad szumiącymi strumieniami i przepaściami nieprzebytymi“.

Jezioro na oko małe, okrągłe, niebotycznymi skałami otoczone, wymaga półtorej godziny dobrego chodu, aby je obejść. Na jednym końcu zastałem odtajale, resztę zamarzniete.

Noce mroźne i nieprzyjemne dla znużonego. Do tego dołączają się lokalne ciekawe zjawienia: w chwili najspokojniejszego powietrza przychodzi gwałtowny wicher, porywający płaszcze, rzeczy i t. d.; kilka minut później znowu panuje dawna cisza. Gdy to powtórzonem bywa kilka razy na noc, humor podróżującego czytelnik sobie wystawić może. Wiatr niedyskretny śpiącemu zrywa okrycie i unosi daleko; obłany tem lodowatym powietrzem, bosy za rzeczami gonić musi. To zjawienie tłumaczę kształtem kotła, w którym jezioro się znajduje. Gdy wiatr tam się dostanie, z całym impetem uderza w miejsce wolne od skał, dokąd drożyna prowadzi. Dwie noce przepędziłem na brzegu jeziora. Skały przy świetle księżyca jeszcze większe wrażenie sprawiają: najwyższa, zwana Hurus, ma do 6000 stóp. Koło niej spiczasta, niby to przedstawiająca obraz kapucyna, znana wszystkim pod nazwą Mnicha; na przeciwnej stronie skała Żabia z długim garbem. Pod nią znajduje się jezioro mniejsze, Czarny Staw, przedzielone skalistą górą od Morskiego Oka. Staw ten zastałem zupełnie zamarznietym i zadętym śniegiem; woda kaszkadą spadająca dowodziła li istnienia tegoż.

Jako przyrodnik, Wodzicki zainteresował się naturalnie pstrągami w Morskiem Oku, oraz temi mistycznemi rybami, o których mu opowiadano różne historje, np., iż „częstokroć w południe wypływają do słońca, długości trzech do czterech sążni, pod sam wierzch wody i stoją nieruchome całe godziny, istne kłody drzewa, a gdy w nurty nagle się rzuca, woda jak przed łodzią się rozstępuje“. Wodzicki jednak widział tylko same „wychudłe pstrągi“. Zdaniem jego, „dobrze byłoby sprowadzić ciekawego Anglika, gdyż w Anglii rybołówstwo, będąc doprowadzone do sztuki, możeby mu się udało dostarczyć naukowemu



światu mieszkańców tej niezgłębionej i lodowatej wody“. Wodzicki starał się zmierzyć jej głębokość, ale „pod Mnichem sznur 60 sążni długi nie wystarczył i wszystkie sznurki, rzemienie i chustki do gruntu nie dostały“.

Trzeciego dnia Wodzicki wybrał się do doliny Pięciu Stawów, a po jej dokładnem obejrzeniu wyszedł z przewodnikiem, i ze swym nieodstępnym wyźłem, na „Siwarnią“, przez którą zdaje się należy rozumieć Wołoszyn i Krzyżne.

Wróciwszy do leśniczówki w Bukowinie, najprzód uporządkował zbiory porobione, a wypożyczawszy dwa dni puścił się ku Kościeliskom, gdzie zajechał po trzech godzinach drogi.

Wysiadłem u leśniczego Schmita, przyjmującego gościnnie podróżnych. Zastałem kilkunastu chorych, pijących żętycę, z żółtymi wychudłemi twarzami. Suchotnicy, nie mający za co jechać umierać do Włoch, przedłużają nędzne życie tem aromatycznym powietrzem. Kaszlące grono zapytało mnie, czy myślę wstąpić do ich towarzystwa. Przestraszony, pobiegłem do zwierciadła przekonać się, czy twarz moja wywołuje rzeczywiście to zapytanie? Lecz uspokojony widziałem, że nudy gości były powodem tego zapytania: mieszkać w tych uroczych górach bez możliwości ich zwiedzania, cierpieć w samotności i bez wygody, to zaiste smutne położenie.

Otrząsłszy się z flegm i charczenia, wziąłem dawno mi zaleconego przewodnika, Jędrzeja Krzeptowskiego, górala czystej krwi, jak ich dawniej znaliśmy; otwarty, usłużny, zręczny i poczciwy, znany myśliwy (bez pozwolenia) na kozy dzikie i niedźwiedzie, syn dawnego wójta, którego chłopci z urzędu zrzucili, bo się z panem za mało kłócił; gdyż trzeba wiedzieć, że

to jest podstawą wszędzie dzisiejszego wójta, czyli duszą gromady.

Pod przewodem Krzeptowskiego zwiedził Wodzicki dokładnie całą dolinę Kościeliską, tę „piękność najszczytniejszą całych Tatrów“, aż po staw Smerczyński, który nazywa Zgniłym. Zdaje się, że wyszedł nawet na szczyt Tomanowej, bo powiada o niej, iż

przedstawia widok najrozleglejszy na całą płaszczyznę Nowego Targu, przyczem widać z niej z jednej strony kręcące koryta obydwóch Dunajców, z drugiej zaś olbrzymi Rohacz, formujący osobną prawie grupę gór.

Skąły te — w dolinie Kościeliskiej — bielsze i przystępniejsze, składu w większej części wapiennego, i dla tej przyczyny cieplejsze od granitowych, ziółami kwiecistymi ubarwione, z śniegiem tylko w rozpadlinach, mniej ponurej są postaci. Kwiaty tu nie rosną pojedynczo, tysiące bukietów różowych, granatowych i lila w jaskrawych kolorach, okrywają ubocze południowe.

Na tym opisie doliny Kościeliskiej kończy się w książce Wodzickiego część podróźnicza, zajmująca razem 21 początkowych stronic; reszta ma treść czysto naukową, zoologiczno-ornitologiczną, o zwierzętach i ptakach tatrzańskich.

Badania te, w warunkach roku 1850 w Galicji, nie przychodziły mu łatwo. Oto, co o nich pisze w zakończeniu swej pracy:

Gdzie tylko mogłem, zachęcałem do badania i wyszukiwania tego, co nam brakuje; mam nadzieję, iż to, co dziś jeszcze jest skrytem dla ornitologów europejskich, w niedługim czasie wiadomem będzie przez nas; — polskie góry nauce oddadzą te usłu-

gi, których wszystkie cywilizowane dotąd oddać nie mogły. Byle tylko spokojność się ustaliła, stan oblężenia był zniesiony, rozbestwione chłopstwo w karby prawa wprowadzone; bo nikt nie pojmie, do jakiego stopnia powyższe przeszkody hamują pracę i utrudniają wycieczki. Brak broni i amunicji, niebezpieczeństwo noclegów w lesie, trudność pogoni za lotnemi żyjątkami, zniechęć musi najprawdopodobniej badacza.

## VII.

W krakowskim Czasie z d. 24 września 1853 r. rozpoczęto drukować w odcinku dłuższy opis Wycieczki w Tatry. Z pod czyjego wyszedł pióra? Niewiadomo, bo rzecz cała, zajmująca aż pięć długich feljetonów, ukazała się bezimiennie. Jedno jest pewnem, iż autorem był któryś z wybitnych znawców świata klasycznego, czego przy lada sposobności dał mnóstwo przekonujących dowodów, może aż nadto szafując porównaniami z mitologią lub dziejów starożytnych, rzymskich i greckich. Wogóle był to mąż o niepospolitej kulturze umysłowej, który wiele podróżował po Europie, a nawet mógł się pochwalić bytnością w Escorialu, gdzie między innemi oglądał autograf pamiętników świętej Teresy. Oprócz literatur klasycznych, znał doskonale francuską, przyczem zaznaczył w jednym miejscu, że mu Jocelin Lamartine'a był szczególniej drogi.

Wycieczkę tę w Tatry autor odbył w ciągu lata r. 1853, które wielką odznaczało się zmienno-

ścią pogody, a zwłaszcza obfitowało w deszcze i zimna. Wycieczkę tę odbyto w parę osób z paniami. Z Krakowa wyjechano „krytym powozem”, zwykłą drogą na Mogilany, Zabornię, Nowy Targ. Z góry Obidowej po raz pierwszy ujrano Tatry, i to o zachodzie słońca.

Przyznam się, iż widok z Obidowej góry na łańcuch Tatr ma coś prawdziwie wielkiego a nawet rzadkiego w swoim rodzaju, bo się za jednym rzutem oka obejmuje taki ogrom, że z niczem nie znajdziesz porównania, chyba gdy sobie przypomnisz grecką bajkę o Tytanach walących Ossę na Peljon i t. d. Również i to osobliwe, iż cała ta grupa nagle wyskakuje z ziemi i po obu końcach dość wyraźnie się ucina. Ktoby nie wiedział, na pierwszy rzut oka wzięłby je za masę czarnego wojska chmur, sposobiącego się do wielkiej burzy. Jeżeli zaś promień słońca ozłoci niektóre szczyty, lub jeśli się biały obłok wysunie z tych czeluści, poznajesz błąd, ale sobie myślisz, jakże tam strasznie i dziko! to chyba brama do piekieł, lub też sama piekiel stolica! Zdaleka zawsze djabeł czarniejszy: toż i Tatry, lubo nie mają zapraszającego wyrazu i wcale im z oka nie patrzy gościnnie, bywają rozkoszą podróżnych.

Rzeczywiście najprzyjemniejszego wrażenia doznałem na ten widok, który mi trud i nudy podróży sowicie zapłacił, a cóż dopiero, kiedy, coraz spuszczać się na dół z Obidowej, ujrzelśmy pod nogami Nowy Targ. Właśnie co słońce, zniżając się ku zachodowi, obrzucało fioletami, purpurą i złotem kościoły i domy miasteczka, a całą szeroką Nowotarską dolinę potrząsało jakby tęczowemi pyłkami, a na ścianie Tatrów pozatykało różnobarwne chorągwie. Przepyszny, grandioso widok!

Z Nowego Targu, już wózkami góralskimi, puszczało się „drogą wyborną, bo równą jak po

stole“ wprost do doliny Kościeliskiej, a zatrzymując się na popasy w różnych wsiach na Podhalu, przede wszystkim podziwiano urodę górali. „Nie wiem nawet, czy te Grecy na rzeźbach Partenonu mogliby się poszczycić większą urodą, harmonją i symetrią budowy ciała“. Opisując strój góralski, autor najbardziej zachwycał się ich szerokimi pasami skórzanymi.

Pasy ich, któremi się zwykle opasują, wyjeżdżając w drogę, przypomniały mi, kiedyś je wziął w rękę, opis tarczy Achillesowej, z tą różnicą, iż tamta była siedmioskórna, a pas góralski dwa lub trzyskórny, ale z tem wszystkiem taki ciężki i mięszszy, iż nawet i kula w pędzie cokolwiek słabnąca, mogłaby się odbić od niego. Jeżeli zresztą pas góralski zachodzący na całe piersi prawie pod szyję nie przedstawia tak zajmujących scen, jak tarcza Achillesowa, nie jest on jednak bez pewnych, dość gustownych wyszywań w różne wzorki. Jest to właściwy wyrób i ozdoba górali węgierskich, od których Podhalanie sprowadzają je sobie, równie jak muszelki do kapeluszy. Rozmyślając nad właściwym użytkiem tego pancerza, bo rzeczywiście taki pas ma wielkie z kirysem podobieństwo, wpadłem na ten wniosek, że kiedy dawniej Tatry służyły za gniazdo opryszkom, bawiącym się rozbojami na szeroką skalę, więc tacy łotrzykowie, chcąc się zabezpieczyć od strzałów, a bardziej od pchnięć niebezpiecznych, wynaleźli sobie tego rodzaju tarczę.

Gdy wkońcu, po kilkogodzinnej jeździe, wjechano w obręb Kościelisk, zachwycony autor na widok skał, podobnych do olbrzymich i potwornych posągów „jak gdyby je tu Layard z Khorsabad na wystawę przysłał“, przypomniał sobie podanie miejscowe o napadzie Tatarów i obronie gó-

rali „którzy w tych Termopilach, szczęśliwe Leonidasy! nie swoje, lecz tatarskie pogrzebali kości“.

W całych Tatrach niema takiej drugiej doliny, co-by sprawiała wrażenie tak wdzięczne. Nie wątpię, iż gdyby ją znał był Teokryt, pomieściłby w nich swoich pasterzy. Nie wiem nawet, czyli owa sławna Tempe tak bardzo przewyższa wdziękiem Kościelisko. Wprawdzie Olimp i Ossa tworzą tam jar, którego środkiem płynie Penej pomiędzy najrozkoszniejsze platany, jaśminy, różowe laury i mirty; ale cóż nam do tego, kiedy Kattullus, malujący Tempe, taki daje jej obraz, jakby na Kościelisko patrzył:

Tempe quae silvae cingunt superimpendentes.

Chociaż bogiem a prawdą świerki, któremi boki gór otaczających tatrzańską dolinę zarosły, wcale nie zwieszają główek, z tem wszystkiem opasują ją; a cóż dopiero powiedzieć o wyższości Dunajca nad Penejem, toczącym spokojnie wapnistą wodę, kiedy Dunajec czysty jak kryształ i jak chłopiec swawolny i hałaśliwy, skacze z kamyka na kamień po najpiękniejszej murawie, zasłanej najrozmaitszemi kwiaty.

Nie sądzicie jednak, żeby dolina ta była zupełnie pustą; przeciwnie, stoi tu pięknie zbudowana leśniczówka, a dalej i karczemka, jak wieść niesie, dla wygody gości, gdzie gospodarzem jest jakiś kwakier, tem się różniący od kwaków, że ma nieśmiertelną fajkę w ustach, i w tem podobny do nich, że nic nie gada, co wszakże przypisać wypada nie wyobrażeniom sekty, ale niemożności otworzenia ust bez wypuszczenia fajki. Wszakże niezbyt gościnnie przyjęci od jakiejś kwaśnej jejmości na leśnictwie, uciekliśmy do kwakra, który nie mieszając się do niczego, pozwolił nam myśleć o pożywieniu się...

Zapuściwszy się w głąb Kościelisk, gdzie „jar zwęża się w ciasny prawie wąwóz“, przekonał się



klasycznie usposobiony wielbiciel sielankopisarzy greckich i rzymskich, że o ile natura jest tu piękną, o tyle górale całkiem się zrzekli klasycyzmu.

Tu już niema Teokrytowej idylli z zieloną mura-  
wą, ale skał urwiska, ale ogromne głązy, zwalone jedne  
na drugie, jakby tu był plac boju Tytanów, a z pośród  
nich nieunikniony świerk wyrasta. Dzikosć i groza,  
przerywana tylko kiedy niekiedy ślicznymi płatami  
zielonych hał, towarzyszy ci w całej utrudzającej dro-  
dze... Na jednej z takich hał zastaliśmy krówki, jak  
gałeczki, szczypiące niską trawę, i pastuszków grają-  
cych na piszczałkach. Pytam takiego góralika: „A dale-  
ko tu do źródła? Pokaż nam którędy iść?” „A zapłaci-  
cie?” odpowiedział, nie robiąc najmniejszego poruszenia,  
które widać już otaksował na krajcary. „Zapewne, że ci  
zapłacę...” odpowiedziałem. On też żwawo wyskoczył,  
nietylko sam, ale i z towarzyszem i poprowadziwszy  
nas kilkadziesiąt kroków, pokazał źródło, które byli-  
byśmy i sami bez niego znaleźli. Roześmiałem się  
w duchu, ale i rozgniewałem na tę interesowność, któ-  
ra przez częste zwiedzanie tych gór przez podróżnych  
może przyjść do tej doskonałości, z jakiej słyną Szwaj-  
carzy; z tą różnicą, iż w Szwajcarji wszędzie spoty-  
kasz usłużność i wygodę, a tutaj przeciwnie, wielką tru-  
dność w najmniejszej usłudze, a niewygodę wszędzie.  
Mimo to umizg do twej kieszeni jednak, a nawet nie-  
kiedy do bezczelnych posunięty żądań, tak dalece, iż  
od pewnego podróżnika, który często zwiedzał Tatry,  
słyszałem to zdanie: Jeżeli góry te dawniej były gnia-  
zdem rabusiów, nastających na życie podróżnych, to  
dziś są stekiem zuchwałych wydrwigroszów, wytrząsa-  
jących pod lada pozorem nędznej przysługi kieszenie  
nieszczęśliwych turystów, przynoszących idylliczne  
wyobrażenia o złotym wieku niewiuności, jaki ma pa-  
nować między góralami. Chytrósć ich bowiem wzglę-  
dem nieznających miejscowości podróżnych, przechod-  
dzi wszelkie pojęcie.

Po dokładnem obejrzeniu Kościelisk, już ku wieczorowi puszczono się w powrotną drogę, zamierzając na noc zająć do murowanej austerji w Zakopanem. Zajechano tam już po noccy.

Po najlepszej drodze (bo trzeba oddać sprawiedliwości, że komunikacyjne gościńce są tu wyborne) ukazała się nam jakby luna na niebie ponad lasem, raz mocniej, raz słabiej błyskająca. Nie mogąc sobie zrazu wytłumaczyć jej pochodzenia, zagadnąłem naszego górala, który niewyraźnie przebąknął „h o m r y“. Zdziwiło mię to jeszcze bardziej, gdyż przez dzień po kilkakroć słyszałem od niego te h o m r y. Daremnie głowę sobie łamałem etymologicznemi dociekaniem, aż zapędziłem się w nich tak daleko, iż omal nie zacząłem przypuszczać jakiej dalekiej tradycji o greckim śpiewaku Iljady<sup>1</sup> przechowanej w tych górach, tem więcej, że mię już zastanawiały te ich kapelusiki okrągłe, kubek w kubek takie same, jakie na starożytnych spotykałem płaskorzeźbach. Kiedy takie dwa dowody zbiegną się w głowie etymologa, wniosek staje się pewnikiem; w myśli snuła mi się nawet rozprawa, mająca dowieść, że dzisiejsi Podhalanie są szczątkami jakichś Greków, przybyłych w te strony... ale którą drogą? Nic łatwiejszego, jak po starożytnym świecie wytykać gościńce, tem bardziej, iż wtenczas stacyj pocztowych nie było. Na szczęście czy nieszczęście uczonego świata właśnie wyjeżdżamy z gęstwi leśnej i oto witają nas kuźnie, buchające iskrami, jak Stuverowski fajerwerk. Zaraz też zrozumiałem znaczenie h o m r ó w czyli h a m m r ó w. Ucieszony odkryciem, z prawdziwem zachwyceniem patrzyłem na te ognie, które tworzą w nocy widok prawdziwie czarodziejski, i przysłuchiwałem się hukowi młotów, zapowiadającemu, żeśmy

<sup>1</sup>) Autor ma tu na myśli H o m e r a, którego imię mu homry przypominały.

w kraj zamieszkały i przemysłowy wjechali, co nam wróżyło nocleg wygodny.

Wróżba ta nie zawiodła; w oberży bowiem znaleziono wszelką wygodę „z osobnemi nawet stancjami i łózkami“. Nazajutrz zbudzono się przy cudnej słonecznej pogodzie, to też rozejrzawszy się po dolinie Zakopanego, nabrano o niej przekonania, że, choć ustępująca Kościeliskom, to jednak.

widziana w pewnem oddaleniu ze wszystkimi kuźniami, magazynami i wspaniałym, jak na te góry, domem mieszkalnym dziedzica, zgoła z całemi zabudowaniami, leżącemi jakby drobne kamyki białe na dnie olbrzymiej czeluści, przedstawia się o wiele bardziej malowniczo, niż tyle innych zachwalanych widoków tatrzańskich.

Korzystając z pięknej pogody, puszczone się do Kałatówek, obejrzano źródło Białego Dunajca, aż wkońcu, trochę znużywszy się jednostajnością pejzażu, złożonego tylko ze skał i świerków, a dla odmiany ze świerków i skał, w uczuciu „tęsknoty do klasycznej cywilizacji“, która tym razem przedstawiała się w formie „pięknych i licznych budynków hutniczych, rozrzuconych wzdłuż doliny, udano się na zwiedzanie „fryszerek“.

Ale zamiast rozpisywać się o wrażeniach, „doznanych na widok pieców, miechów, młotów i czarnych posługaczy tej plutonicznej krainy“, autor wolał „z całą prozą opowiedzieć krótką historję i stan zakładów hutniczych w Zakopanem“ zwłaszcza, że zakłady te, najlepiej utrzymy-

wane stanowczo zajmowały pierwsze miejsce między galicyjskimi.

W starostwie nowotarskiem już w 16-yim wieku zajmowano się wydobywaniem i topieniem rudy żelaznej. Początkowy zakład w Zakopanem urządzony jeszcze za starosty nowotarskiego (t. j. za Rzeczypospolitej Polskiej) na bardzo małą był stopę: jeden wielki piec, dwie fryszerek, kuźnia do narzędzi i do gwoździ. Rudę zaś wydobywano w Magórze, odległej o godzinę drogi... Z podziałem kraju (t. j. po rozbiorach) zakład ten, jako należący do dóbr kameralnych nowotarskich, przeszedł pod zarząd kurjalny, lecz tak źle był administrowany, że nie mógł się utrzymać. W roku 1800 huty te wraz z kopalniami wydzierżawił wielicki c. k. rządcą magazynowy Reichsdorfer, i używał do końca 1804 roku, w ciągu którego to czasu powstały dwie fryszarki w Kościelisku; odkryto przytem kopalnię rudy żelaznej w Miętusiej o półtrzeciej godziny odległej od Zakopanego... Następnie zakład ten przeszedł w posiadanie Ernesta Blutowskiego i Gotlicba Langa. Jak poprzednik, tak i następcy jego nie mieli ani potrzebnych usposobień, ani dostatecznych środków, aby tę industrię choć na tak małą stopę z korzyścią prowadzić. Jakoż w r. 1807 sprzedali ów zakład znanemu zaszczytnie w świecie hutniczym p. Janowi Homolaczowi, po którym w spadku syn jego p. Emanuel Homolacz kuźnice odziedziczył. Nowy ten właściciel zwrócił wszystkie swe siły ku podźwignięciu górnictwa, budując kosztowne gościńce dla połączenia kopalń i robiąc znaczne ulepszenia w wielkim piecu i fryszerekach. Odkrycie nowych pokładów rudy w Magórze, Maturce w Kościelisku, Bobrowcu w Orawskim komitacie, należy do zasług s. p. Emanuela Homolacza. Produkcja żelaza od r. 1808 do 1834 wynosiła rocznie około 3500 centnarów surowizny, z której 2500 centnarów sprzedawano żelaza w szynach.

Huty Zakopanego aż po r. 1824, w niedostatku własnych lasów, zaopatrywały się w węgiel i drzewo ku-

powane w dobrach kameralnych lub prywatnych, co nie dozwalało myśleć o produkcji żelaza na większą skalę. Dopiero gdy w r. 1824 śp. Emanuel Homolacz przykupił nowotarskie państwo od kamery, wtedy i zakład znacznie poprawił się, mogąc korzystać z obszarów leśnych, mających 16000 morgów. Wszakże kierunek zakładów hutniczych nie zostawał jeszcze w takich rękach, któreby najobszerniej rozwinąć się pozwoliły; albowiem tak w kopalniach, jak przy dostawie rudy i węgla, niemniej przy rąbaniu sągów, i w hutach, nie pracowało więcej nad 400 ludzi, zarobkujących rocznie 50.600 złr.

Gdy zaś po zgonie p. Emanuela Homolacza w roku 1830, synowice zmarłego, p. Edward Homolacz, objął zarząd majątku, a przy znajomości górnictwa i upodobaniu w tej ważnej gałęzi przemysłu krajowego ocenił stan zakładu i przekonał się, że przy dotychczasowej administracji huty prędzej lub później upaść muszą; przeto pozbywszy się dawnego zawiadowcy, powierzył je w roku 1834 w ręce dzisiejszego dyrektora tegoż zakładu, p. Elsnera, przyczem stosownie porobił nakłady, skutkiem których zakład hutniczy w Zakopanem wznosił się na tak wysoki stopień, na jakim go dziś widzimy. I tak założono w Zakopanem trzy nowe fryszczki, (te dwie, co były w Kościeliskach, ustały), oprócz tego wybudowano z nowego wielki piec, jedną walcownię; maszyny do ostatniej są nawet sprowadzone z Anglii. Przytem urządzono warsztat ślusarski i stolarski do robienia modeli. Nie zapomniano też i o rzemieślnikach, dla których stanęły bardzo porządne dworki. Wobec włożonego w huty zakopiańskie kapitału 100.000 złr., zakład ten dźwignionym został z upadku, a przez zyskowne zakupno drzewa opałowego i surowizny podniosła się produkcja roczna do 9000 cent. surowizny, a do 13000 cent. żelaza sztabowego i walcowanej blachy. Prace hutnicze, rozpoczęte na taką skalę, wymagały użycia wielkiej liczby rąk, stąd też zakład ten zatrudnia dziś 1600 ludzi, kosztujących rocznie 240 tysięcy złr. Z urządzeniem maszyn i pieców zwrócono

niemniej uwagę na kopalnie, odkrywając nowe pokłady rudy w Tomanowej, Dziewiątej i Kupkach; przytem chcąc pomnożyć o ile można produkcję żelaza, zaczęto sprowadzać ze Spiszu rudę żelaziego spatu, dającą 40 do 50 procent żelaza.

Taki jest stan tych hut, rzuconych między dzikie skały, w których tworzą niejako pierwszą osadę; dotąd bowiem służyły one li za koczowisko pastuchom, przyganiającym tu trzody swoje na parę miesięcy letnich. Sprawia to bardzo miły widok, kiedy wyszedłszy z chaosu skał, gdzie śpiewu ptaszka nawet nie usłyszysz, gdzie ci się żadna z żywych istot nie odzywa, znaleźć się nagle w dolinie Zakopanego, pełnej ruchu, pracy i przemysłu. Tam nagły kontrast sprawia bardzo miłe na podróżnym wrażenie; patrząc bowiem przez kilka dni na same przepaści, urwiska, powalone głązy, rwące potoki, na tę vegetację tak wątłą, a nadewszystko nie spotykając bożych stworzeń, wyobraża sobie, że się dostał gdzieś między dzikich, a przynajmniej jak Odyss z towarzyszymi do państw Polifema, gdzie ich czekała perspektywa być zjedzonymi...

Na tem się kończy, a raczej urywa nagle, ten starożytnością i etymologią przesiąkły opis Wycieczki w Tatry. Wprawdzie pod ostatnim — piątym z rzędu — feljetonem było napisane, iż „dalszy ciąg nastąpi“, ale redakcja Czasu nie dotrzymała tej zapowiedzi.

Czemu? Niewiadomo.

---

## VIII.

Żaden z naszych trzech wieszczów, ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński nie był nigdy w Tatrach (Mickiewicz i Słowacki nawet nie byli



nigdy w Krakowie). Wszyscy trzej jednak dali w pismach swych wyraz uwielbieniu dla tych gór ojczystych: Mickiewicz w *Konfederatach barskich*, gdzie Tatry zbyt blisko przysuwa pod Kraków, Słowacki w *Eolionie*, gdzie nawet wspomina o Morskiem Oku, Krasiński w *Wandzie*, gdzie wyprowadza na scenę górali.

Nietrudno przypuścić, iż gdyby choć jeden z nich, jak Pol lub Goszczyński, spędził czas jakiś w Tatrach, z pewnością literaturze polskiej przybyłby wspaniały o nich poemat. Ale przeznaczenie chciało inaczej, tak, że wielki poemat o Tatrach, poemat „w dwudziestu czterech pieśniach“ pod tytułem: *Tatry*, napisał jeden z poetów *minorum gentium*, Bogusz Zygmunt Stęczyński.

Co zaczął? Bo nawet w historjach literatury o nim głucho. Jedyłą „wiadomością o autorze“ jest feljeton And. Edw. Koźmiana w *Czasie*, zawierający sympatycznie skreśloną sylwetkę Stęczyńskiego. Urodzony w r. 1814 w Hermanowicach, po skończeniu początkowych nauk w Krośnie, następnie „sam własną pracą i usilnością wyrabiał wrodzoną zdolność.“ A zdolność ta była podwójna, bo poetycka i malarska, co nań zwróciło uwagę właściciela Medyki, Gwalberta Pawlikowskiego, który, otworzywszy mu dostęp do swych zbiorów, nadto wspierał go materjalnie. Między r. 1833 a 1856 Stęczyński odbył szereg pieszych wędrówek po całej Galicji, czego owocem były wydane w r. 1847

we Lwowie Okolice Galicji, z tekstem opisowym prozą, obficie przez samego autora udatnemi rysunkami ilustrowanym. W roku 1860 wyszedł w Krakowie, nakładem Wielogłowskiego, jego poemat wierszem p. t. Tatry w dwudziestu czterech obrazach, a ukazawszy się jako „dzieło ozdobione 80 rysunkami przez autora z natury zdjętymi i rylcem na kamieniu wykonanemi“, choć poświęcony Lucjanowi Siemieńskiemu, szybko utonął w księgarskiej makulaturze. „Autora tego dzieła — powiada Wielogłowski w przedmowie wydawcy — porównałby można do natchnionego w muzyce artysty, który chociaż nut nie zna i koncertów nie głosi, ale pieśń narodową gra z takim uczuciem i z taką rzewnością, iż mu się chętnie przebaczy chybioną miarę i brak udoskonalenia w sztuce, dla owego wdzięku, jaki na nas wywiera swojska piosenka. Szczególną zaś autora zasługą jest owo niezmordowane i żarliwe poświęcenie się w zbieraniu krajowych widoków, oraz badanie historyczne dziejów ziemi naszej i ludowych o niej podań. Autor pozbawiony niezbędnych do podróży środków, przeszedł jednak o chłdzie i głodzie wszertz i wzdłuż część Polski, Galicją zwanej, a nietylko piórem ją opisał, ale i wiernie zdjął z jej okolic rysunki. Pod zimę zaś wracając do domu ze wzbogaconą krajobrazami i opisami teką, skrzętnie znowu pracował i ciężkiemu oddawał się zarobkowi, aby z wiosną mieć o czem zwiedzać najdroższe mu rodzinnej ziemi okolice.“ O wartości



Zamarła Turnia od południa.

<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
6 W. WOJCIECHA W POZNANIU



literackiej powstałego w ten sposób poematu o Tatrach tak pisze A. E. Koźmian: „Nie chcę ja bynajmniej uwodzić publiczności, przedstawiając naszego autora, jako wielkiego poetę i znakomitego pisarza; lecz mniemam, że w każdym piśmie jego objawia się tkliwe rodzime czucie, silna miłość natury, ujmująca prostota, a czasem uderzają cię takie błyski natchnienia, takie obrazy niektóre wdzięczne, takie wyrażenia szczęśliwe, iż przyznać musisz, że ten wierszopis jest poetą i w duszy. Istotną zaś wartość tej pracy stanowi to, że jest zbiorem tak wszystkich wiadomości historycznych, jak podań, legend tatrowych, opisów obyczajów ludu góralskiego i obrazów tamtejszej natury. Nikt bowiem w kraju nie zna dokładniej pasma karpackich gór od naszego autora! Jakby góralem się urodził, zna każdej góry szczyt, każdą skałę, każdą przepaść, każdy potok, jest on jakby przybranem dziecięciem Karpat.“

W pieśni XIX swego poematu opowiada Stęczyński, że ze wsi Bukowiny

skąd widok jedyny

Odkrywa się na Tatrów łańcuch nieprzerwany  
udał się do Zakopanego, a zastał je

zasłonięte mgłami

Których blade powłoki pogoda przeciera

I dziwy w całym blasku przed nami otwiera.

Na pytanie: w którym to było roku? odpowiada pieśń XX poematu, w której Stęczyński, „nie mogąc się nadziwić cudom Zakopany“, opi-

suje drewniany kościół zakopiański, „niedawno“ wzniesiony. Że zaś stary kościół w Zakopanem został wybudowany za staraniem księdza Stolarczyka w roku 1847, więc wynika z tego, że Stęczyński bawił tu już w jakiś czas potem, czyli około roku 1850; sposób bowiem, w jaki opisuje ten nowy kościółek wiejski, świadczy, iż świątynia była już wykończoną zupełnie.

Kościółek ciemniejąc wśród rozległej włości  
 Pociąga nas do siebie wdziękiem swej skromności;  
 Który stojąc niedawno zupełnie drewniany  
 Zgrabną ręką mieszkańców jest wybudowany;  
 Gdzie niełatwo oderwać oko od ołtarza  
 Wyrobionego ręką wiejskiego rzeźbiarza:  
 Lekkość, zgrabność, myśl prosta, ale czysta, miła,  
 Owemu góralowi sławę zapewniła. •

Rzecz charakterystyczna, że ani Staszic, ani Goszczyński, ani Pol, ani Zejszner, pisząc o Zakopanem, nie wdali się w opis panującego nad niem Gewontu, który przecież w pejzażu, składającym się na panoramę Zakopanego, jest motywem najważniejszym, najbardziej rzucającym się w oczy. To samo, choć w mniejszym stopniu, da się powiedzieć o Gubałówce po przeciwnej stronie. Pierwszy, który w swym opisie Zakopanego oze- nił Gewont z Gubałówką, jest Stęczyński.

Opuściwszy plebanją, znów widzimy skały,  
 Co nad lasy ciemnymi tak powybiegały,  
 Że przedstawiają nowe postacie wokoło,  
 Zatrzymując nam kroki, witają wesoło.  
 A nad nimi panuje granitowa ściana,  
 Z drogi po lewej ręce przyjemnie widziana,



Ogromnego Gewontu, co jak starzec siwy,  
 Bogaty w rozmaite właściwe swe dziwy;  
 Którego Gubałówka mchem zielonym stroi,<sup>1)</sup>  
 A na niej, u stóp jego, mnóstwo roślin stoi  
 I kwiatów rozmaitych od górali znanych,  
 Troskliwie wpośród lata na korzyść zbieranych.  
 Gewont siwy, odarty z majowej powłoki,  
 Zdaje się, iż swem czołem przedziera obłoki,  
 Jest skazówką niemylną słoty i pogody.

Drugim szczytem, który cieszy się szczególną popularnością w Zakopanem, jest piramidalny Nosal. I jemu poświęca Stęczyński w swym poemacie specjalny ustęp:

A Nosal z lewej strony wystając ponuro,  
 Na dolinę pogodną pluje czasem chmurą,  
 Nie mogąc znieść, że wiele drzew przy nim wycięto,  
 A miejsce u stóp jego domami zajęto,  
 Z których dym na powietrzu rozciągnionem skrzy-  
 dłem

Drażni go bezustannie niemilem kadzidłem;  
 Więc z wirchem Jaworzyny, Gewontem, Kacprową  
 Strażyską, Kalatówką, nawet Goryczkową,  
 Usiłuje koniecznie, choć to myśl daleka,  
 Zniszczyć dzieło pomysłu i wygnać człowieka!  
 Tu masa opok, zamkiem zakopiańskim zwana  
 Tak szczególnie i dziwnie z sobą powiązana,  
 Że z pewnych miejsc odległych ludząc twoje oko,  
 Zdaje się niezdojście panować wysoko.

Z pod Nosala rozchodzą się dwie drogi: jedna prowadzi do Jaszczurówki, drugą dojeżdża się do Kuźnic.

---

<sup>1)</sup> Zdaje się, iż tak samo, jak w swoim czasie Staszic pomieszał Czarny Staw z Morskiem Okiem, tak tu Stęczyński pomieszał Sarnią Skalę z Gubałówką.

U stóp tego Nosala jaszczurówka ciemna  
 Z powodu owych gadów płynie nieprzyjemna.  
 Są to długie zwierzątka z ogony długimi,  
 Żółto połyskujące z plamami czarnymi;  
 Jak gdyby salamandry w cieplej wodzie żyją;  
 A zimą z owej wody gęste pary biją.

Nierównie „przyjemniejsze“ wrażenie zrobiły  
 na Stęczyńskim znajdujące się niedaleko stąd Kuź-  
 nice, rozłożone nad Białym Dunajcem.

Tu woda bystrym prądem z kół fabrycznych spada  
 I do łoża Dunajca białego zapada,  
 Poruszając z hałasem tartaki i młyny,  
 I płynie zapieniona na niższe doliny,  
 Gdzie z wysokiego pieca dym wychodzi chmurą  
 I ciągnie się po ziemi czarno i ponuro.  
 Widzimy dom z kominem Rohus-Hütte zwany,  
 Potem Wilhelmi-Hammer ciekawie zwiedzany,  
 I wiele innych domów, gdzie miech ciężko sapie,  
 Rozdyma wielki ogień, skąd żelazo kapie.  
 Lecz zbliżmy się do iniejsca, gdzie ogromne młoty  
 Przytłumiają rozmowę grzmiącemi łaskoty;  
 Lub gdzie formy gliniane różne rzeczy leją,  
 Toczą albo walcują. Wszędzie za koleją  
 Widać miły porządek, wszędzie ruch i życie,  
 A żużli wyrzuconych widzimy obficie.  
 Ale przy tak mozolnej wokoło robocie  
 Rzemieślnik wciąż wygląda i brudno i w pocie.  
 Wyżej nad wszystkie gmachy ładnie postawiony  
 Dwór właściciela, strojnym klombem otoczony;  
 Gdzie kwiatów rozmaitych wymowne doборы  
 Bawią oko przechodnia wśród pogodnej pory;  
 A murawy i z darui robione siedzenia  
 Przeznaczone dla gości miłego spoczynienia;  
 Wśród których połyskliwy wodotrysk szeleści,  
 I gra sobie w powietrzu i patrzących pieści;  
 Gdzie gościnność otwiera drzwi pańskiego domu  
 Dla podróżnych, nie dając pominąć nikomu.

Z Kuźnic,

Gdzie przemysł zimną prozą dotyka ponury,  
Gdzie pieniądz wiąże myśli, żądze w sercach nieci,

przekonany najświęciej, że nie

mogą w takim miejscu zabawiać poeci.  
Którzy rosy niebieskiej zbierając strumienie,  
Żyją w Bogu i z Boga biorą swe natchnienie.

puścił się Stęczyński w stronę Kalatówek, ku  
źródłu Białego Dunajca.

Witaj Biały Dunajcu, gwałtowny strumieniu,  
Wybuchający ze skał granitowych w cieniu  
Drzew wyniosłych, co mają gałęzie zwieszzone,  
A ty, u stóp ich płynąc, swe wody spienione  
Rozbijasz, po kamieniach biegnąc na doliny,  
Czynisz piękny wodospad, a huczysz jak młyny.  
To powoli, to spiesznie toczysz swe bałwany  
I zadziwiasz swawolą swoją rozdasany:  
Jak gdybyś usiłował rozedrzeć swe łoża,  
Lecz twa siła przemocy podolać nie może!  
Jakgdyby mojąszową laską wydobyty,  
Czynisz widok wspaniały i niepospolity!

Z Kalatówek prowadzi droga na Czerwony  
Wierch, który, jako nierozdzielny towarzysz Ge-  
wontu, doskonale z Zakopanego widziany, należy  
do najpopularniejszych szczytów po tej stronie  
Tatr. Był na nim i Stęczyński, a wrażenie zaś, ja-  
kiego doznał w czasie tej wycieczki, tak opisał  
w pieśni XX swego poematu:

Spoczywając na głowie Gewontu wzniosłego,  
Czerwony Wierch w postaci kopca wysokiego  
Pokazuje się dumnie i wabi do siebie,  
Zachęcając, by z niego czołem utkwic w niebie,  
Lecz bez niebezpieczeństwa przystąpić nie daje...  
Ale kto go pokona, temu nowe kraje

Odkryje tam wokoło, a człowiek w zachwycie  
 Błogosławić tam będzie przyrodzenia życie.  
 Przewodnik mu zaś powie każde tam nazwisko  
 Skał i gór odsłonionych daleko i blisko.  
 Pokaże Krzesanicę, potem Kondratową.  
 Potem na Małą Łąkę wprowadzi majową.  
 Grzbiety Wielkiej Koszystej i Małej Koszystej,  
 Co iskrzą się, jak tarcze albo pancerz czysty:  
 Hruby Wierch śnieżystymi jak bieli płachtami,  
 I Lodowata turnia z groźnemi skałami.  
 Dalej sterczy Kościelec, Turnia Buczynowa,  
 Pośredni Wierch, a Beskid za inne się chowa;  
 Skrajna turnia i przełęcz Liliową zwana,  
 Pośrednia, Chłopki, Zakos i Czuba mniej znana;  
 A dalej za Królową Kopy Jaworowe,  
 A wszystkie niebotyczne, zdają się jak nowe,  
 Ciągące się od Pysznej pasmem do Krywania.  
 Których wierzchołki często mgła ciemna osłania.  
 A między nimi Zawrat olbrzymi wystaje,  
 Jakgdyby był przerwanym, wyraźnie się zdaje,  
 Zbrojny jest w miliony kamieni zerwanych  
 Od piorunów, na ostre żwiry połamanych,  
 Na których las nie wschodzi, kosodrzew nie rośnie,  
 Tylko mech się tam pełza o spóźnionej wiosnie.

Nie widać tam stawów jedynie, między innemi  
 Gąsienicowych pod Świnnicą i Kościelcem. Ale  
 chodząc po Tatrach, przechodził Stęczyński koło  
 stawów tych nieraz, a w swoim poemacie taki  
 poświęca im ustęp:

Gąsienicowe Stawy swemi zakrętami  
 Wiją się jak wężyki, a błyszczą wodami  
 Wąskie, długie, głębokie, a miejscami ciemne,  
 Lecz w ogromie całości są dziko-przyjemne;  
 Otoczone górami i brudnemi skały.  
 Wraz z drzewami, co się tam jeszcze utrzymały.

Nierównie obszerniej wypadł wyczerpujący  
 opis doliny Kościeliskiej. Poświęcił jej Stęczyński

całą długą pieśń XXI, a nadto wyilustrował ją aż sześcioma krajobrazami. Jest to cały poemacik opisowy, nie wiele co mniejszy od Zofjówki. Nawiasem mówiąc, zdaje się być Zofjówka tym utworem, na którym Stęczyński w swych Tatrach wzorował się najbardziej, do tego stopnia, że w wielu ustępach prosto wpada w ton Trembeckiego nieraz nawet wcale szczęśliwie. Oto np. od jakiej inwokacji rozpoczyna opis Kościelisk:

Witaj nam, położone w rozdarcu skał nisko,  
 Ozdobo pięknych Tatrów, cudne Kościelisko!  
 Jak sennej wyobraźni widziadło czarowne,  
 Niezrównaną pięknnością szczególniej wymowne!  
 Nie możemy się tobie napatrzeć dowoli...  
 Witaj! a świat swój piękny roztocz nam powoli,  
 Bo w napływie uniesień nie możemy razem  
 Wszystko pojąć i uczcić podziwu wyrazem!...

Po takiej inwokacji, zupełnie klasycznej (czemu chyba nikt nie zaprzeczy), zaczyna się całkiem epiczny opis doliny, nietyle stylem Homera albo Pana Tadeusza skreślony, ile raczej przypominający Ogrody Delilla, a tem samym i Zofjówkę Trembeckiego.

Przez most w bramie skalistej nad wodą rzucony  
 Wstępujemy na Kirę powłoki zielonej,  
 Majową przyjemnością pyszną i bogatą,  
 Nie zmieniającą siebie przez wiosnę i lato.  
 Ta polana najpierwej bogactwa pojawia  
 I nieznanie nam dotąd zadziwienie sprawia.  
 Beczenie kóz po skałach często się odzywa,  
 A głos miłej fujarki do ucha nam wpływa.

Mieszkanie leśniczego z ogrodem i sadem  
 Nęci do wypocznienia gustownym układem;  
 Mając progi otwarte a izby gościnne  
 I starania szczególnie dla chorych uczynne.  
 Tam słaby z przekonaniem dni pociechy liczy  
 Przez ciągłe używanie skutecznej żętycy,  
 I wraca z czerstwem zdrowiem, wielbiąc to ustronie,  
 W którym nawet kamienie wydawają wnie,  
 Rozgrzane promieniami południowej spieki,  
 A powilżone deszczem lub kroplami rzeki.

W podobnym delillowskim tonie utrzymana jest cała pieśń, opiewająca piekności Kościelisk, opowiadająca — ustami przewodnika — wszystkie przywiązane do miejscowości tej historii i legendy, począwszy od napadów tatarskich za Bolesława Wstydliwego, a skończywszy na awanturniczych przygodach Janosika,

Który tu przesiadywał pomiędzy swawolą  
 Jak Rob-Roj, Rinaldini albo Fra Diavolo.

Oto np. końcowy ustęp tej pieśni, wcale dokładne dający pojęcie o całości:

Dalej łysy Saturnus wspaniale wystrzela  
 Po lewej stronie drogi, dziwnie rozwesela  
 Podobieństwem do zamku, gdzie u stóp polana  
 Z majowej zieloności najprzyjemniej znana,  
 Dalej miejsce wśród opok, Krakowem nazwane,  
 Gdzie wyschłego potoku łożysko zwiedzane:  
 Jest tu kręta dolinka, jakby rozpadlina,  
 Nad którą wiszą świerki, ciemni się krzewina.  
 Dalej tkwią Babie Nogi w wysokim błękitcie,  
 Z których urok i czary leją się obficie...  
 Szczególnego w to miejsce trzebaby malarza,  
 Aby oddał te cuda, jakiemi obdarza,  
 Przy stopach góry Pysznej na krańcu doliny  
 Połyskliwy staw Smreczyn z kępami drzewiny;



Którego ciche wody taką władzę mają:

„Że nikomu swych brzegów naruszyć nie dają;

„Bo gdy pewnego razu z rydlem przystąpiono,

„By przez spuszczenie wody łąkę rozszerzono,

„Dał się słyszeć głos z wody: „Gdy ten staw spuścicie,

„Wszystkie wsie aż do morza wkrótce zatopicie!

„Zginą ludy i sami wyginiecie marnie...

„I będziecie cierpieli podwójne męczarnie“.

Górale, nie chcąc szkodzić sobie i nikomu,

Wzięli rydło i z trwogą odeszli do domu.

A staw został spokojnie na wieki rozlany

I na wieki okropny, rzadko odwiedzany.

Tylko jeleni lub sarna ukryta w gęstwinie

Przyjdzie napić się wody i w ciemnej głębinie

Pojrzy na swoją postać, i odbiegnie znowu

Do nieznanego ludziom w zaroślach parowu.

Jak w swoim czasie Staszic, tak i Stęczyński zdołał stanąć na szczycie Łomnicy, a że to było w piękną pogodę, więc zachwycony rozległym widokiem, jaki stąd roztacza się na Tatry i „całą krainę Spiża“, całą pieśń IX poświęcił wrażeniom z tej wyprawy.

Witaj z morza granitów wybiegła Łomnico!

Niepożyta wiekami królowo-dziewico!

Twój widok pięści oczy i umysł upaja

Jak gdyby Góra Biała<sup>1)</sup> albo Himalaja!

Poglądam rozczulony w pyszne lice twoje,

W twoje piersi wspaniałe, w twych ramion rozwoje.

Ty zasiadłaś na tronie ze śniegów i lodów,

Z którego na przestrzenie dwóch dzielnych narodów

Poglądasz sobie dumnie i głosisz rozkazy

Okropniejsze nad wszystkich języków wyrazy!

Twoje sługi pioruny i chmury i burze!

Słesz ożywcze powietrze roślinnej naturze!

<sup>1)</sup> Mont Blanc.

Z twej woli wczesna wiosna, albo krótkość lata,  
 Albo też groźna zima długo nas przygniata.  
 Czasami nieurodzaj, chorób różnych pory,  
 Zdajesz się sypać na nas, jak z puszeki Pandory!  
 i t. d. i t. d.

Nawiasem powiedziawszy, czytając następują-  
 cy potem, nader obszerny i drobiazgowy opis wi-  
 doku z Łomnicy na wszystkie cztery strony, ma-  
 my wątpliwości, czy przypadkiem Stęczyński nie  
 pisał tych wrażeń ze szczytu Łomnicy na pod-  
 stawie dzieła Staszica, gdyż widzi on stąd na-  
 wet „świętynie Krakowa“

jakby maszty w błękitnej przestrzeni  
 Polyskujące blaskiem słonecznych promieni.

Jakoś niebardzo się chce temu wierzyć (zwła-  
 szcza, gdy się samemu było na Łomnicy); mi-  
 mowoli przypominają się Konfederaci Bar-  
 scy Mickiewicza, gdzie znów Tatry tak doskonale  
 widać z Krakowa, jakby Kraków w rzeczywistości  
 był położony u ich stóp jak Zakopane pod Ge-  
 wontem.

To też, gdy Stęczyński z zapalem podnosi  
 uczucia i myśli, które „ta królowa gór naszych“  
 budzi w duszy wędrowca, raczej się jest skłonny  
 do uwierzenia, że poeta widział ten rozległy krajo-  
 braz nie ze szczytu Łomnicy, ale w swej bujnej wy-  
 obraźni. Wszystko bowiem, co w tej pieśni opisuje  
 Stęczyński, nie robi wrażenia rzeczy widzia-  
 nych, lecz tylko imaginowanych. Do tego sa-  
 mego wniosku upoważniają także i załączone ilu-  
 stracje, przedstawiające widoki Łomnicy z różnych

stron, ale nie dające ani jednego fragmentu widoku z Łomnicy, ze szczytu. Inaczej opisany jest widok z Czerwonego Wierchu, na którym Stęczyński był z wszelką pewnością.

Inaczej też jest opisany Popradzki Staw, którego malowniczością zachwycony Stęczyński, tak woła w uniesieniu:

O, którym czysty umysł czysty zapal nieci,  
Schodźcie się tu, szlachetni malarze, poeci!  
Tu macie wielkie skarby, widoki, kolory.  
Tu, czerpiąc natchnienie, bierzcie pyszne wzory;  
A mając wraz z pożytkiem cudowną zabawę  
Roznoście na pół świata tej ustroni sławę!  
Niech przesąd i ciemnota ostrym swoim zębem  
Nie szarpie nas, zwijając się gadziny kłębem:  
Niech zginie sama w sobie! A Tatry wspaniałe  
Wkrótce przez was zyskają utrwaloną chwałę“.

W niemiejszy zachwył wprowadziła Stęczyńskiego dolina Pięciu Stawów,

Nad któremi wnoszą się skały niebotyczne,  
A stawy, podziwienia występując krokiem,  
Poją nas sobie tylko właściwym urokiem.  
Pierwszy, leżąc najwyżej, lodem się zakrywa,  
Drugi szaro-zieloną wodą połyskiwa;  
Trzeciego wielka woda u stóp ciemnej góry  
Przedstawia w głębi swojej świat dziko-ponury.  
Czwarty w podługowatej rozlał się przestrzeni,  
Odbija w sobie mnóstwo i światła i cieni.  
I uchodzi z szelestem do niższego stawu,  
Mając dosyć na brzegach dla żywii potrawu.  
Ale piąte jezioro u stóp skał wyniosłych,  
Ledwie kosodrzewiną miejscami porośłych,  
Najwyżej położone; jednak na dolinie  
Ledwie się pomieściło, a w jego głębinie  
Czystej, jak łza niewinna, skały łudzą oko.  
Zdają się być pod wirchem, choć leżą głęboko.

A woda coraz dalej więcej niebieskawa,  
 Potem coraz ciemniejsza, aż czarna się zdawa.  
 Odpływ tego jeziora skryty między skały,  
 Które wiatry gwałtowne z czasem pozwalały;  
 Przedstawia spad niewielki, ale przy tym spadzie  
 Rosną kosodrzewiny w przyjemnym nieładzie,  
 Od którego zdaleka w lanach ciemnej łozy  
 Przechowują się dzikie i kozły i kozy.

O, tu każda istota rozsądna i tkliwa  
 Przyznaje, iż nie w miastach jest rozkosz prawdzi-  
 że zwodnicze pozory, jakimi świat puszy, [wa.  
 Nie mogą zaspokoić serca ani duszy!  
 Bo natura niweczy wszelkie złe zachcenia;  
 A sprawiają to różne barwy i odcienia,  
 Różne światła, półcienie i tak zwane tony,  
 Któremi bezprzestannie człowiek zachwycony  
 Ubawia swoje oczy i westchnienia sieje,  
 A ona mu dopóty swoje czary leje,  
 Aż serce uzdrowiwszy z rozpustnych słabości  
 Zaszczepia w nim prawdziwe ziarno szczęśliwości.

Do „czarów“ tatrzańskich, mogących się pochłubić tak uszlachetniającym wpływem na człowieka, w pierwszym rzędzie należy wodospad Siklawy w Dolinie Pięciu Stawów.

Ogromna masa wody z wysoka się rzuca  
 I spokojność ustroni gromami zakłóca,  
 I wściekłemi bałwany toruje łożysko  
 I w miejscu swego spadku kłębuje się nisko;  
 I dąsa się, i pryska wysoko pianami,  
 I rozbija się w skałach, i trzęsie skałami!

O, ta wodna poezja, te gwałtowne szумы  
 Niweczą w sercu człeka wszelki zaród dumy  
 I dają poznać wiecznie swą krzepką młodością,  
 że człowiek jest żyjącą słabą nikiemnością,

Że życia tak drogiego niedługo ma trwanie,  
 Że powinien w naturze mieć zamilowanie,  
 Naturę rozpoznawać, nią życie osładzać,  
 I cudnemi jej wdzięki swej duszy dogadzać!

A jeśli cudów tych dokazać jest zdolna „wodna poezja“ Siklawy, to cóż dopiero powiedzieć o „wodnej poezji“ Morskiego Oka, które naturalnie i Stęczyńskiego wprowadziło w niewypowiedziany zachwyty. Ale, że każdy poeta stara się przede wszystkim wypowiedzieć swe zachwyty, więc i Stęczyński, olśniony pięknosciami Morskiego Oka, poświęcił mu całą pieśń XVII swego poematu o Tatrach. Pieśń to niewątpliwie jedna z udatniejszych, bo przeniknięta szczerym poetyckim zapałem i entuzjazmem.

Witaj nam, pożądane, śliczne Morskie Oko,  
 Położone w kotlinie skalistej wysoko!  
 Zadziwiasz nas wielkością pysznego widoku,  
 Pojąć oko i serce słodyczą uroku!  
 Pojawiasz bytu swego wspaniałość i dzielność...  
 Mogąż śmiertelni pojąć twoją nieśmiertelność?  
 Mogąż oddać te rysy, barwę i powaby,  
 Przy których człowiek widzi się nędzny i słaby?!  
 O, tu tylko czuć można i patrzeć w milczeniu  
 I śnić ciałem i duszą w mocnym zadziwieniu!  
 Niema słów, niema głosu przed obrazą temi,  
 Nad myśli i pojęcie stokroć piękniejszymi!

Oczarowany pięknosciami jeziora, „choć wśród uczuć gorących słowa mu martwiały“ poeta nie mógł się jednak oprzeć pokusie, by nie spróbować „odrysować wszystko za kolejną“, t. j. kolei.

Jezioro czarno-szare, lśniące i głębokie,  
 A nad niem trzy tysiące stóp skały wysokie  
 Stoją dumnie, jak wierne jeziora strażnice,  
 Odbijające w wodzie granitowe lice,  
 Broniąc światłu przystępu swym ponurym cieniem;  
 Aż w południe, gdy słońce leje się promieniem  
 I ciepło swoje miłym uśmiechem rozwinie,  
 Natenczas wszystkie dziwy ujrzysz w tej krainie!  
 Ujrzysz w głębi jeziora jasne zieleniny,  
 Skały, domek na brzegu i kosodrzewiny.  
 Ujrzysz na lustrze wody chmur powolne ruchy  
 Jak mary znikające, jak powietrzne duchy.  
 I nad tobą jest niebo i pod twemi stopy:  
 Jakbyś między powietrzne zawieszony stopy  
 Unosił się w powietrzu, nie pojawiając się  
 Był za jednym spojrzeniem na ziemi i w niebie!  
 Bo powierzchnia jeziora zwierciadłem rozlana  
 Wydaje się podobnie, jak fata morgana.

Z pośród szczytów otaczających Morskie Oko,  
 najbardziej do wyobraźni Stęczyńskiego przemó-  
 wił Mnich.

Jest to skała szczególna, obszerna i tęga,  
 Zaledwie trzeciej części wyższych skał dosięga.  
 Jest to olbrzym dziwaczny, choć postawy mniszej  
 Nie przybrał podobieństwa w świętobliwej ciszy:  
 Stoi sobie, a przez swą szyję i ramiona  
 Zbliża się podobieństwem do słupów Memnona,  
 I grozi ci nad głową, a woda pod nogą  
 Ociąża myśl okropnej wyobraźni trwożą:  
 Że smok albo krokodyl z głębin wyskoczy  
 I porwie cię w swą paszczę i na dnie zamroczy.  
 Więc choćbyś do podlotu posiadał dar ptaszy,  
 Myśl sama na tem miejscu ciężko cię zastraszy.

Nie zastraszała jednak do tego stopnia, iżby  
 się nie odważyć na przepłynięcie jeziora tratwą.  
 Bo, zbywszy się „bojaźni“,



chętnie człek popłynie  
 Na mocno zbitej pelci po owej głębinie.  
 Bo gdy człek do powierzchni pierwszy raz się zbliża,  
 Nie zdaje się rozległą, potem się rozszerza,  
 I rozwija się oku coraz obszerniejsza,  
 Coraz dłuższa, straszniejsza i coraz piękniejsza!  
 Już powoli, poważnie pelcia nurty porze,  
 Której ruchy zaledwie oko dostrzec może.  
 Pod nami otchłań straszna, czarna i ponura;  
 Nad nami z skał wychodzi lekka, siwa chmura  
 I znowu się ukrywa w łonie swych piastunów,  
 Grożąca nawałnicą deszczu i piorunów!

Tu wzniosłe przyrodzenie silnie się uwzięło,  
 Złożyć z tysiącznych cudów jedno wielkie dzieło.  
 Więc upajam się w duszy czarami tej niwy  
 I życiem poezyjnym oddecham szczęśliwy;  
 I poznaję dokładnie, będąc rozczulony,  
 Istny nieba ułamek w to miejsce rzucony.

W taki to sposób, w dwudziestu czterech  
 pieśniach, wyśpiewawszy swą epopeję o piękności  
 Tatr, Stęczyński nie lędził się, żeby tym poematem  
 zrobił konkurencję *Iljadz* i *Odysei*  
 (liczących również, jak wiadomo, po dwadzieścia  
 cztery pieśni), lub *Panu Tadeuszowi*, który,  
 choć jest tylko w dwunastu pieśniach, pisany jest  
 takim samym wierszem 13-zgłoskowym. Skromny  
 z natury, a przytem obdarzony sporą dozą  
 samokrytycyzmu rozumiał on, że nie jest genjuszem,  
 że nie stać go na takie opisy, jak Słowackiego  
*Odwiedziny piramid*, lub Mickiewicza *Na  
 Alpach w Splügen*, że co innego dobre chęci,  
 a co innego rzeczy mistrzowskie. Zdając sobie  
 aż nadto dobrze sprawę z rodzaju swego talentu,

wiedział aż nadto dobrze, iż służył tylko „pocziwej sławie“, a więc nie miał pretensji do stworzenia arcydzieła.

Że tak a nie inaczej myślał o swych „dwudziestu czterech obrazach“ Tatr, tego dał sympatyczny dowód w „zakończeniu“ poematu, które rozpoczął takim przyznaniem się do swej słabości.

Rozstroiła się lira, więc śpiewać przestaję:  
Słowa były za słabe, tę prawdę przyznaję.  
Lecz przysłowie powiada: grobla podług wody,  
A trudno o urodę, gdy niema urody.  
Grałem nie jak artysta i śpiewak uczony,  
Lecz jak dziad pod figurą nad lirą schylony;  
Więc niejedno się może wydawało sucho,  
I niejedno zapewne obraziło ucho.  
Lecz ja, po prostu widząc, po prostu śpiewałem.  
A przecie tej prostoty jeszcze nie oddałem,  
Jak należy; bo w Tatrach jest natura miła,  
Lecz jest także i straszna! A tak wielka siła  
Natchmienia czyliż może być w prostym śpiewaku?...

Więc proszę mi przebaczyć, jeśli gdzie zbłądziłem,  
Jeślim uniósł się nadto, albo się zniżyłem.  
Lecz chęci miałem dobre. Niech przynajmniej one  
Zapewnią dla śpiewaka łaskawą obronę:  
A stąd niechaj wasz wyrok nieco się złagodzi:  
Dla wiejskiego śpiewaka względnym się być godzi.

W każdym razie godzi się zapewnić skromnego „wiejskiego śpiewaka“, iż choć w poezji polskiej niebardzo zaważył na szali, to jednak w literaturze tatrzańskej, jako autor poematu o T a t r a c h, tużdzieź A l b u m u P i e n i n i T a t r ó w, ma swoją zaszczytną i sympatyczną kartę.

## Rozdział II.

### Czasy Nowickiego i Janoty.

(1856—1882.)

W roku 1858 wyszła w Krakowie bezimienne książka o 192 stronnicach p. t. *Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin*, książka, która jeszcze dziś w swych celniejszych ustępach wytrzymuje porównanie z mistrzowskimi kartami *Na przełęczy Witkiewicza*. Książka ta pełna entuzjazmu dla piękności natury tatrzańskiej, a napisana z wybitnym talentem literackim, prześliczną polszczyzną i stylem doskonałym, wyszła z pod pióra kobiety, Marii Steczkowskiej. Książki tej, jak wogóle wielu rzeczy o Tatrach przed rokiem 1887, nie znał Witkiewicz; w przeciwnym razie bowiem, pisząc swe *Na przełęczy* i inne rzeczy z *Tatr*, z pewnością byłby wspomniał o niej, a jej autorce oddał należny pokłon, jako swej niepospolitej poprzedniczce.

Książka to nietuzinkowa pod każdym względem, bo nie tylko napisana z wielką znajomością przedmiotu, ale obfitująca w ustępy opisowe, pod którymi sam Witkiewicz mógłby się podpisać bez wahania. Jest w literaturze francuskiej studjum

Karola Labitte'a: *La divine comédie avant Dante*. Otóż podobne studjum dałoby się napisać u nas o „Na przełęcz” przed Witkiewiczem. W studjum tem dostałoby się Marii Steczkowskiej miejsce szczególnie zaszczytne.

---

I.

Poznała ona Tatry i Zakopane po raz pierwszy w lecie roku 1855, ale „przy niebardzo sprzyjającej pogodzie”, poznała je przelotnie tylko, powierzchownie, bo zabawiła tu dzień i dwie noce. Mimo to zachwyty jej nie miał granic. Choć „już od dzieciństwa” marzyła o Tatrach, choć „ich widoki, ich cuda w czarownych barwach snuły się przez oczyma wyobraźni”, a do ich poznania ograniczały się jej „wszystkie życzenia”, wspaniała rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania.

Jakby we śnie uroczym przesunęły się przed oczyma memi zachwycające widoki Morskiego Oka, Kościeliska, Zakopanego, a co tak rzadko się zdarza, tutaj rzeczywistość przewyższyła wszystkie moje oczekiwania: obok niej zbladły najcudniejsze obrazy, jakie mi wyobraźnia najżywszemi odmalowała barwami. Ale takie powierzchowne zwiedzenie tej wspaniałej świątyni, godnej zaiste wszechmocnej Stwórcy ręki, nie zaspokoilo mnie bynajmniej, owszem, rozdrażniło tylko wyobraźnię, wzmogło ów tajemniczy do gór pociąg, i tak żywą za nimi obudziło tęsknotę, iż sama myśl o Tatrach lub w kilkomilowej odległości dostrzeżone na widnokręgu ich szczyty, jakimś rzewnym prze-

mowały mię smutkiem, bo nadzieja powtórnego ich zwiedzenia i dokładniejszego rozpatrzenia się pomiędzy niemi, jaką cieszyłam się przez całą zimę, słabła z dniem każdym i nareszcie znikła zupełnie.

Dopiero we dwa lata, w roku 1857, spełniły się jej życzenia.

I więcej niż spełniły! Ja, com pragnęła zwiedzić raz jeszcze Tatry, choć znowu równie tylko powierzchownie jak za pierwszym razem, u stóp ich cały przemieszkałam miesiąc i cały miesiąc miałam przed oczami ich zastęp wspaniały, zwiedziłam można powiedzieć wszystkie doliny i polany bliższe miejsca mojego zamieszkania, byłam na kilku znaczniejszych szczytach, oddychałam czystem i wonnem gór powietrzem, zapoznałam się z poczciwymi góralami, pokochałam ich całym sercem i od nich nawzajem najserdeczniejszej doświadczałam przychylności.

I następne lato, w roku 1858, upłynęło jej w Zakopanem, „w tym lubym zakątku, gdzie pod opieką osiwiąłych olbrzymów przechowała się dotąd poczciwość i prostota, patriarchalne przypominająca czasy“.

Siedm tygodni przemieszkałam w tej górskiej osadzie, tak malowniczo, tak rozkosznie położonej, że we śnie tylko ujrzymy kiedy coś równie pięknego. Tatry otwarły mi znowu swoje skarby, nowe widoki, nowe cuda. Z jakąż radością widziałam, że te wspaniałe góry nasze coraz więcej są zwiedzane, i że każdy odjeżdża zachwycony ich pięknnością unosząc z sobą najmilsze wrażenia i postanowienia powrotu na rok przyszły! Ale jakkolwiek liczba osób zwiedzających Tatry rok rocznie się zwiększa, to jest ona przecież bardzo szczupła w porównaniu do liczby zwiedzających inne góry europejskie, jak np. Alpy. Jeżeli więc pomiędzy zwiedza-

jącymi Tatry bardzo mało dotąd znajdowało się kobiet, nie w tem napozór dziwnego.

A jednak, mimo to, nawet na szczycie Łomnicy były w roku 1856 dwie Polki. „W lecie r. 1857 nie było prawie dnia pogodnego, żeby ktoś nie był na szczycie Łomnicy. Dnia 2 sierpnia znajdowało się tam razem dziesięć osób“.

Opisując drogę z Krakowa do Zakopanego parokonnym wózkiem góralskim, z furmanem, który umyślnie przyjechał z Zakopanego, Steczkowska powiada:

Ktoby nie miał sposobności zamówienia go stamtąd, może z łatwością wystarać się o wózek góralski w dzień targowy na Kleparzu lub Podgórzu.

Ci, co przed rokiem 1886 jeździli do Zakopanego jeszcze z Krakowa końmi, wynajmowanymi na Kleparzu, ze zdziwieniem dowiadują się przy tej sposobności, że już w r. 1857 było tak samo.

Zakopane ówczesne, jako „najdalej na południe wysuniętą i u samych stóp Tatrów położoną wieś na Podhalu polskiem“, tak opisuje Steczkowska:

Trudno znaleźć okolicę, łączącą wspaniałość z nowym wdziękiem w równie harmonijny, czarujący obraz, jaki nam przedstawia dolina Zakopanego. Zachodnia część łańcucha Tatrów stanowi południową ścianę tej doliny. Tuż nad nią sterczy poważny Gewont, ogromna, skalista, zupełnie naga góra, z całego pasma najwięcej na północ wysunięta i kształtem swoim różniąca się znacznie od sąsiednich wierchów. Gewont od strony



Zakopanego wznosi się niemal wszędzie zupełnie prostopadle, jakby wspaniała, skalista ściana wapienna. Sam wierzch jego tworzy długi i tak wąski grzbiet, iż go do ostrza przyrównać można, a przejść po nim niepodobna. Od zachodu wznosi się najwyższy szczyt Gewontu, dostępny jedynie od południa, a od wspomnianego grzbietu głęboką, łukowatą szczyrbą oddzielony. Gewont jest prawdziwym królem tej okolicy; z całego łańcucha najbardziej naprzód wysunięty, wydaje się najwyższym, najwspanialszym ze wszystkich turni. Mieszkańcy Zakopanego nazywają go ojcem, mają dla niego jakieś szczególne poważanie. Szczyrbina jego służy im za zegar: gdy słońce nad nią się wzniesie, jest właśnie południe.

Po prawej stronie Gewontu i poza nim wznosi się Czerwony Wierch, znacznie od niego wyższy; na oko jednak, z powodu oddalenia, wydaje się niższym. Dalej, zawsze po tej samej stronie t. j. ku zachodowi, także bardzo wyniosły upłaz, potem skalista masa kominów Kościeliskich, a na koniec już na Orawie leżąca wspaniała góra osobista. Z lewej strony Gewontu widać najpierw szeroki grzbiet Goryczkowej, dalej sterczy skalisty szczyt Świnnicy, obok niej Kościelec; przed nimi o wiele od nich niższa Magóra; dalej w najdziwniejsze zęby poszczerbiony Granat, za którym wznosi się rozłożysty i zupełnie nagi grzbiet Koszystej. Nieco dalej ku wschodowi widać zupełnie odosobniony, wspaniały szczyt Murania.

Wzdłuż całego łańcucha Tatr ciągną się wzgórza ze skalistymi wierzchami, po bokach ciemnymi lasami okryte, dolinami tylko lub niewielkimi polanami oddzielone od tych skalistych turni, które dumnie i groźnie piętrzą się nad nimi, niby baszty wieży niezdobytej warowni. Wyniosłe te przedgórze, ciemnym pasmem rozciągające się u stóp tego olbrzymiego grodu, zowią tu regłami.

Prawie zupełnie równoległe od skalistego Tatrów łańcucha, na północ od Zakopanego, wznosi się wy-

niosłe piękne wzgórze Gubałówką zwane, pokryte najrozmaitszą szachownicą pól, łąk, lasów i gajów. Po między Gubałówką a Tatrami legła dolina zakopiańska, niewielkimi pogarbiona wzgórkami, zaśłana kwiecistym kobiercem łąk i zielonemi smugami pól; ocieniona po bokach świerkowemi lasami, przepleciona mnóstwem potoków, które z szumem i hukiem w różnych pędzą kierunkach. Na tej to uroczej dolinie leży rozległa, piękna, więcej niż milę długa wieś Zakopane, 2000 dusz licząca.

Kuźnice zakopiańskie, które tu wszyscy bez wyjątku z góralska hamrami nazywają, przyjąwszy tę nazwę niemiecką od robotników czeskich, leżą o pół mili od wsi pomiędzy górami w dość obszernej dolinie, wśród ciemnych lasów świerkowych. Na wstępie do tej doliny, po lewej stronie od wschodu, wznosi się piękna skalista góra, zwana Nosalem; w głębi widać wspaniale szczyty, podnoszące się dumnie z łona ciemnych lasów.

Ze wsi Zakopanego prowadzi do Kuźnic szeroka i dobrze utrzymana droga po części lasem, to znowu wygłębiskiem, na którym puszczają się już śliczne świerki i modrzewie. Po obu stronach drogi szumią bystre potoki... Droga ta, bardzo przyjemna i piękna, z początku prawie nieznacznie, ciągle jednak wznosi się pod górę, gdyż Kuźnice leżą wyżej od wsi Zakopanego.

Na wstępie do Kuźnic, obok drogi, wznosi się piękny krzyż żelazny z wizerunkiem Zbawiciela otoczony kratą. Prócz licznych zabudowań fabrycznych stoi tutaj obszerny dwór właściciela z niewielkim ogrodem, w którym piękna bije fontanna, kulkanaście schludnych domków, służących za mieszkanie urzędnikom górniczym, porządny dom zajezdny i t. d. Ożywia tę osadę szum Białego Dunajca, który na kilka rozdzielony ramion wije się w różnych kierunkach i pomimo iż w jarzmo ciężkiej pracy wprzężony, nic nie stracił z bystrości swojej, nie zbrudził wód kryształowych,

ale zawsze równie piękny i czysty, ochoczo, jakby igrając, obraca koła rozlicznych machin i szmerem swym łagodzi ogłuszające łomotanie młotów, warczenie kół, brzęk szyn i blach żelaznych... Przed trzema laty byłam w tutejszej hucie w czasie spustu żelaza, co rzeczywiście bardzo zajmuje, zwłaszcza, gdy się trafi na lanie krat, garnków i innych drobniejszych przedmiotów. Kto chce zwiedzić dokładniej te fabryki, nie dozna w tem żadnej trudności przy uprzejmości urzędników tutejszych, którzy z największą gotowością zaspakajają ciekawość każdego.

Za Nosalem znajduje się źródło zwane Jaszczurówka lub źródłem Salamandrowem, z powodu, iż w pobliżu jego pod kamieniami przebywa mnóstwo salamander. Obfite to źródło zasługuje na uwagę z tego względu, że temperatura jego jest nierównie wyższa, niż wszystkich innych tarzańskich źródeł. Gdy bowiem źródła tameczne mają zazwyczaj 3° do 5° R., Jaszczurówka ma 16° do 18° R. W zimie wznosi się z niej obłok pary. Żałować należy, że nikt dotąd nie rozebrał chemicznie tej wody; kto wie, czy nie okazałyby się w niej jakie pierwiastki leczące. Tak wielka różnica jej temperatury zasługuje zawsze na uwagę i bliższe zbadanie przyczyn tego zjawiska. Samo położenie Jaszczurówki nie bardzo warte jest zwiedzenia, chyba dla prześlicznego widoku, jaki ze wzgórza, przez które się przechodzi,<sup>1)</sup> przedstawia się na kuźnice zakopiańskie, bielejące w dalekiej perspektywie na tle ciemnych lasów, nad którymi wystrzelają skaliste turnie. Widok ten godnym jest zaiste pendzla malarza.

W obszernym rozdziale I, poświęconym Zakopanemu, Steczkowska opisuje bodaj czy nie dokładniej od Witkiewicza, a w każdym razie równie szczegółowo i dokładnie, zarówno strój górali i góralek, jak ich obyczaje, ich charakter, ich ro-

<sup>1)</sup> Z Kozieńca.

dzaj zajęć, ich życie pasterskie, słowem, daje wyczerpujący obraz, obfity w szczegóły, niż studjum Zejsznera, całego życia na Podhalu. Ażeby dać próbę ścisłości, z jaką autorka kreśli swe „obrazki“ zakopiańskie, wystarczy przytoczyć ustęp, charakteryzujący strój i charakter góralek w przeciwstawieniu do górali:

Kobiety tutejsze w ogólności mniej są przystojne jak mężczyźni: zdarzają się jednak pomiędzy nimi prawdziwe i doskonałe piękności. Rysy ich twarzy zazwyczaj drobne, oczy najczęściej niebieskie, czasem czarne, pełne ognia i życia, nad nimi wąziutka brew pięknym zatoczona łukiem. Jedna w drugą mają zęby prześliczne, białe i równe jak perły. Cera ich twarzy zazwyczaj blada, lekkim tylko okraszona rumieńcem, wzrost mierny, kibić smukła i kształtna, noga i ręka małe. Ubiór ich składa spódnica bardzo fałdzista, dłuższa niż u naszych wieśniaczek, bądź to z perkalu w jasne kwiaty, bądź z muślinu lub kolorowej wełnianej materji. Zapaska muślinowa biała, haftowana kolorową bawełną, czasem czarna jedwabną obszywana czerwonymi lub zielonymi wstążkami. Gorset zgrabny i wcięty, nieraz z bardzo bogatej, złotem i srebrem haftowanej materji, z przodu zapinany na guziczki. Koszula biała i cienka z bardzo szerokimi rękawami, czerwoną wstążeczką związaną pod szyją, ozdobiona mnóstwem koralu lub paciorków, od których spada na piersi krzyżyk lub medalik, zwany onakw a. Włosy z przodu gładko omuskane, dziewczęta splatają w jeden warkocz, bogatą związany wstęgą; mężatki plotą dwa warkocz, spadające na ramiona. Jak jedne tak i drugie okrywają głowę kolorową chustką wełnianą lub jedwabną, którą związują pod brodą, a koniec spuszczaają na plecy. Obuwciem ich są trzewiki, lub zgrabne żółte buciki na wysokich korkach. Muślinowy rańtuch, zarzucony na ramiona, lub piękna wełniana chust-



Drzewa zimą.

(Tatry i Zakopane.)

<http://rcin.org.pl>

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
SW. WÓJCIECHA W POZNANIU





ka w żywych kolorach dopełnia świątecznego stroju góralki. Na codzien noszą zazwyczaj szafirowe spódnice, zapaski zaś najczęściej tego samego koloru lub zupełnie czarne zarzucają na plecy. Od ciemnej spódniczki i białej, choć grubej koszuli pięknie odbija czerwona bawełniana chusteczka, którą osłaniają głowę.

Kobiety tutejsze nierównie są pracowitsze, niż mężczyźni; prócz domowego gospodarstwa, w którym, jak już wspomniałam, biorą na siebie często zatrudnienia męskie: każda niemal nietylko przedzie, ale tka płótno na domową potrzebę, a często i na sprzedaż. Nietylko koszule nieraz bardzo cienkie i białe, ale spódnice i płócienka na pościel są ich własnej roboty. Prawie każda umie szyć i prócz gorsetów, wymagających już krawieckiej umiejętności, sama szyje cały swój ubiór, w czem wielką mają wyższość nad naszymi wieśniaczkami, z których część większa nie umie igły wziąć do ręki. Ubiór ich zaleca się wielką czystością; szkoda tylko, że tej czystości nie utrzymują tak starannie w domu, szczególnie w naczyniu. Stroje lubią niezmiernie; skarby świata oddałyby za parę sznurków paciery (paciorków) lub kawałek wstążki. Nie tylko młode, ale i starsze są bardzo żywe i wesołe, najmniejszy żart, jedno nic nie znaczące słówko do serdecznego pobudza je śmiechu. Z początku raziły mię bardzo te ciągle wybuchy śmiechu; później jednak, gdy się przekonałam jak niewinne są jego powody, oswoiłam się z nim zupełnie. Charakter góralek jest wogóle łagodny, często znaleźć można u nich uczucia tak delikatne i tkliwe, że zawstydziłby mogły niejedną z naszych dam salonowych, roztkliwiających się z wyegzaltowaną czułością nad urojonemi nieszczęściami, a na istotnie cierpienia bliźnich suchem spoglądających okiem.

Ustęp o wpływie służby wojskowej na Podhale dowodzi, że Steczkowska nie ślizga się po wierzchu, lecz głębiej sięga w istotę duszy góralskiej. Służba demoralizując i deprawując chłopów

z równin, na górali, dzięki ich lokalnemu patriotyzmowi, wywiera wpływ korzystny raczej, niż ujemny, bo rozszerza ich horyzont myślenia, a przenosząc w obce strony, tem bardziej każe kochać własne.

Wzięci do wojska, zapędzeni w dalekie strony, tęsknią za rodzinną zagrodą, niejednen ciężko się roznie- może i dopiero powrót do gór przywraca mu zdrowie. Ten święty ogień tchnieniem samego Boga w prawych roznieconych sercach, to wzniosłe, szlachetne uczucie, które nas rozrzewnia w góralach i do szacunku naszego nadaje im prawo, jest dla nich drogim talizmanem przeciw skażeniu, na jakie są narażeni, czy to służąc wojskowo, czy też tułając się po obcych stronach, wśród ludzi, u których już dawno zaginęła poczciwa prostota. Służba wojskowa, stanie na kwaterach po miastach, gdzie tyle zwodniczych a zgubnych ponęt ciągnie niedoświadczonego prostaczka w przepaść zepsucia, jest dla górali szkołą, w której nabywają znajomości ludzi i świata, doświadczenia, trafniejszego o rzeczach sądu, nie tracąc pierwotnej poczciwości, bo miłość rodzinnej ziemi, rodzinnych zwyczajów, stoi na straży ich serca i wszelkim obcym wpływom broń przystępu. Znałam kilku wysłużonych żołnierzy w Zakopanem; wszyscy odznaczali się prawością, rzadkim rozsądkiem i żywszem jeszcze przywiązaniem do stron ojczystych, żaden z nich nie tęsknił za uciechami miejskiego życia. Gazda, w którego chacie mieszkaliśmy w roku pozaprzeszłym, dwa lata służył w wojsku; z powodu ciągłej słabości uwolniono go od czynnej służby i w parę miesięcy powietrze górskie wróciło mu zdrowie, którego dać nie mogły lekarstwa i dobry byt w wojsku. Młody ten człowiek przez cały czas swej służby postu nie złamał, wódki nie wziął w usta, nie postął na żadnej hulance w karczmie, a za powrotem do domu nietylko że sam był najspokojniejszy najlepszych obyczajów, ale ganił i napominał tych, u których dostrzegł najmniejsze uchybienie w tym względzie.

Opisawszy życie górali zakopiańskich, dla których powzięła tyle nieklamanej sympatji, poznaawszy ich najlepsze strony, Steczkowska nie omieszkła dać należytego wyobrażenia o Zakopanem, jako letnisku, które wówczas, choć jeszcze dalekie od roli „letniej stolicy Polski“, już z roku na rok zaczynało ściągać coraz liczniejszych zwolenników przebywania w górach oczyszczających. Okazuje się, iż lubo te stosunki były bardzo sielskie i prymitywne, przecież nie było tak źle, jak to sobie niektórzy czciciele dzisiejszego „europejskiego komfortu“ wyobrażają. W każdym razie dało się żyć, nawet niezgorzej. Natomiast pewne niewygody i braki nie były pozabawione uroku i oryginalności. Na banalność nikt nie mógł się uskarżać.

Jak już wspomniałam, chaty tutejszych gazdów są w ogólności duże, pięknie zbudowane; bardzo więc łatwo o mieszkanie. Nie znajdziemy tu wprawdzie tych wygód, jakie mieć można podróżując po Alpach; ale w izdebce schludnej, wesołej, prawie zawsze z najpiękniejszym na góry widokiem, przy wesołym ogniu kominka, który tak pięknie ciemne oświeca ściany, wśród poczciwego ludu, któryby wszystko z pod serca wydobył, byle tylko nam dogodzić, łatwo zapomnieć o zagranicznych wygodach i wygodkach. Izba, obok której jest czasem komora, mogąca służyć za spiżarnię, wraz z drzewem do gotowania i posługą, którą najczęściej podejmuje najochotniej sama gaździna, nie kosztuje nawet dwóch reńskich srebrem tygodniowo. Niemalą zaletą tych mieszkań jest wielka suchość.

Kto nie chce przestać na posłaniu ze słomy owianej, miękkiej i drobnej jak siano, ten powinien wziąć z sobą pościel, gdyż jak się łatwo domyślić, nie dostanie

tu gościnnych łóżek. Radzę także zaopatrzyć się w ciepłe ubranie, bo zdarzają się tutaj dni słotne i zimne jak u nas w jesieni. Nie trzeba sobie jednak wystawiać, że w górach ciągle panują śloty, a dni pogodne i ciepłe do rzadkich należą zjawisk. Przeciwnie, trafia się nieraz, że po całych tygodniach nie bywa deszczu. W poprzedzonym roku mieliśmy tu czas tak piękny, że wszystkie wycieczki odbyliśmy najszcześliwiej, nie spadła na nas ani kropla deszczu. Co do żywności, nie trzeba się także lękać, aby być zmuszonym żyć po góralsku owsianemi plackami, bo i o inne artykuły nie tak tu trudno. Mięsa codziennie dostanie się przy hucie, do której, lubo leży o pół mili od wsi, okazje bardzo łatwe. Chleb i kukielki dosyć dobrze piecze parę razy na tydzień karczmarka, Żydówka wprawdzie, ale tak porządna, że ze smakiem można jeść jej pieczywo. Można jednak z łatwością mieć swój chleb i bułki, wzięwszy mąki z domu, bo w wielu chatach są piece piekarskie, a nawet karczmarka tak jest uczynna, że pozwoli upiec u siebie. O masło w samym Zakopanem dosyć trudno, mało go tutaj robią i to najczęściej niedobre, bo ze śmietany krowiej zmieszanej z owczą. Poznawszy się jednak z gaździnami, można dostać wybornego masła, i to daleko taniej niż u nas, bowiem garniec po 8 do 10 złotych. Mleko tu wyborne, tak kwaśne jak słodkie; o to ostatnie jednak dosyć trudno. Mleka słodkiego nigdy nie zbierają, nie znają nawet śmietanki, nie umieją jej zbierać, albo będzie tak gęsta, że się zaraz zwarzy, albo też niewiele się różni od mleka. Ale i o bardzo dobrą śmietankę wystarać się można, chociaż przy tak wybornem mleku łatwo się bez niej obejść. Aromatyczna i obfita pasza, jaką bydło znajduje w górach i na wyrębiskach, nadaje mleku ów smak wyborny, zapach i gęstość, jakiej nie ma nigdy mleko od naszych krów, choćby najlepiej karmionych.

Jadąc do Zakopanego, trzeba wziąć z sobą legumin, bo tych tutaj nie dostanie. Dobry zapas herbaty jest także niezbędny, gdyż ten rozgrzewający napój,

do którego przywykliśmy w mieście, prawie codziennie tutaj przyda, bo wieczory bywają zawsze chłodne. Kawy i cukru lepiej też wziąć z domu, gdyż tu artykuły te są drogie, a również jak w Nowym Targu, nie zalecają się jakością. Na przypadek jednak, gdyby zabrakło którego ze sklepowych artykułów, można się udać do Żyda, handlującego tutaj wszelkiego rodzaju towarami, od tasemek, szpilek, chustek aż do świec, mydła, kawy, czekolady i t. d. Do Nowego Targu także częste bywają okazje. Dodajmy teraz mnóstwo grzybów, poziomek, malin, czasem i pstrągów, z którymi się proszą kobiety, chłopaki i dzieci, a przyznać musimy, że kto nie jest bardzo wymagający i do wykwintów przywykły, nie dozna głodu w Zakopanem.

Robiąc częste wycieczki w góry, i to zawsze w parę lub kilka osób, zawsze to czyniła Steczkowska z przewodnikiem. Jako najlepszych wówczas wymienia dwóch: Macieja Raja i Jędrzeja Wałę. „Obaj strzelcy: są więc najdokładniej obeznani z górami“. Najwięcej chodziła z Wałą, o którym w swym opisie wycieczki na Krywań tak pisze:

Przybywszy zeszłego lata<sup>1)</sup> do Zakopanego, pierwszym naszym staraniem było wywiedzieć się dokładnie, czy wycieczka na Krywań nie będzie nad nasze siły. Udaliśmy się w tym względzie do Jędrzeja Wali, doskonałego przewodnika, a przytem bardzo poczciwego człowieka, na którego sumienność mogliśmy z pewnością rachować. Ten nam zaręczył, że droga na Krywań, lubo rzeczywiście daleka, nie jest jednak tak trudząca, żebyśmy jej nie mogli odbyć z łatwością przy sprzyjającej pogodzie. Jego opowiadanie o cudnym widoku, jaki się przedstawia z tego wyniosłego szczytu, tem więcej nas zachęciło, i postanowiliśmy odbyć nie-

<sup>1)</sup> w r. 1857.

zwłocznie tę wyprawę, dającą nam sposobność poznania południowej części Tatrów. Chodziło jedynie o pogodę, która była tak niestałą, że nie można było liczyć z pewnością na trzy dni pogodne. I w tym razie zdaliśmy się zupełnie na przewodnika naszego, który już w poprzedzonym roku dał nam dowody swoich meteorologicznych wiadomości. Upłynęło dni kilka, w ciągu których pogoda i słońce zmieniały się kolejno. Parę razy gdy słońce zaszło pogodnie i z błękitnego sklepienia usunęły się chmury, mieliśmy ochotę wyruszyć w drogę; ale Wala kręcił głową i nie chciał puszczać się w góry na czas niepewny. Jakoż rzeczywiście po jednym dniu pięknym następował znowu dżdżysty, i wtenczas winszowaliśmy sobie, że siedzimy w ciepłej i suchej izbie, a nie mokniemy na słońcu gdzieś tam wśród gór i lasów. Nareszcie jednej niedzieli, było to 2 sierpnia, po paru dniach deszczu wypogodziło się zwolna, zachodzące słońce oblało góry potokiem purpurowej jasności, co w Tatrach bywa zwykle znakiem ustalonej pogody. Wieczorem przyszedł Wala, i jakąż była nasza radość, gdy po zwykłym pozdrowieniu „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ powiedział: „No już przyszła nasza pogoda, jutro trzeba iść na Krywań“. I dalejże rozpowiadać znowu, co to za widok będziemy mieli ze szczytu, jak tam ujrzymy jak na dłoni Łomnicę, Kolbach, Ganek, szczyt Gerlachowski i inne olbrzymy wschodnich Tatrów. Łatwo sobie wystawić, jak nas zachęcało to opowiadanie.

Sposób, w jaki Steczkowska opisuje swe wycieczki w góry, jest tak artystyczny, tak w każdym wierszu nacechowany literackim talentem, tak obfitujący w ustępy pełne poetycznego polotu, a język jest tak plastyczny, tak kolorowy, tak sugestywny, iż nietylko widzi się wszystko, co wychodzi z pod jej pióra, staje przed oczyma jak żywe, ale nic w tych opisach nie trąci myszką;



i choć są to rzeczy, pisane 60 lat temu, czytając je, podziwia się ich świeżość. Sam Witkiewicz nie pisze lepiej.

Oto np. jak Steczkowska w rozdziale o wycieczce do Morskiego Oka opisuje nocleg we wsi Bukowinie za Poroninem, w miejscowej karczmie, „skąd bardzo piękny widok na dolinę Białki od wschodu i północy, a od południa na Tatry”).

Zaledwie rozgościliśmy się w przeznaczonej dla nas stancyjce, zaczęli się schodzić górale stręczący nam się za przewodników w jutrzejszej wyprawie. Słońce jeszcze dosyć było wysoko, niepodobna było tak wcześnie zabierać się do spoczynku, a potem jakież to widok wabił nas za wrota karczemne! Cały łańcuch Tatrów rozciągał się przed nami, na oko bardzo mało oddalony. Z Zakopanego widzimy tylko niższą część tego pasma, tu występują owe olbrzymy spiskie, nad które wznoszą się dumne czoła Łomnicy, Kolbacha i innych turni najwyższych w całym Tatrów łańcuchu. Pomimo że najczystszy błękit sklepił się nad nami, grube mgły leżały na najwyższych szczytach, i z nadchodzącym zmrokiem coraz niżej spuszczały szarą zasłonę swoją. Siedząc przed karczmą, śledziliśmy zachwyconem okiem precudną grę promieni słońca, które zniżając się ku zachodowi, świetną purpurą oblewało Tatry, jakby odbłaskiem tysiąca pochodni, gorejących po nawach, kopułach, wieżach, krużgankach tej wspaniałej, godnej wielkości Stwórcy świątyni. A wśród tej złotoróżanej powodzi blasku, jakimi jaśniały nagie opoki i rumieniły się śniegu smugi, jakże tajemniczo

---

\*) Karczmę tę — jak to zapisał Zejszner w swych *Tatrach polskich* — wybudował „właściciel Bukowiny, p. Homolacz“. W karczmie tej znajdował podróżny „kilka porządných pokoi i pierwsze potrzeby do życia.“

czerniły się głębokie przepaście, w których paszczę nie dojdzie nigdy słońca promyczek! To jakby zaklęte siedlisko owych istot z wyższego świata, które według podań ludu zamieszkują te góry, i z zapadającym zmrokiem wysuwają się zwolna z tajemniczych kryjówek swoich w postaci leciuchnych mglistych obłoczków, czekając, rychło zgasną ostatnie dnia blaski, i ciemna noc zgubnym albo też zbawiennym ich wpływem otworzy pole działania. Zwolna jedna po drugiej gasły pochodnie, zmrok coraz szerzej rozpościerał panowanie swoje, już tylko gdzie niedzie drzał mdlejący światła promyczek, wnet i ten zagasił, ciemność zaległa całą świątynię, i niby ostatnia lampa w przysionku, poważny tylko Gerlach przyświecał jeszcze czołem, zorzą zachodu oblanem. Coraz słabiej, coraz niepewniej migotał ten ostatni promyczek i skonał. Zazdrosne mgły, czekające widać niecierpliwie na to uroczyste pożegnanie króla światłości, otuliły teraz góry ciemną oponą swoją, niby troskliwa piastunka, kołysząca ulubione dziecię do snu nocnego.

Zaledwie się zmierzchno, udaliśmy się na spoczynek, aby nie zaspać i wstać jak najraniej, gdyż chcieliśmy wyjechać przed świtem. Niebo wypogodzone i miły chłód wieczora nie pozwalały nawet przypuszczać najmniejszej wątpliwości o jutrzejszej pogodzie. Spokojnie więc zupełnie, szczęśliwi nadzieją jutra, zasnęliśmy smacznie na świeżem i wonnem sianie, przy blasku księżycy, który srebrzystą twarzą zaglądał w okno naszej stancyjki, jakby czuwał nad snem naszym i czekał tylko chwili obudzenia nas w porę. I nie zawiódł nas pocziwiec; około trzeciej po północy uderzeni jasnością w naszej stancyjce, którą wzięliśmy za światło dzienne, zerwaliśmy się z pościeli, a chociaż poznaliśmy wkrótce, że to księżyc takiego wyplatał nam figła, nie gniewaliśmy się wcale, ale zbudziwszy furmanów, wybieraliśmy się spiesznie. Cudny to był ranek! Księżyc już poblądł i nachylił się do zachodu, brzask dzienny jeszcze nie rozpędził nocnych ciemności

tajemnicza szata zmroku odziewała całą okolicę, Tatry jakby wpółsenne, rozmarzone, jakoś niepewnie rysowały się na widnokręgu, a mgły szare niby duchy i widma krążyły nad niemi. to rozplywając się w powietrzu, to uciekając w doliny i wąwozy, skąd je znowu zmrok wieczorny wywabi.<sup>1)</sup>

Wyjechano z Bukowiny jeszcze przed wschodem słońca. Dopiero w pół godziny potem zaczęło wschodzić.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, nie towarzyszyły królowi światła owe obłoczki, które on jasnością oblicza swego opramienia, i które płynąc zwolna w przezroczu błękitu, rydwan jego ciągnąć się zdają. Bukiety róż nie uścielały drogi jego; prócz zorzy, rumieniącej zlekka wschodnią stroną nieba, nic nie zapowiadało zbliżającego się wschodu słońca. Wtem niespodzianie na krańcu widnokręgu ukazał się złoty brzeżek, i wkrótce ognista tarcza wzbila się nad poziom, i płynąc zwolna po czystym lazurze, oblała uroczym blaskiem Tatry, które całym łańcuchem roztoczyły się przed nami, od skalistego Murania do Gwontu i gór Orawskich. Ani jedna chmurka nie zasłaniała smugami śniegu okrytych turni; czasem tylko leciuchna mgła, niby tkanka pajęczna, czepiała się nagich

<sup>1)</sup> Nie upłynęło lat dziesięć, a już skończyły się świetne czasy tej karczmy w Bukowinie. Oto, co o niej w r. 1869 pisze Walery Eljasz (w Bluszczu z r. 1870 w swej Wycieczce do Morskiego Oka): „Karczma tutejsza przy drodze do Morskiego Oka, dawniej tak uczęszczana, dziś przerażającą świeci pustką jak po rabunku. Drzwi i okna powydzierane, dach podziurawiony, żadnego śladu niema żywej istoty. Opowiadano mi, że Żyd, co tę karczmę dzierżawił, do takiej nędzy przyszedł, że „ledwie żyw od głodu z dziećmi stąd się wywłókł.“ Sic transit gloria Bukowinae...

szczytów, ale i ta rozplywała się wkrótce w ciepłych słońca promieniach. Zachwycając się ciągle tym niezrównanie wspaniałym widokiem, jechaliśmy gęstym świerkowym lasem, który rozsuwał się miejscami i śliczna polanka z szalasem i pasącą się trzódką owiec, lub przepaścista dolina, w głębi której huczał bystry potok, rozweselała jednostajność boru.

Z Roztoki zamiast odrazu iść do Morskiego Oka, zбочono do doliny Pięciu Stawów, gdzie przedewszystkiem chciano obejrzeć wodospad Siklawy. Oto jak Steczkowska opisuje tę część wycieczki:

Im dalej atoli zapuszczaliśmy się w tę dziką dolinę, tem uboższą stawała się roślinność. Pożegnały nas świerki i inne krzewy, znikły prześliczne poziomki i różnobarwne alpejskie kwiaty, została tylko płacząca się kosodrzewina i gruba bujna trawa w miejscach wilgotnych. Nagie olbrzymy coraz ciasniejszem obstepują nas kołem, śnieg już nietylko na szczytach, ale po bokach i u stóp ich leży, już tylko kilka minut dzieli nas od wodospadu, już słyhać huk jego, a jeszcze nie odsłania się oczom naszym, jeszcze urwista opoka kryje Szttaubbach polski! Wspinając się po płytach kamiennych dostaliśmy się na trawnik rozesłany na pochyłości skały nad głęboką przepaścią i nagle ujrzeliśmy wodospad.

Są zjawiska, są widoki, które wielkością i pięknoscą swoją tłumią w piersi wykrzyk podziwu. Przycisnieni niejako siłą doznanego wrażenia, nie możemy przez chwilę owładnąć własnych myśli, zapominamy, gdzie się znajdujemy, myślimy o wszystkim nie myśląc właściwie o niczem; chcemy objąć wzrokiem ów przedmiot podziwu, ale i ten jest za wielki, zanadto rozmaity i niespodziany, tak iż zmysł i myśl potrzebują chwilę czasu, aby się wyplątać z chaotycznego wrażenia i nabyć uporządkowane o rzeczy wyobrażenie. Nigdy

jeszcze w takim stopniu nie doznałam podobnego wrażenia, jak na widok wodospadu Siklawej wody. Jakże blade, jak niedostateczne wydały mi się teraz wszystkie opisy tego wspaniałego dzieła przyrody! Bo zaiste, tu nie opisywać, ale tylko podziwiać trzeba i korzyć się i wielbić Boga, którego wszechmocna ręka siejąc po ziemi piękności kwiaty, nie pominęła najustronniejszego zakątka i tę dziką nagich skał pustynię ustroiła snującą się bez końca brylantową wstęgą, głuchą ciszę ożywiła szumem i hukiem, który tak jest miłym dla ucha wędrowca jako jedyny głos życia przerywający to ponure milczenie.

Z grzbietu nagiej, stromej opoki rzuca się do dwóch sążni szeroki potok zwany Siklawą wodą. Może w trzeciej części spadku napotyka na wystającą skałę, rozdziera się na dwa ramiona równej prawie objętości i spada w przepaścistą głębię. Spadek tak jest gwałtowny, że woda traci zupełnie swą kryształową przejrzystość, i wydaje się jak bałwan śnieżnej piany przesypanej milionami brylantów. Około wodospadu do znacznej odległości, tworzy się deszcz kroplisty, w którym odbite słońca promienie formują tęczę. W czasie naszej bytności dwie takie siedmiobarwne wstęgi przepasywały śnieżne fale. Najwspanialej wydaje się wodospad stanąwszy u spodu jego, bo wtenczas dopiero można doskonale objąć okiem całą olbrzymią jego wysokość około 160 st. wynoszącą. Dojście jednak do dna tej głębi, w którą się rzuca, jest trudne. Siedząc z boku nad brzegiem tej przepaści z pomimowolnem uczuciem zgrozy spoglądałam w tę głębią jakby łożę olbrzymią siłą wykute w litym granicie, o które rozbijają się z nieopisaną gwałtownością spienione wody, tworzą wiry, fontanny, wrzą, kipią, niby w kotle podziemnym ogniem rozpalonym, a wszelkie przeciężając przeszkody wpadają w dolinę i pod nazwiskiem Roztoki szalonym pędem spieszą do Białki, która lubo niezmiernie bystra, wydaje się spokojną obok tego rozhukanego potoku.

Równie barwnie autorka „obrazków“ opisuje Morskie Oko, którem zaraz po przybyciu do szalasu, stojącego na brzegu jeziora, przeprowiono się tratwą na drugi brzeg, by pójść do Czarnego Stawu.

Tratwa dopiero właśnie zrobiona dla gości sproszonych do Zakopanego na uroczystość odsłonięcia pomnika arcyksięcia Ludwika, którzy przy tej sposobności zwiedzali Morskie Oko, jest bardzo wygodna; po bokach ma poręcze i ławki do siedzenia.

Do najlepszych rozdziałów w książce Steczkowskiej należy opis wycieczki do doliny Kościeliskiej. Jako szereg kolorystycznych obrazów, jest to rzecz, wytrzymująca nawet porównanie z Listami z Afryki Sienkiewicza. Oto zaraz na samym wstępie śliczny krajobraz z drogą z Zakopanego do Kościelisk na pierwszym planie.

Droga prowadzi zrazu przez wieś, potem wije się wśród łąk, zasłanych kwieciami, napelniającem powietrze balsamiczną wonią. Na lewo, czyli od południa piętrzy się wspaniały Gewont wznoszący się prostopadłą ścianą z łona ciemnych lasów podnóże Tatrów opasających, na prawo wyniosłe wzgórze Gubałówki strojne tą cudną szatą, w jaką matka natura obleka na wiosnę ulubione dziatki. Ale wśród łąk i gajów, których krasa tej matki darem, widać tu pola uprawne ręką człowieka, który nie pozwala ziemi samem stroić się kwieciami, przyglądać się swym wdziękom w czystych wodach strumienia i na tej płoczej rozkoszy pełną nadziei przemarnować wiosnę, ale ostrym pługiem rozdarłszy jej łono, rzuca w nie ziarno, które gdy kwiaty zwiędną pod letniego słońca skwarem, odpłaci trudy rolnika plonem, na jaki stać jałową skibę tutejszą. Na zielonej równinie rozścielającej się między Gubałówką a Reglami, środ-



kiem której droga się wije, widać malowniczo rozsiane góralskie zagrody, lub samotnie stojące szałas pasterskie; gaiki świerków, kręte potoki przesuwające się po tym zielonym kobiercu jakby połyskujące węże, urozmaicają i ożywiają tę przecudną okolicę.

Si licet parvi componere magnis, możnaby i o Steczkowskiej napisać podobne studjum jak świetna rozprawa Witkiewicza o Mickiewiczu jako kolorysty. Bo jak u autora Pana Tadeusza „światło i barwa widnieją w każdym jego opisie“, a pod słowa jego można podkładać tony barwne, naturalnie wiedząc z obserwacji to, czego opis ściśle wyrazić nie jest w stanie, tak i w tych „obrazkach z podróży do Tatrów“, a w szczególności w opisie Doliny Kościeliskiej, wszystko jest opisane tak po malarzku, że i pod te słowa dałoby się podkładać kolory. Oto np. opis pierwszej części tej perły Tatr, zaraz po zjechaniu z drogi na lewo.

Zwracamy się wkrótce na lewo w małą dolinkę,<sup>1)</sup> zamkniętą dwiema ogromnemi skałami, stojącemi po obu stronach drogi i tworzącemi wspaniałą naturalną bramę bez luku. Za tą bramą przeszlicznie uwieńczona mchem i świerkami rozciąga się obszerna dolina owalnego kształtu, otoczona górami, wznoszącemi się w amfiteatr, które okrywa gęsty las świerkowy. Lasy te tak

<sup>1)</sup> Na samym wstępie do tej dolinki po lewej stronie wznosi się niewielka, lecz godna uwagi skała. Składa się ona z małych muszelek skamieniałych, zwanych nummulitami, najczęściej podługowatego kształtu, podobnych do jęczmienia. Górale też powiadają, że to jarzec t. j. jęczmień obrócony w kamień za karę za jakieś przestępstwo w tem miejscu popełnione.

są piękne, zieloność ich tak świeża, że najstaranniej pielęgnowane szpalery nie wytrzymałyby porównania z nimi. Nad temi lesistemi górami po lewej czyli wschodniej stronie doliny, sterczą niby baszty, wieże, lub rozwalonych murów odłamy, wyniosłe skały stojące wieńcami świerków, czepiających się na każdym załamku szarej opoki. Pomiędzy temi skałami odznacza się foremnym ostrosłupowym kształtem piękna skała zwana Kończystą. Wyniosłe szczyty Uplazu i Czerwonego Wierchu, na których bieleją płaty śniegu, panują nad tą uroczą doliną zasłaną najbujniejszą murawą, ożywioną bystrym nurtem Czarnego Dunajca, płynącego u podnóża gór po prawej stronie. Kilka szalasów pasterskich rozrzucanych po tej pięknej łące, mnóstwo pasącego się bydła, dźwięk dzwonek, głosy pasterzy rozweselają tę dolinę, przypominającą nam wdzięki dolin szwajcarskich, których widoki przeniesione na płótno tak nas nieraz zachwyciły.

A ta piękna dolinka to dopiero wstęp, przysionek najwspanialszej świątyni.

Gdzie ona się kończy, zamknięta wysokimi skałami, z pomiędzy których rozhukany wypada Dunajec, tam dopiero zaczyna się właściwa dolina Kościeliska. cud piękności, jakby senne wyobraźni widziadło. Snać uważał przedwieczny Architekt, iż nagły wstęp do gmachu, będącego zaiste arcydziełem wszechmocnej Jego ręki, olśniłby zanadto wzrok śmiertelnych, nie przywykły do podobnej piękności, i dlatego przeprowadza nas przez ten przysionek, aby przygotować z wolna oczy nasze do oglądania coraz większych cudów.

Skały, które zdają się zamykać zieloną dolinkę, tworzą bramę, nierównie okazalszą i wyższą, niż poprzedzająca, odpowiednią zupełnie wspaniałości miejsca, do którego wstęp nam otwiera.<sup>1)</sup> Za tą bramą stoi

<sup>1)</sup> O poświęceniu kamienia pamiątkowego, wmurowanego w lewej ścianie tej bramy, tak pisze ks. Sto-

mała kapliczka, dom, będący dawniej mieszkaniem leśniczego, teraz przeznaczony dla osób, przyjeżdżających tutaj na żętycę, a naprzeciw niego porządna i obszerna karczma.

Po obu stronach doliny piętrzą się strome opoki najdziwniejszych, najpiękniejszych kształtów. Tu wznoszą się jakby mury obronnej twierdzy, tam nawpół rozwalone gotyckie baszty i wieże, dalej niby ołtarz jaki' z posągami świętych po bokach, lub wspaniałego zamku zwaliska, to znowu starożytny, warowny gród, gdzie niby czujne straże na wałach, samotne stoją świerki, a podobieństwo tak jest ludzące, że mimowolnie nadstawiamy ucha, czy się nie ozwie wojenny okrzyk, dźwięk trąb, lub odgłos wrzawy biesiadnej.

Po prawej stronie sterczy skała, mająca podobieństwo do sowy, grobowego stróża tych ruin, co jakby wypłoszona z ukrycia szczękiem oręża skamieniała na miejscu. Wysmukłe świerki wieńczą te urwiste opoki, stroją każdy załamek, każdy zakątek. Gdzie niegdzie splątują z nimi konary swoje klony i jarzębina, których majowa zieloność z ciemniejszą barwą świerków piękny odcień tworzy. Mnóstwo krzewów i różnobarwnych alpejskich kwiatów, pomiędzy nimi śliczne białe gwoździki, czepia się tych skał nieraz prostopadłych jak ściana, tak że często nie możemy wyjść z podziwienia jak się tam mogą utrzymać one roślinki, w co zapuścić korzonki, skąd pożywne ciągnąć soki. Miejscami rozsuwają się nieco skały i wtedy wśród ciemnej lasów zieleni ukazuje się jaka rozkoszna polanka, lub głęboki przepaścisty wąwóz, z którego bystry potok wypada. Nieraz zdaje nam się, że dzikie, wyniosłe skały zamkną już dolinę, gdy tymczasem rozwija się ona dalej jak czarodziejska wstęga, coraz nowe ukazując nam

---

larczyk: „W miesiącu sierpniu 1879 poświęcił ks. kanonik Martasiewicz z Tarnowa, w dolinie Kościelisko kamień włożony do skały, którą nazwano Bramą Kraśzewskiego, przy obecności wielu gości.“

cuda. Tu niema dwóch skał, dwóch drzew do siebie podobnych, wszędzie rozmaitość czarująca zachwyca. W głębi wznosi się ubielony śniegiem wspaniały szczyt Pysznej zamykającej Kościeliską dolinę. Dno doliny tak jest wąskie, że obok Dunajca, który w niezliczone wijąc się zakręty, huczy, pieni się, szumi, przewała się już nie po drobnych kamykach, ale po potężnych, skalistych progach, ledwie przeciska się droga popod samemi skałami; niekiedy nawet wspina się na ich pochyłości. Swawolny potok jakby dla igraszki przebiega ciągle z jednej strony doliny na drugą, a droga, nie mając się gdzie podziać, co chwila ustępować musi z jednego brzegu na przeciwny, i w też same co Dunajec wiję się zakręty. Droga ta kamienista wprawdzie jak wszystkie w górach, jest jednak bardzo dobrze utrzymana, mosty wszędzie bezpieczne, tędy bowiem wożą rudę z Ornaku, Tomanowy i innych gór obfitujących w ten użyteczny kruszec.

Ale te piękne skały kryły w sobie niebezpieczeństwo. Tak np. 28 lutego 1856 roku, ogromna lawina stoczyła się z góry Ornak i zasypała pięciu górników, którzy po skończonej robocie wyszli z bani i byli już w drodze ku domowi. Steczkowska tak opisuje ten wypadek „białej śmierci“, która czasem miała skosić również młode i tyle obiecujące życie Mieczysława Karłowicza:

Aby dać wyobrażenie o gwałtownym pędzie lawiny, dość powiedzieć, że las, okrywający pochyłość Ornak, który zagarnęła ta ogromna lacha śniegu, nie tylko powaliła, ale, że tak powiem, skosiła. Słyszałam z ust wiarogodnego świadka, który na miejscu sprawdził wypadek dla zdania o nim urzędowego raportu, że z drzewa powalonego tym sposobem na dolinę można było narąbać około 1000 siąg. Rodziny mieszczących się w rodzinach górników nie wiedząc o okropnym ich losie, w najwię-

kszej zostawały niepewności i obawie, smutnemi dręczone przecuciami. W parę dni dopiero, gdy ustaly zawieruchy i śnieżne zamieci i robotnicy pojechali po rudę, straszny widok stwierdził prawdę tych przecuć. W bliskości Ornaków znajdowano odzienie biednych górników, które pozrywał z nich gwałtowny pęd powietrza, a na dolinie ujrzano ogromną zaspę śniegu, grobem ich będącą. Wzięto się zaraz do rozkopywania śniegu, ale tak był stwardniały, że dwóch tylko z tych nieszczęśliwych odszukano, trzej ostatni głębiej zasypiani do wiosny w zimnym spoczywali grobie. Dopiero, gdy śniegi topnieć zaczęły, znaleziono trupy najokropniej pokaleczone, podruzgotane; jeden obejmował jeszcze pień świerka, którego się uchwycił, chcąc na nim szukać ratunku. Smutny to był dzień, gdy zwłoki tych biedaków przywieziono do wsi. Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi był ojciec z dwoma dorosłymi synami, wszyscy trzej pracą swoją zarabiali na wyżywienie licznej rodziny, która po gwałtownej ich śmierci została bez opieki i sposobu do życia. Nie zmarniały jednak biedne sieroty, choć Bóg wkrótce po śmierci ojca zabrał im i matkę. Dwoje starszych wzięła na opiekę właścicielka Zakopanego, czworgiem młodszych zajęli się krewni, którzy choć sami niebogaci dali przytułek sierotom<sup>1)</sup>.

O barwności opisów, cechującej te wdzięczne „obrazki“ Steczkowskiej, niech zaświadczy choć

<sup>1)</sup> Szczegóły tego strasznego wypadku podaje w swej „Kronice“ ks. Stolarczyk. „Dnia 28 lutego 1856 — czytamy tam — zasypał pięciu górników śnieg. Ci nieszczęśliwi powracali z bani Ornak w Dolinie Kościeliskiej, i idąc zapewne źlebem, trafili na moment, kiedy właśnie uwiózł się śnieg z szczytów Dziewiątej i Ornakich. Z nich po trzech dniach dwóch znaleziono, trzech znowu (w parę dni później). Między nimi jeden był ojciec z dwoma małoletnimi synami;

następujący wyjątek z rozdziału o wycieczce na Czerwony Wierch:

Znajdując się na takiej wysokości, gdzie już nawet kosodrzewina nie rośnie, z jakąż radością napotykamy wśród mchów i porostów jakby puchową poduszką górę okrywających alpejskie kwiaty emaljową barw świetnością zdobne. Tu fiołek alpejski, nierównie większy niż nasze ogrodowe, kryje we mchu piękną swą główkę, ciemno błękitne kwiateczki z białym środkiem napróżno tulą się do ziemi, bo je zdaleka żywa barwa zdradza; dalej zieleni się roślina ze składu do mchu podobna, drobiuchnym różowym osypana kwiatem; błyszczą jak gwiazdki złociste kwiateczki, wdzięczą się alpejskie niezapominajki, goździki skalne, stróż jasny amarant, śnieżną bielą jaśnieją drobne kwiateczki po trzy na jednej łodydze. Ale któż wyliczy te lubie podniebnych sfer dzieci, których główki najrozmaitszemi kolorami ozdobione, ledwie cokolwiek podnoszą się nad ziemią?

Jeśli chodzi o literacką wartość opisu, to jednym z najlepszych jest rozdział o Dolinie Małej Łąki pod Czerwonemi Wierchami. Sam Witkiewicz nie zdobyłby się na większą plastykę stylu:

Obszerne i zupełnie równe dno doliny zaściela prześliczna łąka, jedna z najpiękniejszych i najrozleglejszych w Tatrach, nie wiem, dlaczego ma łąką zwaną. Patrząc zdala, zdaje się, że zielony jej kobierzec dochodzi pod same stopy olbrzymów strzegących tego ci-

---

oprócz tego zostawił w domu sześcioro dzieci prawie niemowląt, prawdziwych sierot. Nazywał się Wojciech Gąsienica. Drugi, Jan Gąsienica, zostawił dwoje małoletnich dziewcząt. Ci czterej byli na Kasprusiu. Piąty był Józef Pawełka, syn hutmana, z Morawy rodem. Liczył lat 16.“



czego ustronia; dopiero przeszedłszy wzdłuż tę piękną łąkę, spostrzegamy, że ona tylko wiek za połowę tej rozległej doliny zajmuje. Druga połowa Małej Łąki zupełnie jest odmienną od pierwszej; jest to jakby obszerny taras z powalonych jedne na drugie ogromnych kamieni, wzniesiony znacznie wyżej nad łąkę. Zwaliska te dochodzą aż pod same ściany Gewontu, Czerwonego Wieńchu i wznoszącego się między nimi siodła. Wśród tych kamieni rozścielają się miejscami zielone łączki, gaiki świerków i gęste kosodrzewiny zarośla.

Mała Łąka należy do kilku właścicieli; gazdowie z okolic Szaflar mają tu swoje szalasy, ale największa część polany jest własnością zamożnego gospodarza z Zakopanego, nazwiskiem Wójcik. Będąc kilka razy na Małej Łące, zawarliśmy z nim bliższą znajomość. Staruszek ten już blisko 80 letni tak jest rześki, czerstwy, przytomny, że niktby się nie domyślił jego podeszłego wieku; na twarzy, bardzo milego i poczciwego wyrazu, nie widać jeszcze śladów zgrzybiałości. Tę czerstwość zawdzięcza on niewątpliwie sposobowi życia jaki oddawna prowadzi. Zaledwie znikną zimowe śniegi i zazielenią się polany, wybiera się ze stadkiem na Małą Łąkę i pozostaje tu, dopóki nie nastaną mrozy, to jest niekiedy aż do Wszystkich Świętych. Czyste i wonne powietrze, jakim oddycha przez ten przeciąg czasu, musi zbawienny wpływ wywierać na jego zdrowie. Gdy przyjdzie czas żniwa, które na Podhalu odbywa się przynajmniej o miesiąc później, niż u nas, właściciele Małej Łąki powracają do swych siedzib, prócz Wójcika, który zostaje na polanie sam jeden z kucharką. Ale i wtenczas nie przykrzy mu się, nie wydaje się smutną osamotnioną doliną, do której przywiązał się jakby do rodzinnego miejsca. Poczciwy ten staruszek nie próżnuje jednej chwili. Czas, zbywający od zatrudnień około nabiału, obraca na struganie łyżek drewnianych, nie na sprzedaż, ale dla użytku krewnych. Przed paru laty narobił ich naraz trzysta i pewnym był, że już wystarczą przynajmniej do jego śmierci. Ale za-

pas ten spotrzebował się wkrótce, i staruszek zabrał się znowu do pracy, która mu czas skraca i nudzić się nie pozwala. Za każdą naszą bytnością na Małej Łące wstępowaliśmy do jego szalasu na pogadankę i wyporne mleko, którem częstował nas najgościnniej.

W porze sianozęcia Mała Łąka nadzwyczajżywiony przedstawiała widok. Kosiarze, dziewczęta i chłopaki, grabiący siano i układający je w kopy, snujący się w malowniczych grupach po tej zielonej równinie, bydelko pasące się na skoszonych już miejscach, wesole śpiewy pracującego ludu, głos dzwonek, ryk krów, beczenie owiec, szum lasów, wszystko to w jeden łączy się obraz, w jedną splywa harmonję, przenosząc nas w owe czarodziejskie doliny, jakie nam opisują sielanki. Właściciele Małej Łąki, skosiwszy wspólnie trawę, dzielą się dopiero sianem według umowy. Wójcik, na którego przypada największa część zbioru, składa siano do porządnej szopy, stojącej na polanie, skąd dopiero w zimie, kiedy droga lepsza, zwożą je do wsi saniami według potrzeby.

Będąc raz na Małej Łące w dzień bardzo upalny, w samo południe, szukaliśmy cienia i chłodu na owym tarasie, o którym nadmieniałam poprzednio, gdzie gęste zarośla świerków chronią od skwarnych słońca promieni. Wypoczywając tutaj, zachwycaliśmy się pięknym widokiem, jaki nam się przedstawiał z tego wzniesionego miejsca. Wprost nas ujęta w ciemnych lasów ramy rysowała się wspaniała Babia Góra, powleczone błękitną mgłą oddalenia; przed nami rozpościerała się piękna polana, świeżo właśnie skoszona, wdzięcząca się jasną, wiosenną zielonością, która cudnie odbijała od ciemnych lasów, opasających dolinę, i szarej barwy skalistej turni. Ze wszystkich stron schodziło się bydło do koszar rycząc radośnie, zbiegały się owce, brzęcząc dzwonekami, uwijali się juhasy i kucharki, ruch i gwar ludzi i zwierząt ożywiał to ciche ustronie. W parę godzin potem bydło wydojone zaczęło się zwolna rozchodzić na paszę. Rozsypało się zrazu po całej polanie, po-

tem podzieliwszy się na gromady, zmierzało ku wzgórzom, spinało się z wielką zręcznością na strome pochyłości i wkrótce już ledwie okiem dojrzone po skałach, urwiskach, zaroślach, pożywnej szukało strawy.

Z wrażeń doznanych nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, najżywiej wypadło ogólne wrażenie tego cudnego jeziora. Zdaniem Steczkowskiej, na które i dziś pisać się można, jest to po Morskiem Oku najpiękniejsze z północnych jezior tatrzańskich.

Turnie wznoszące się dokoła tak majestatycznie i groźnie: to piękne jezioro, którego głębi domyślać się każe coraz ciemniejsza, a ku środkowi prawie zupełnie w czarną przechodząca barwa wody; ta zielona wyspa, tak cudnie odbijająca na lśniącej powierzchni; wszystko to tworzy obraz tak wspaniały i zachwycający, że nie nie zdoła zatrzeć go w pamięci.

Echo tutaj prześliczne. Wystrzał rozlega się najpierw od Kościelca niby odgłos dalekiego grzmotu; huk ten powtarza się nieco słabiej od odleglejszego Granatu; podają go sobie kolejno inne turnie; powtarzają go to głośniej, to ciszej skaliste ściany, dopóki nie skona gdzieś tam daleko.

Z powrotnej drogi z Czarnego Stawu przez dolinę Jaworzynki, którą i teraz wraca się najczęściej, Steczkowska opisuje przejście przez Magórę.

Na pochyłości góry widać kilka bań, to jest kopalń otwartych. Wchód do bani obstawiony deskami wygląda podobnie do otworów piwnic po wsiach. W żadnej z nich nie byliśmy dla wielkiej wilgoci, jaka czuć się daje w tych podziemiach. W kilku miejscach w Tatrach są kopalnie żelaza, w Magórze jednak ruda jest najbogatsza. Drogę z wielką pracą i kosztem pro-

wadzoną około jednego boku góry, prawdziwie krwawą nazwać można. Jest ona zasłana grubą warstwą drobnych kamyczków jakby żwirem niezmiernie ostrym, usuwającym się pod nogami, tak że z trudnością utrzymać się można, zwłaszcza w miejscach spadzijszych. Wózkom zwożącym fudę z bami, zdejmują tylne koła, zakładają smyki, a pomimo to biedne konie ledwie z największem wysileniem utrzymać mogą ciężar zsuwający się pędem na dół.

W przeciwstawieniu do Staszica, który na Tatry patrzył okiem przyrodnika-ateisty, który w nich widział tylko jedną z faz nieustających przeobrażeń geologicznych, Steczkowska, religijna i wierząca, podziwiając piękność i majestat tych gór ojczystych, pod ich urokiem przedewszystkiem myślała o Bogu, który stworzył te cuda natury, uczuciem zaś, którego doznawała na ich widok, taki raz porywający w opisie wycieczki na Krywań dała wyraz liryczny:

Nie potrafię nigdy wysłować tego wrażenia, jakie sprawia widok górskiej przyrody, tak potężnej i groźnej, a jednak wspaniałej i pięknej w dzikości swojej; uczuć, jakie w takich chwilach napędzają serce, myśli, które bezładnie cisną się do głowy. Jeżeli kiedy, to wtenczas czujemy, jakim nieocenionym skarbem jest religja, jest wiara żywa, nietylko w ważnych życia zdarzeniach, ale nawet w zapatrywaniu się na naturę, częstokroć tak wspaniałą i piękną. Tatry bez myśli o ich Stwórcy czemby były? Trupem, którego widok na pierwsze spojrzenie wprawia w zdumienie, lecz wkrótce powszechnieje, bo żadnej nie budzi sympatji, bo ta masa granitu milczy jak sfinks. Ale spojrzyjmy na Tatry z Bogiem w myśli i w sercu, spojrzyjmy na nie jako na dzieło wszechmocnej Jego ręki, a zaraz wszystko się zmieni i do życia rozbudzi. Te groźne turnie, przed

chwilą martwe, milczące, przemówią do nas o potędze Stwórcy, huk potoków, szum lasów chwałę nam Jego opowie, wszystko, wszystko od kamienia, co leży nad brzegiem strumyka świetną purpurą odziany i woń swą miłą śle do nieba, aż do wspaniałej turni kąpiącej w obłokach szczyt swój ubielony śniegiem, zwraca ku Bogu duszę i serce, rozrzewnia, unosi, uwielbieniem i czcią ku Niemu przejmując. Prawda, że dla lubiących się zastanawiać każda trawka z łąk naszych, każdy liść z wierzy nad cichą wodą, każde ziarno piasku nie mniejszym jest wszechmocności Stwórcy dowodem, jak ten olbrzym tatrzański; ale cuda, na które ciągle patrzymy, już nam spowszedniały i wydają się rzeczą tak prostą i naturalną, jak codzienny wschód i zachód słońca, jak kolejna zmiana pór roku, i trzeba dopiero widoku takiego jak Tatrów, aby nas wprawić w zdumienie, upokorzyć i podnieść zarazem ku Bogu. Jeżeli gdzie, to tutaj, gdy nas obstąpią skamieniałe pomniki wielkości i potęgi Stwórcy, gdzie oko napróżno szuka tego życia i ruchu, do jakiego nawykło, bo wszędzie gład zimny prawie wyłącznie rozpościera panowanie swoje; jeżeli gdzie, to tutaj budzi się nieopisana tęsknota za tą Istotą przedwieczną, której ożywia nas tęsknienie; tutaj więcej niż gdziekolwiek wabi nas jasny błękit nieba; ale tutaj także czujemy się zupełnie niegodnymi tej krainy szczęścia, do której dojść jedynie można przez kolce przeciwności, przez ciernie bóleści, z pełnym kłosem zasług w ręku. I mimowolnie wybiega myśl poza granitowe mury i wieże niedostępnej Tatrów warowni i płynie po równinach, po dolinach, gdzie mieszka lud biedny, pracuje, biedzi się, umiera; gdzie tyle łez czeka napróżno litościwej ręki, coby je otarła, tyle nędzy potrzebuje wsparcia, tyle upadków moralnych wygląda słowa przestrogi i dobrego przykładu. Oto pole zasługi, oto droga do nieba. Czujemy to dobrze, że te chwile spędzone w podniebnych sferach, gdzie nam tak lekko, swobodnie i uroczyście, to łaska udzielona nam od Boga, aby nas pokrzepić

i wzmocnić w trudnej życia pielgrzymce. Ten to wpływ błogi, jaki wywierają góry, ta ich władza niepojęta, jaką nas zbliżają do Boga, godzą z życiem i ludźmi, jest owem ogniwem, łączącym nas z niemi, jest źródłem tęsknoty za niemi; silniejsi, mężniejsi na duchu wracamy z ich wysokości w zakres poprzedniego życia. I jakże nie kochać gór?

---

## II.

Począwszy od roku 1846 zaczął do Zakopanego jeździć prawie co rok ksiądz Eugeniusz Janota, profesor krakowskiego gimnazjum św. Anny. Utrzymując w Krakowie pensjonat dla uczniów, bardzo renomowany wtedy, czcigodny mentor młodzieży, gdy się wybierał w Tatry na wakacje, nigdy nie jeździł sam, ale zawsze z paroma starszymi pensjonarzami, którym w ten sposób zaszczeniał umiłowanie gór ojczystych.

Z pierwszych wakacyj w Tatrach w roku 1846 zapisało się w pamięci ks. Janoty nader miłe wspomnienie, któremu dał wyraz w swym obszernym literacko-naukowym opisie Doliny Kościeliskiej w Tatrach, skreślonym w kilkanaście lat później, a w Eljasza Szkielich z podróży w Tatry wydrukowanym. W pracy tej, bardzo drobiazgowej i dokładnej, zawierającej moc materiału do historii Kościelisk, do jej bliższej i dalszej przeszłości, znajduje się między innymi następujący opis „małych Kościelisk“ czyli „Murawników“, zaczynających się za mostkiem





Ze zbocza Gubałówki.  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)



nad potokiem, a gdzie „porozrzucane smreki i jarzębiny koło drogi sadzone, tutaj jeszcze czasem owocujące, upiększają tę część doliny.“

Przy samej drodze między drzewami jest mała kapliczka, koło niej są ławeczki. Szkoda, iż gdy ją stawiano, nie było nikogo, co by się był o to postarał, ażeby była gustowniejszą. Nie wiem zresztą nic zajmującego o niej, chyba to, czego jednak nie nazwę interesującym, że raz klódkę, którą zamykano drzwi kratowe kapliczki, i obrazki, któremi zdobiją jej ściany, pokradziono. Jeden z owych obrazków ukradł dziad jakiś, chodził z nim między ludźmi, i mówił, że mu się objawił, a ludzie głupcy wierzyli oszustowi i karmili go, aż pewien leśny poznał obraz i dziada obił. Wspomniana kapliczka ma stać w miejscu, w którym dawniej większa stała kaplica czy kościół.

Poniżej, przy dolnym końcu dawnej przekopy zachynają się stare Kościeliska, i tutaj, niedaleko od kapliczki, widać szczątki dawnego dworu i leśniczówki, przed niewielu jeszcze lata zamieszkałej, dalej ślady kuźnicy (istniała do roku 1841); powyżej stał młyn i tartak; naprzeciwko jest rozwalająca się karczma i rozwalony czardak. Po tej stronie drogi stało kilka chat hutników. W pobliżu leśniczówki są dwie piękne lipy, oczywiście sadzone, prawdopodobnie jedyne wśród Tatr okazy.

Dotąd dojeżdża się zwykle wózkami; dalej lepiej iść, niż jechać, chyba komu nie żal wózka, koni i własnych kości. W karczmie odpoczywali dawniej strudzeni dalszemi wycieczkami na Smytnię, Ornak lub nawet na Bystrą, a przemoknięci (o co w Tatrach nie trudno) turyści suszyli się przy ogniu roznieconym na nalepie.

I ja w tej karczmie w 1846 roku miałem nader przyjemny nocleg. Przybywszy pod wieczór pieszo z dwoma współuczniami do doliny Kościeliskiej, strudzeni całodziennym pochodem, nie pragnęliśmy nicze-

go, jak kawałka chleba lub ziemniaków z masłem lub mlekiem, a na posłanie trochę słomy lub siana. Atoli prócz garści jakiegoś barłogu i dwóch czy trzech suchych kukiełek nie dostaliśmy niczego. Po trochę mleka leniwej karczmarce, jeżeli go nie miała, do bliskiego szafasu nie chciało się postać. Ta uprzejmość wzniciła w nas pewne podejrzenie co do bezpieczeństwa osób, a przynajmniej zawiniątek naszych. Naprzeciwko szynkowni, t. j. po drugiej stronie sieni, odkryliśmy izdebkę brudną, wilgotną i zatęchłą. Zajęliśmy ją na noc i otrzymawszy garść siana czy słomy, dwóch z nas położyło się na tem wybornem posłaniu, podparwszy wpoprzek drzwi drągiem, ja zaś, wsunawszy zawiniątko pod głowę, położyłem się na gołym stole. Było to moim zwyczajem, ile razy musiałem nocować w byle jakim karczmissku, a czyniłem to dla spokoju od robactwa. Nadomiar naszego niepowodzenia dzień następujący był tak piękny i powabny jak ta karczma, niebo tak czyste jak szyby w jej oknach, szczyty naokoło zamglone, a gdyśmy ruszyli ku Pisanej, przywitał nas rześisty deszcz, zmusił do odwrotu i drogę zabłocił. Tak skończyła się pierwsza moja wycieczka do doliny Kościeliskiej.

Rzecz prosta, że od tej chwili do tej karczmy nieprzezwyyczajony miałem wstręt i na wszystkich późniejszych wycieczkach unikałem jej starannie. Przed kilku laty znaleziono karczmarkę pewnego poranka zamordowaną w izbie. Odtąd nikt nie miał ochoty osiąść w niej; nie było też dla kogo i poco, mianowicie, odkąd strażnicy opuścili sąsiedni czardak.

Wielki liberał w sutannie, do tego stopnia, że zawsze pod pracami swemi i artykułami podpisywał się „Dr. Eugenjusz Janota“, a nigdy nie zaznaczał swego duchownego stanu, stał się on obok prof. Maksymiljana Nowickiego, swego przyjaciela i kolegi z komisji fizjograficznej krakowskiego

Towarzystwa Naukowego, jednym z najzagorzalszych miłośników Tatr i Podhala, czego już w roku 1860 dał nader wymowny i sumienny dowód, ogłaszając swój doskonały, zwłaszcza pod względem historycznym nader skrupulatnie opracowany Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienn, z wcale dokładną mapą i panoramą całego łańcucha tych gór.

Z dołączonego do przewodnika tego „widoku Tatr Nowotarskich od Zakopanego“ wywnioskować nietrudno, że Janota głównie Zakopane obierał sobie za miejsce letniego pobytu, że przeważnie stąd wyruszał w Tatry dla ich poznania; sposób jednak, w jaki pisze o innych wsiach i osadach podtatrzańskich, o Chochołowie, Witowie, Kościeliskach, Czarnym Dunajcu, Szaflarach etc. upoważnia do przypuszczenia, że jeszcze w roku 1860 Zakopane nie zajmowało, jak dzisiaj, pierwszego miejsca wśród wszystkich wsi na Podhalu, jako miejscowość, szczególnie nadająca się do spędzania tu letnich miesięcy. Gdyby rzecz miała się inaczej, nie pisałby Janota na str. 25 swego przewodnika w ten sposób o Zakopanem: „Od czasów, gdy Tatry zwiedzać poczęto, podróżujący przybywają zwykle od Nowego Targu i zająwszy ku hutom zakopiańskim i tak zwanemu źródłu Białego Dunajca (właściwie źródłu pod Kalatówką), przypatrzwszy się Morskiemu Oku i dolinie Kościeliskiej aż do Pisanej, wracają na łeb na szyję.“

Jakkolwiek bądź, w ustępie o górze Goryczkowej, obok której ciągnie się „zwykłe przejście do Liptowa“, napisał Janota bardzo ciekawy szczegół o Zakopanem, ani przed nim, ani po nim nie zanotowany przez nikogo.

Jest podanie, że oddział konfederatów barskich przez Goryczkową przeprowadzał się do Węgier i nawet armatki ze sobą przeprowadzał. Niektórzy z nich ukrywali się na Podhalu, mianowicie w Zakopanem między ludem, co w one czasy nie było rzeczą trudną. Od jednego z nich Zakopianie poczęli się uczyć czytać<sup>1)</sup>.

Janota od samego początku najwięcej przebywał w Zakopanem. Przemawia za tem m. in. także fakt, iż w Tatry głównie chodził z Jędrzejem Wala jako przewodnikiem, a Wala był zakopianinem. Stosunki w ówczesnem Zakopanem, jak i w innych wsiach na Podhalu, jeszcze były bardzo prymitywne. Pozwala się tego domy-

---

<sup>1)</sup> Jak dalece to podanie o konfederatach jeszcze niedawno było żywe między góralami, dowodzi następująca relacja, zapisana przez Steczkowską w jej *Obrazkach z podróży do Tatrów i Piecin*. W swym opisie wycieczki na Krywań pisze wspomniana autorka: „Na Goryczkowej spotkaliśmy jeszcze górala z Zakopanego, który wracał z Liptowa, dokąd chodził za jakimś interesem. Pogwarzywszy z nim chwilę i uczciwszy wspomnieniem tych dzielnych konfederatów barskich, którzy według podania przez grzbiet Goryczkowej przeprowadzili armaty na węgierską stronę, ruszyliśmy w dalszą drogę“. Ale tu nasuwa się Steczkowskiej następująca refleksja: „Że jakiś oddział konfederatów przebywał na Podhalu



ślać następująca charakterystyka górali, skreślona przez Janotę na str. 48 i 49.

Cały obszar Tatr nowotarskich należy do sześciu wsi u ich podnóża rozłożonych i obejmuje przeszło sześć mil kwadratowych. Piękny widok na Tatry przedstawia się z Gubałówki ponad Zakopanem... tudzież od Bukowiny. Ludność tych wiosek wynosi około 6290 dusz. Szczegółowo przypada na Witów 720, Kościelisko 800, Zakopane 3000, Murzasichle 410, Bukowinę 1000, Brzegi 360, prócz Żydów, których będzie do 80.

Podhalanin ma swoje zalety, ale i wady; nie zasługuje zatem na przesadzone pochwały. Jest on ruchliwy, zwinny, zapobiegliwy, trzeźwy, praktyki religijne ściśle zachowuje, jest ciekawy, rozmowny (gwarny), do nauki ochoczy, i wogóle lepiej usposobiony, aniżeli wieśniacy z Nadwiśla; z drugiej strony podejrzliwy i niedowierzający, nie lubi obcych, przybywających z dołu, których zwie Lachami; w domu nie przestrzega ochędóstwa; chciwy, nie zna miary w żądaniach swoich, ale to za wpływem i naprawą innych. Słabym, przybyłym do leczenia się, bez najmniejszego skrupułu w szalasach do żętycy dolewają wody, to samo dzieje się z nabiałem i masłem. Również przewodnicy, także nauczeni, pięć i dziesięć razy więcej żądają, aniżeli by

---

i w okolicach Zakopanego, nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż pamięć ich utrzymuje się dotąd pomiędzy ludem; bytność ich w tych stronach stanowi u górali epokę, do której odnoszą różne zdarzenia. Żeby jednak mieli przeprowadzać armaty przez Goryczkową, nie zdaje mi się do prawdy podobnem, gdyż południowa pochyłość tej góry, jest bardzo przykra, tak że nie można pojąć, jakby tu było można spuszczać bez uszkodzenia tak wielkie ciężary. Co pewna, iż jeszcze do dziś dnia zachowała się w Zakopanem tradycja o jednym starym „federacie“, a nawet wskazują chatę, gdzie mieszkał i... umarł.“

przez ten czas byli w stanie zarobić. Z przewodników zakopiańskich Jędrzeja Wałę przed wszystkimi innymi polecić można. Wreszcie lud ten bywa także rozmaicie uciskany, a roboty miejscowe lub dla miejscowych zwykle lichy płacą.

Na całym Podhalu nie znajdzie podróżujący wygodnego umieszczenia, jeżeli znaczenia tego wyrazu nie ograniczymy li do izby w domu góralskim, o którą nie trudno, chyba, żeby komu osobista znajomość przyszła w pomoc. Mięsa, t. j. ochłapów, których nie chcą do domu, dostać można u Żyda przy hucie zakopiańskiej; chleb dosyć dobry bywał także u Żyda pod kościołem zakopiańskim. Wszystko inne (np. kawę, cukier, herbatę, trochę wędlin, ryż i t. p.) trzeba z sobą przywieźć. I o nabiał trudno. Nadto góralki prócz ziemniaków, których w lipcu i sierpniu jako na przednówku tam nie dostanie, nic nie umieją ugotować. Te atoli niedogodności nie powinny nikogo wstrzymywać od zwiedzenia tak pięknych gór, jakimi są Tatry, wiedząc o nich bowiem, tak urządzić się można, aby się mniej dały uczuć.

O Jaszczurówce Janota pisze w sposób następujący:

Tuż przy wniściu do doliny Olczy o ćwierć mili od Kuźnic zakopiańskich, poniżej polany, zwanej Jaszczurówką, wydobywa się na wysokości 2750 st. m. p. m. z wapienia liasowego obfite źródło, jedyna w Polsce dotąd odkryta cieplica. Powierzchnia źródła zajmuje 35 st. kwadr., głębokość największa wynosi 15 cali, ciepłota + 21°C. Woda potoku powyżej źródła + 7°C. Według czynionych w roku minionym (1859) badań prof. dr. Skobla i A. Aleksandrowicza, zawiera woda tego źródła w 1 funcie tylko 2.3 ziarna części stałych, składających się przeważnie z węgla i chlorku sodu. Lud źródło to nazwał Jaszczurówką od żyjących około niego pod kamieniami salamander. Lud używa kąpieli

w Jaszczurówce przeciw darciu i łamaniu w członkach i puchnięciu takowych. Jakkolwiek rzeczony źródło należy do tego samego rzędu, co Gostyń Iwoński (Gastein) i uwagę lekarzy na siebie zwróciło, a dla położenia swego na znacznej wysokości obszerniejsze znalazłoby zastosowanie lecznicze, aniżeli wiele innych cieplic, dotąd nietylko nie zanosi się na powstanie zakładu leczniczego przy Jaszczurówce, ale właściciele źródła i przyległego gruntu mieli się wręcz oświadczyć przeciw każdemu tego rodzaju przedsięwzięciu.

Opisując dolinę Kościeliską, Janota twierdzi, że nazwa jej nie pochodzi bynajmniej od kości ludzkich, mianowicie Tatarów, „którzy tu niby klęskę ponieśli“, ale od pobliskiej wsi Kościeliska. Prawdopodobnie w dawniejszych czasach, gdy w dolinie Chochołowskiej i Kościeliskiej zajmowano się robotami górniczymi na wielkie rozmiary, we wsi Kościeliska istniał kościół, który po zaniedbaniu i zarzuceniu kopalni przeniesiono do Chochołowa.

Co się zaś tyczy Tatarów, tedy podczas pierwszego ich napadu na Polskę w r. 1241 Podhale poza Rogoźnikiem, Zaskalem i Szaflarami aż po same Tatry odwiecznemi okryte było lasami, a do wnętrza Tatr pewnie nie tak łatwy jak dziś był przystęp. Mogli się więc mieszkańcy doliny nowotarskiej ukrywać w tych lasach, ale Tatarzy pewnie się nie zapędzali daleko za nimi po bezdrożach i parowach skalistych.

O Morskiem Oku Janota zapisuje interesujący szczegół, że na północnym jego brzegu „znajdował się żelazny pomnik z popiersiem Ludwika hr. Taafe, niegdyś gubernatora Galicji. Pomnik ten w roku 1848 strącono do Morskiego Oka“, co do-

wodzi, że ówczesna „wiosna ludów“, która Metternicha wypędziła z Wiednia, nie przeszła bez wrażenia i w Tatrach.

W swojej Wycieczce do Doliny Kościeliskiej tak pisze ultra-demokratycznie usposobiony Janota z powodu tego pomnika i jeszcze paru innych:

Jeden z traczów (u wniścia do doliny Kościeliskiej przy drodze do Witowa) wybudowano za byłych właścicieli Zakopanego; teraz wybudowano drugi. Dzierżą je Żydzi orawscy, dwór zakopiański dostarcza pewnej liczby tramów, deski wywożą do Węgier. Mówiono; iż do pierwszego tracza przyszli Żydzi skutkiem pożyczki, zaciągnionej przez byłych właścicieli na pokrycie wydatków, połączonych z festynem, urządzonym przy odsłonięciu ostatniego z kilku pomników, wzniesionych koło dworu zakopiańskiego arcyksiężętom austriackim, jako członkom panującej rodziny. Przy Morskiem Oku znajdował się także pomnik, postawiony na cześć jednego z byłych gubernatorów Galicji. W roku 1848 rozbito go i utopiono w Morskiem Oku. Były o to jakieś dochodzenia i złożono winę na robotników przy Kuźnicach w Jaworzynie spiskiej, jakoby ci pomnik ten byli ukradli. I cóż za powód do wznoszenia tutaj rzeczonych popiersi? Otóż były to stopnie i grzędy do wlezenia do herbarza, gdyby zmartwychwstał Paprocki, Niesiecki lub jaki kuzyn ich. Figle te, sprowadzanie o mil kilkanaście i więcej najwyższych dostojników urzędowych, wojskowych i duchownych z liczną ich świtą, podejmowanie ich w drodze i na miejscu, obwożenie po Tatrach i odwożenie napowrót, niemałe wyciągały wydatki. W czasie pierwszej podróży cesarza do Galicji, chciano go ściągnąć do Zakopanego. Juścić Karol Radziwiłł mógł w Albie podejmować Stanisława Augusta, ale Zakopane nie było

i nie będzie Nieświeżem, pomijając jeszcze niektóre inne różnice. Były prostsze drogi do zadowolenia tej to próżności swojej, zaszczytniejsze dla próżnych a najużyteczniejsze dla okolicy i kraju, ale ich nie dostrzeżono i dążono do celu pochlebstwem.

Całkiem wolny od podobnych „próżności” Janota, jako zapalony taternik, miał tylko jedną ambicję: chciał być pierwszym Polakiem, który wyszedł na niektóre najwyższe szczyty tatrzańskie. Udało mu się to w stosunku do Świnnicy w roku 1867. Oto, co o tej jego wycieczce pisze zaprzyjaźniony z nim ściśle Walery Eljasz:

Wyjście na Świnnicę, zwaną również Świńską Skałą, z powodu że się na jej szczyt nikt nie mógł dostać, udało się dopiero w r. 1867 Dr. Eug. Janocie z słynnym przewodnikiem tatrzańskim Maciejem Sieczką. Zbierał wówczas pomiary barometryczne po Tatrach Dr. Eug. Janota dla komisji fizjograficznej Tow. Nauk. Krak. i z tego powodu zwiedzał jeden szczyt po drugim; chodziło mu więc bardzo o to, aby zmierzyć najwyższą górę w wysuniętym na północ łańcuchu Tatr. Kilkakrotne w tym względzie usiłowania Dr. Eug. Janoty uwieńczył wkońcu w r. 1867 pomyślny skutek... Na niższym szczycie Świnnicy sterczy żerdka, zatknięta przez oficerów kwatermistrzostwa, gdy tu pomiary robili. Właśnie tam Dr. Eug. Janota, nie mając nadziei dostania się na szczyt wyższy, zajmował się pomiarem barometrycznym, gdy przewodnik Sieczka popróbował szczęścia dla dostania się na wyższy szczyt. Puścił się jak koza granią turni, przeskakując rozpadliny ponad przepaściami z narażeniem życia, że Dr. Janota odwrócił oczy, nie mogąc patrzeć na takie lekceważenie życia człowieka, mającego żonę i dzieci, a upominań zdawał się nie słyszeć, poczem zniknął mu z oczu. Pół godziny Sieczki nie było, aż się Dr. Ja-

nocie ukazał z dołu, dążąc na szczyt niższy, którądy do niego przyszli. „Jest już droga na Świnnicę!“ z radością wykrzyknął Sieczka i z Dr. Janotą puścili się na sprawdzenie. Pokazało się, że schodząc z wierzchołku, odkrył szczelinę w krawędzi żlebu, dalej sposób przebycia żlebu, którądy lepsze przejście odszukał Dr. Janota, i tym sposobem stoi dziś otworem dla podróżnych najwyższy szczyt Świnnicy. Przyznał się Sieczka, iż drugi raz nie odważyłby się przebywać grani łączącej szczyt wyższy z niższym. Odtąd dopiero Świnnica warta podjęcia trudów, gdy na szczyt wyższy wejść można; poprzednio bowiem szkoda było fatygi, skoro wierzchołek wyższy zasłaniał najgłówniejszą stronę widoku do wnętrza Tatr i w dolinę Pięciu Stawów.

Wycieczkę tę Janota odbył w towarzystwie ucznia swego, Bronisława Gustawicza, który ją w kilkanaście lat później w swych *Kilk w spomnieniach z Tatr* w następujący sposób opisał:

Przygotowawszy, czego było potrzeba do wycieczki, wyruszyliśmy rano 22 lipca 1867 r. o godz. 6-tej z Zakopanego, drogą już nam znaną, nigdzie się nie zatrzymując. O godz. 9-tej stanęliśmy przy szalasiu Sieczki w dolinie Stawów Gąsienicowych. Pięknie rysowała się nam Świnnica na lazurowem tle nieba. Idąc ku przełęczy Liljowego, spostrzegliśmy dwie osoby, z których jedna była góralem, zdążające na tę przełęcz. Poczęliśmy na nich wołać i dawać znaki, aby na przełęczy się zatrzymali, co też uczynili. Był to p. Stanisław Librowski, słuchacz praw z Krakowa, były uczeń naszego profesora, a obecnie doktor praw i adjunkt sądowy w Krakowie, który z góralem z Zakopanego, którego nazwiska nie pomnę, wybrał się także na Świnnicę.



Chętnie przyłączyli się do nas i po króciuchnym wypoczynku ruszyliśmy ku przełęczy między Pośrednią Turnią a Świnnicą. Stanęliśmy tam o wpół do 12. Słońce paliło nas niemiłosiernie, a schroniska żadnego ani wiatru nie było, i pot kroplisty ściekał po twarzy. Nie odpoczywaliśmy tutaj; lecz zaraz za przewodnikiem Maciejem drapaliśmy się w górę po bystrem, nagłym zboczu Świnnicy pośród ogromnych głazów granitu, i o godz. wpół do 1-ej stanęliśmy na niższym szczycie, gdzie znaleźliśmy drążek postawiony tutaj przez oficerów kwatermistrzostwa w czasie zdejmowania naziomu. Profesor wbił swój drążek między skały, zawiesił nań barometr w celu zrobienia pomiaru i wysłał Sieczkę, aby rozglądał się w okolicy, czyby na szczyt wyższy wydostać się przypadkiem nie można, gdyż koniecznie chciał zmierzyć wysokość szczytu najwyższego w polskich Tatrach. Puścił się Sieczka jak koza granią turni, przeskakując rozpadliny ponad przepaściami z narażeniem życia, tak iż wszyscy odwrócili oczy, nie mogąc patrzeć na takie zuchwalstwo jego, a na wołania nasze nie zdawał się zważać; wreszcie znikł nam z oczu. Pół godziny przeszło nie było go widać. Poczuliśmy się niepokoić, gdy wtem nad naszymi głowami usłyszeliśmy głos ludzki: było to wołanie Sieczki, który stojąc na najwyższym szczycie Świnnicy, wywijał kapeluszem i wołał: „Wiwat!“ Wkrótce atoli znikł jak kamfora. „Więc Sieczka wszedł — mówił do nas kochany profesor — ale my nie wejdzimy, bo tędy, którądy on szedł, żaden z nas nie odważyłby się drapać w górę“. Ale niezadługo obaczyliśmy Sieczkę dążącego z dołu na nasz szczyt i wołającego: „Jest już droga na Świnnicę!“

Z radością niewymowną zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi i każdy zabrawszy swoje manatki, spuściliśmy się z wierzchołka, aż przybyliśmy nad krawędź żlebu spadzistego, którego brzeg przeciwległy, stromy, urwisty, wydawał się niepodobnym do przebycia. Ten też żleb zawracał każdego, zmuszając go do

zadowolenia się zwiedzeniem niższego szczytu Świnnicy. Krawędź ta jest ostra, wysoka na kilka metrów i w jednym tylko miejscu przez wąską szczelinę pozwala wyjść na wierzch. Przybywszy poza tę krawędź, ujrzeliśmy śliczną panoramę, a mianowicie dolinę Pięciu Stawów. Otóż po nader stromej pochyłości ponad tą doliną wspinaliśmy się na wierzch, już to trzymając się głazów, już też trawnika, i pełzając na czworakach. Droga coraz stromiej i przykrzej pnie się i gorąco dopieka, pot leje się z oczu, profesor co chwila staje i wyciera spotniałe okulary, aż wreszcie idąc zwolna krok za krokiem przez małą szczelinę, stanęliśmy na szczycie: pierwszy Sieczka, drugi nasz profesor, ja trzeci, p. Librowski czwarty, a jego przewodnik piąty.

Była godzina 2-ga. Pierwszą rzeczą było wbić i zawiesić barometr, poczem usiadł sobie każdy w dogodnym i bezpiecznym miejscu i zachwycił się cudnym widokiem na całe Tatry... Czas był cudowny, ciepło i cisza najzupełniejsza... Ze szczytu zapomocą lornetki zobaczyliśmy i Kraków, a zwłaszcza zamek krakowski i mury klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu.

Zanim opuściliśmy szczyt, każdy z nas podpisał się na karteczce, co profesor schował pod kamienie na pamiątkę naszego pobytu i dowód, żeśmy byli w rzeczywistości na tym szczycie.

Zupełnie tą samą drogą zdążaliśmy do Zakopanego. Koło godz. 10-tej stanęliśmy w domu, syci cudnych widoków i dumni z udalej wycieczki, a zwłaszcza z odkrycia drogi na Świnnicę.

Na szczycie tym przypomniał się im piękny wiersz Schillera z *O b l u b i e n i c y z M e s s y n y*:

Auf den Bergen ist Freiheit! Der Hauch der Gräfte  
Steigt nicht hinauf in die reinen Lüfte;

Die Welt ist vollkommen überall,

Wo der Mensch nicht hinkommt mit seiner Qual,

Na pytanie, jak chodzić po górach? Dr. Eugeniusz Janota tak odpowiada w artykule O przewodnikach zakopiańskich:¹)

Od Świnnicy na wschód już tylko po dolinach i niższych szczytach chodzić można przy pomocy mapy; ale po wyższych ani ruszyć samemu, chyba na skręcenie karku, bo co do tego, to wcale nie potrzeba szukać Matterhornu szwajcarskiego, i w Tatrach jest dosyć pięknych i wygodnych miejsc do tego.

Wreszcie i tam, gdzieby bezpiecznie samemu można chodzić, nie jest to ani wygodnie, ani wesoło, łązić poomacku w biały dzień, i wdrapawszy się wreszcie tu lub ówdzie, siedzieć na szczycie, widzieć koło siebie morze turni, a nie mieć zapytać kogo o nie... Że zresztą wycieczki po Tatrach na własny rozum najczęściej niemalym wypadu przyplącić znojem, a nieraz i obawą, rozumie się samo przez się, boć nigdzie nie nabywamy doświadczenia za darmo, a tem mniej w górach tak przepaścistych, jakimi są Tatry. Tak przed kilku laty jakiś botanik tak zgrabnie wlaź w turnie pod Krzesanicą, iż nie mógł więcej wyleźć, aż go juhasi sprowadzili. Tego lata trzech młodych podróżnych bardzo gorąco kąpanych, a znudzonych niepogodą i odkładaniem wycieczki przez górali, wyrwało się wreszcie samotrzeć na Małą Świnnicę i tak się kierowali szczęśliwie, iż się gdzieś zaplątali i potracili, i dopiero o północy przy pomocy juhasów do domu wrócili.

Nie znaczy to jednak, by każdy juhas zaraz był dobrym przewodnikiem. To samo i Podhalanie.

Mogłoby się zdawać, iż górale, zamieszkujący wsie u podnóża Tatr wszyscy bez wyjątku powinni

¹) Tygodnik Ilustrowany z r. 1866, nr. 74 i 75 z 28 listopada i 5 grudnia.

znać te góry, jakby własną zagrodę. Wszakże tak nie jest. Jak nie wszyscy Krakowianie widzieli Zygmunta, chociaż go łąda kiedy słyszą, tak nie wszyscy Zakopianie znają swoje góry, jakkolwiek to niekiedy przed obcymi udają. Wielu z pomiędzy nich nie było nigdy w halach, na żadnym szczycie, w żadnej nawet dolinie... Inni zaś znają te tylko hale, na których juhasili, na które chodzili lub chodzą po mleko, ser, żętycę, lub do krewnych i znajomych, zostających tam przy bydło.

Strzelcy jedynie i świszczarze, co chodzili lub chodzą po Tatrach za tem, czego tam nie zostawili, za kozą lub biednym świstakiem, a to zwykle drogami wcale nie prostemi, i nie dbając wcale, gdzie cudza granica, ci znają dobrze góry, bo je niejednokrotnie we wszystkich przeszli kierunkach, a przebywając wśród nich na każdej takiej wycieczce nie po swoje po kilka dni, najdokładniej poznali ich rozkład.

Z pomiędzy nich zatem wybierać należy przewodników. „Ale że przy tym wyborze prócz znajomości gór inny jeszcze czynnik wchodzić powinien w rachubę, to jest usposobienie i wartość moralna przewodnika, więc i między tymi przewodnikami będą i są różnice, polecające jednych, a odradzające drugich“.

W ostatnich kilku latach Tatry coraz liczniej są zwiedzane, a wieś Zakopane jest miejscem zbornem dla wszystkich podróżnych przybywających od północy, jak Szmeks dla tych, co od południa zaglądają w Tatry. Następczający się więc zarobek w najgorszym dla Podhalan czasie, bo na przednówku, usposobił zwolna wielu z górali zakopiańskich na przewodników; rzucili się do tego nawet tacy, którzy pierwiej zaledwie z nazwiska najbliższe znali szczyty. Niejeden, co z posłuchu tylko wiedział o Rybiem, dziś prowadzi do niego przez

Zawrat, puszcza się na Krywań, pod Łomnicę, Gierlach i turnię Lodową, przeprowadzi do Szmeksu przez labirynt dolin i turni, stanowiących trzon Tatr.

Zdaniem Janoty, do roku 1866 trzech z pośród tych przewodników wybiło się na czoło: Jędrzej Wała, Maciej Sieczka i Szymon Tatar.

Wszyscy trzej, niegdyś strzelcy i świszczarze, wiele złego narobili w tej mierze. Dziś, nie tylko pierwsi dwaj, ale, jak sobie tuszymy, i Szymek Tatar, i inni jeszcze Zakopianie tego samego dawniej rzemiosła, stali się gorliwymi obrońcami i stróżami nie tylko kóz i resztek świstaków, ale i ptactwa halskiego i innych zwierząt pożytecznych.

Jędrzej Wała, dochodzący pięćdziesięciu lat, średniego wzrostu, smagłej i więcej chudej twarzy, oblicza spokojnego, w dawnych wyprawach myśliwskich, a od przeszło dziesięciu lat<sup>1)</sup> w wycieczkach z podróżnymi w najrozmaitsze strony Tatr, dosyć miał sposobności i czasu do dokładnego rozpatrzenia się w tych górach, a zwiedziwszy je kilkadziesiąt razy w całej obszerności, sam je pokochał i na doskonałego wykształcił się przewodnika. Śmiało powiedzieć można, że co do znajomości Tatr mało który Podhalańin mierzyć się z nim może. Inni znają pojedyncze ich części, on całe pasmo od Orawy do Spisza, dokąd chodził umyślnie parę razy, aby się rozpatrzyć w miejscowości i wywiedzieć o nazwach. Na każdej polanie, w każdej wsi na północnych i południowych stokach Tatr ma on znajomości, co w wycieczkach po górach bardzo jest korzystnem.

Wała nie jest wcale przewodnikiem niby z urzędu, który radby jak najprędzej zbyć podróżnego, byle na nim skorzystać jak najwięcej, z najmniejszym trudem i najmniejszą stratą czasu, jak nim też nie jest ani Sieczka, ani Tatar. Owszem, zmówiwszy się którykol-

<sup>1)</sup> A więc od jakiegoś roku 1848.

wiek z nich z podróżnym na jaką wycieczkę, zajmuje się nim zupełnie, oddaje się cały na jego usługi, zabiera odzież ciężącą gościowi pod górę, objuczając się sam nieraz nad siły, pomaga w miejscach trudnych, a gdzieby inaczej nie szło, to go i na plecach przeniesie; radby, aby podróżny zobaczył wszystko, co jest godnego widać w górach, stara się o wygodę i bezpieczeństwo noclegu, o ile to jeno w miejscach nieraz wcale nie potemu być może, słowem, każdy z nich uważa podróżnego, któremu przewodniczy, za powierzonego swej pieczy, któregoby w żadnej nie odstąpił złej przygodzie. Wprawdzie w Tatrach niema wcale mowy o napadach rozbójniczych; ale podróżując po nich różnie się trafia, i czy słabość nagła, czy to jaki inny wypadek, słońca mianowicie i burza, które najczęściej dokuczają podróżnemu i przewodnikowi, zawsze dobrze mieć przewodnika roztropnego, przytomnego i umiejącego radzić w każdej przygodzie.

Wala, przychylny i życzliwy dla każdego, kogo oprowadza po górach, łatwo przywiązuje się do „swego pana“, tak bowiem nazywa on podróżnego, jeżeli tylko znajdzie w nim życzliwość dla ludu i spólczenie nad jego dolą. Nieraz zdarzało się, że Wala ze łzami rozstawał się z „dobrem państwem“ i w parę lat potem dopytywał się o nich troskliwie.

Takim jest także i Sieczka. Miłość i życzliwość, miłością, przywiązaniem i usłużnością odplaca. Nie dadzą oni odjechać gościowi, którego polubili, aby nie przybyli na jego pożegnanie, a to już nie na oko, ale szczerze i od serca. Jakkolwiek nie należą oni do gazdów zamożnych, a u Wali obecnie przewodnictwo stanowi główne źródło jego utrzymania, nie są oni chciwi albo brudni; nie godzą się naprzód z gościem o zapłatę, ani się potem naprzykrzają, a od osób, które umiały pozyskać ich szacunek i przywiązanie, nieraz nic nawet brać nie chcą, albo się wzbraniają brać tyle, ile im się daje, chociaż to zasłużyli. Jeżeli im kto ze



względu na większe trudy i uciążliwości drogi do zwyczajnej zapłaty uważa za rzecz słuszną dodać nieco, przyjmują to z wdzięcznością, nie podnosząc dlatego wymagań swoich na przyszłość. A widząc chudy mieszek u podróżnego, na najmniejsze przystają wynagrodzenie, gotowi nawet nic nie wziąć i pójść w góry, jeżeli tylko mają czas wolny.

Wala, który, można powiedzieć, znaczną część życia przepędził w halach, polubił je też szczerze. Ale i Sieczka nic mu w tem nie ustępuje. Setny raz przechodząc te same doliny i pnąc się na te same szczyty, zawsze w tem znajdują przyjemność, i dosyć spojrzeć na nich, aby wyczytać z ich uśmiechnionego oblicza i ożywionego oka zadowolenie, że się znowu znajdują wśród turni, mianowicie, gdy widzą, że podróżny nie przykrzy sobie, ale czy na halę, czy w szaleście, czy na szczycie jakim, lub w dolinie przy wiatrze (ogniu) wesół i zadowolony.

A uwagi ich i rozmowa nieraz wcale zajmujące. „To tu prawdziwy odpust!“ słyszałem nieraz i od Wali i od Sieczki, gdyśmy się razem dobrze zmęczyli. „Co też to w tem jest — zapytał mię Sieczka, gdy z nim dochodziłem szczytu Granatów — że gdy człowiek na dole, to go coś ciągnie na te wirchy, a gdy tu stanie na tych wirkach, to mu jakoś tęskno i znowu radby być dołu?“ A gdym sobie właśnie układał jakąś odpowiedź, która nas obu miała zaspokoić, Sieczka sam odpowiedział: „Może i to, że człowiek ma duszę, która nie jest z tej ziemi, i nie tu jej ojczyzna, ale hań w niebie; więc to nas ciągnie na te wirchy; ale ciało należy do ziemi, to już tu zostać musi. więc ono nas znowu z wirchów ciągnie dołu“. Nie dochodziłem już wcale, skąd taki pomysł wziął się Sieczce, ale to pewna, że mi się wydał tak świeży, jak ta trawa, po której stąpaliśmy, tak samorodny, jak te głązy granitowe, co nas otaczały, tak piękny, jak czysty błękit nad nami i kwiateczki alpejskie koło nas. Przytem w odpowiedziach

swoich nie lubią ani Wala, ani Sieczka, ani Tatar mi-  
jać się z prawdą; wiedzą, nie wiedzą, ale powiedzą, jak  
wiedzą.

A nietylko o górach można mówić z tymi ludźmi.  
Wala i Sieczka nie umieją wprawdzie czytać, ale wsku-  
tek częstego przestawania z gośćmi zwiedzającymi  
góry, tudzież z proboszczem miejscowym<sup>1)</sup> przy wiel-  
kiej ciekawości i bystrości pojęcia, wiele nabyli wia-  
domości, mianowicie Wala.

Wala, który najwięcej ocierał się o obcych, wie  
najlepiej, co wziąć na wycieczkę, a bez czego można się  
obejść, umie w drodze przyrządzić herbatę, kawę, ryż,  
ugotować kawałek mięsa. Gościa umie on i u siebie  
przyzwoicie przyjąć, rad mu i Sieczka. Gwarni i roz-  
mowni, rozweselają się najwięcej przy szklance her-  
baty, którą bardzo lubią, a Wala przyniesie niekiedy  
na pogwarke wieczorną kozę czyli dudy, a Sieczka kla-  
rynet lub czekan. Jak oni sobie i z cudzoziemcami  
umieją radzić, pocieszenie opisuje Hanowerczyk Hilde-  
brand w swoich *Karpathenbilder*, jak Wala  
z nim rozmawiał na migi, jak mu tłumaczył, w którym  
szalasię stoją krowy, a w którym owce, nazywając  
pierwszy szalasię mu! a drugi be!

Młodszy od Wali Sieczka już od młodego chło-  
paka chodził w góry z ojcem, który także był strzel-  
cem. Miał on lat piętnaście, gdy pierwszą zabił kozę  
z wielką pociechą ojca i z niemałą dumą własną,  
a z wielkim smutkiem kóz. I odtąd był już ciągle strzel-  
cem jak dla zysku, tak z namiętności. Lecz kiedy przed  
rokiem Komisja fizjograficzna Towarzystwa Nauko-  
wego Krakowskiego, a za jej powodem Towarzystwo  
Leśne węgierskie, Towarzystwa Przyrodnicze w Pres-  
burgu i Peszcie, Macica słowiańska w turczańskim  
Św. Marcinie i kilka osób prywatnych zaczęło się ujmo-  
wać za dzikimi kozami i świstakami, Sieczka był  
pierwszym, który strzelbę oddał do dworu z oświad-

<sup>1)</sup> księdzem Stolarczykiem.

czeniu, że nie będzie więcej prześladował tych zwierząt. Więc gdy się okazała potrzeba ustanowienia w tym celu straży, na której utworzenie Włodzimierz hr. Dzieduszycki i dwóch członków Komisji fizjograficznej<sup>1)</sup> złożyli potrzebny na początek fundusz, a p. Edw. Homolacz, właściciel Zakopanego i znacznej części Tatr polskich, oraz członek Komisji fizjograficznej, okazał się ochoczym do zaprowadzenia takowej, powierzono ją za pośrednictwem nadleśniczego dóbr zakopiańskich p. Gust. Fingera, urzędownie Maciejowi Sieczce i Jędrzejowi Wali.

Aż do tego czasu pracował Sieczka na utrzymanie rodziny swojej jako hawiarz (górnik) w bani (kopalni) magórskiej. W lecie trudni się także przewodnictwem, ale zwykle tylko wtedy, gdy nie musi iść do bani. Żwawszy od Wali i Tatara, starszych od niego wiekiem i więcej od niego spracowanych, żywszy od obu, odznacza się Sieczka prostotą, nietkniętą wpływem i ocieraniem się o ludzi obcych, odbijającymi się już dosyć widocznie w zachowaniu się, a więcej jeszcze w mowie Wali. W Krakowie był Sieczka tylko dwa razy, a to dopiero tego lata; Tatry i Podhale po Nowy Targ były dotąd całym jego światem. Nic dziwnego więc, iż na tej duszy samorodnej narósł niejeden przesąd, ale nie wyrósł on z samej duszy. Chciwie też chwyta Sieczka za każdym promykiem lepszej wiedzy, która go podnosi i uszlachetnia. Mowa jego daleko skąpsza w wyrazy niż u Wali, ale żywa i obfitująca w zwroty prawdziwie halskie, a zatem już z tego względu zajmująca.

Przytem jest on bardzo religijnym i trzeźwym. Danego słowa za nic na świecie nie złamie. Raz przy pogadance o rzeczach tatrzańskich w wieczór dżdżysty i zimny, poczęstowano obu ulubioną herbatą. Wala pije ją z rumem, Sieczka już od wielu lat nie pije wódki. Więc wzięwszy łyżeczkę ze szklanki Wali,

<sup>1)</sup> Nowicki i Janota.

bośmy nie mieli na tyle łyżeczek, otarł ją o kolano, a potem trzonkiem zamieszał herbatę swoją. Zrazu uśmiechnąłem się i nie wiedziałem, dlaczego odwrócił łyżeczkę. Ale wnet rzecz zmiarkował i pochwalił surową stałość Sieczki, a Wałę i inny raz Tatara upominałem, aby ze względu na zdrowie mniej brał rumu.

Szymon Tatar, zwany także Szymkiem Czarnym, silnie zbudowany, zwinny i śmiały, wyrazistych rysów twarzy, poważny, smętny i zamyślony, dawniej także strzelec, ostatnimi laty zarabiał w bani lub w lesie, i tu mocno sobie zdrowie nadwerekzył. Zapędzając się za kozami na węgierską stronę Tatr, przychodziło mu się potykać ze strzelcami tamtejszymi z różnem szczęściem, jak to wogóle na takich wyprawach nieraz tu i indziej bywało. Raz, jak sam opowiadał, cudem uszedł śmierci, gdy gnany pogonią, wśród strzałów przeciwników, z zuchwałą śmiałością rzucił się z turni po zaspie śniegu, a znalazłszy zachylenie w spadzistości skały ukrył się, tak że słyszał mowę ścigających go, nie będąc od nich widzianym. Dopiero po ich odejściu mógł wrócić z tej niebezpiecznej wyprawy.

Że przewodnik ten i w późniejszych czasach był śmiałym, dzielnym, rycerskim i nieustraszonym, dowodzi tego następujący epizod z *Wyieczki na Łomnicę*, zapisany przez Bronisława Rajchmana.

Jak liszki po drzewie wypelzaliśmy na wiszar skalisty, po którym nastąpił drugi, później znowu ściana fantastycznie wyszczerbiona, często wystająca nad nami. Wreszcie zeszlśmy na żleb strasznie pokruszony, piarżysty, spadający w przepaść. Pniemy się po nim już łatwiej, w całym towarzystwie, tuż przy sobie, aby kamienia na pozostających ztyłu nie zrzucić, i wreszcie zatrzymujemy się przed wąskim gzymsem, do pionowej prawie ściany przyklepionym, wiszącym nad prze-

paścią. Gzyms ten stanowił galeryjkę, tak równą i płaską, tak wygodną do chodzenia, tak nęcącą ku sobie, że sądząc, iż nie jest ona przypadkowem dziełem natury, lecz została wykrzesana przez ludzi dla ułatwienia drogi na szczyt. Tymczasem górale zatrzymali się, założyli ręce i zaczęli się namyślać „kandy isć“.

— A bójcie się Boga — rzekłem — wszakże tu tak dobra droga.

— O nie, nie tam!

I Roj, który nas prowadził, udał się w stronę wprost przeciwną, na niewygodne, mało pewne skrawki ściany.

Gdyby się znalazł jaki junak, któryby sam bez przewodnika chciał pójść na Łomnicę, lub wybrał sobie niedoświadczonego przewodnika, co także często się zdarza, to bez wątpienia zaszedłby na ową galeryjkę, podobną do ganku drewnianego w podwórzach starych domów (naturalnie bez barjery) i stamtąd dopiero szukałby dalszej drogi. Wtedy bez wątpienia spotkałby go taki los, jak kilku studentów węgierskich przed dziesięcioma laty. Szli oni z pijanym przewodnikiem spiżym, który niewiele dbał o to, gdzie i jak idą osoby, którym winien był opiekę i przewodnictwo. Weszli też oni na ów ganek. Idą nim, z początku dobrze, lecz później coraz ciaśniej, coraz gorzej. Wreszcie ganek zamienił się na skrawek, który się nagle skończył. Pod nim był kawałek płaskiej skały. Zdawało im się, że trzeba zejść nań, że stamtąd będzie droga. Uczynili to, lecz znaleźli się w takiej pułapce, z której wyjść nie można. Byli otoczeni gładkimi skałami i przepaściami. Wrócić się nie można, bo skrawek za wysoko leżał i był od nich przedzielony skałą nie dającą punktów oparcia. Pozostał im więc tylko jeden środek ratunku: zaczęli krzyżeć.

Co znaczy głos wołającego na puszczy, wszyscy wiemy. Lecz tonący brzytwy się chwyta. Na szczęście szedł na Łomnicę wtedy Tatar z towarzystwem pol-

skiem. Usłyszawszy wołanie, pobiegł na galeryjkę i wystraszonych Węgrów powyciągał z pułapki za czu-pryny.

Zdawałoby się, iż był to dostateczny powód do wdzięczności ze strony wyratowanych dla dzielnego i życzliwego górala; ale, niestety, ludzie łatwo zapominają o dobru, jakie im wyrządził bliźni, a gdy trzeba wywdziękzyć się za nie, woliliby nie być do tego zmuszeni. Tak też stało się i w tym wypadku z Tatarem: nie brakowało wiele, a byłby za swój dobry uczynek przypłacił życiem, a przynajmniej bolesną raną od kuli tego samego Spiszaka, którego wyratował z matni. Oto w jaki sposób opisuje to dramatyczne przejście Bronisław Rajchman w swej książce:

Niebo ciągle zasłane chmurami, mgła szara zaciemnia dalsze widoki i kontury gór rozplywają się w niej... Szliśmy ciągle pod górę milczący, gniewni.

Raz tylko jednostajność przerwana została. Zobaczyłem słup dymu, unoszący się z pośród skał.

— Czy to z koleby juhasów węgierskich? — zapytałem, chcąc się dowiedzieć coś o ich obyczajach.

— Nie, to strzelcy polują.

— Polują? Chyba się grzeją lub pieką upolowaną zdobycz!

— Nie, polują. Właśnie do polowania potrzebne im jest ognisko. Dwaj idą w górę, w głąb doliny, i naganiają kozice ku ognisku. Kozy wciąż uciekają po jednym ze zboczów, lecz gdy zobaczą ognisko, boją się biec dalej po tem samem zboczach, i przebiegają przez środek doliny na drugie; wtedy zabijają je strzelcy zaczajeni blisko ogniska.

— To dowcipni ludzie.

— Ale czasem i niebezpieczni.



— Jakto?

— Oprócz porządnych ludzi, poluje na kozice wiele hołoty. Ta zaś, roznamiętniona polowaniem, często się bardzo źle obchodzi z samotnym lub samowtór idącym turystą i gwałtem zwraca go z drogi, gotowa użyć środków ostatecznych. A wtedy, szukaj wiatru w polu. Nikt nie będzie wiedział, gdzie się podział turysta.

— A to mili ludzie!

— Bardzo! Nie życzyłbym panu wejść im mimowolnie w drogę, będąc sam lub w towarzystwie jednego górala. Dla takich jednak orszaków, jak nasz, mają oni szacunek.

Pan Ludwik (Chałubiński) biegł daleko przed nami z Tatarem... Odszedł tak daleko, żeśmy go już nie widzieli. Strzelec mógłby ich poczytać za samotnych i... poczytał. Usłyszeli przed sobą rozkazujący, niedopuszczający oporu gniewny głos: „Zurück!!...“ Wędrowcy przystanęli, Tatar zwrócił głowę w kierunku, skąd głos wychodził, postawił nogę na kamieniu, oparł na niej rękę uzbrojoną w ciupagę i spojrzal na zuchwalca, trzymającego broń do strzału.

Był to człowiek ten sam, któremu Tatar niegdyś życie uratował, wyprowadziwszy z miejsca niebezpiecznego. I ten śmiał mu grozić...! Przeszył go wzrokiem dumnym i szyderyczym, i nic nie mówiąc, czekał z lekceważącym uśmiechem.

Spizak się zawahał. Może sobie przypomniał, że mu coś winien, może się bał... Spizacy wiedzą, iż z Tatarem żartować nie można. Ciupaga jego jest ostra. a muskuły silne i zwinne. Gdyby napastnik strzelił a spudłował, jużby po nim było.

Mierzyli się wzrokiem. Długie milczenie. Spizak już się nie odważył drugi raz zawołać: „Zurück!“ Ale też wstydział się cofnąć. I on był nieruchomy. Tymczasem większa część naszego towarzystwa weszła w sferę widzenia. Spizak przestał się wstydzic zaniechania rozpoczętego kroku i zniknął w skałach.

— Jabym ci dał „zurück!“ — szepnął Tatar, kończąc swój długi niemy monolog i na usta jego wystąpił uśmiech jeszcze bardziej lekceważący.

Ciekawy epizod z życia Szymona Tatara opowiada w swem studjum o Tatrach i Podhalańcach August Wrześniowski:

Aby dać wyobrażenie o dobroci nóg góralskich, w dolinach niepojętej, przytoczę następujące zdarzenie jednego z moich dobrych znajomych w Zakopanem, Szymona Tatara. Mój znajomy, będąc młodym (obecnie w roku 1882 liczy przeszło 50 lat), pewnego pięknego wieczora powracał z ogromnym, świeżo ubitym capem, którego góralskim zwyczajem dźwigał w torbie na plecach. Cap był bardzo duży i jego nogi wystawały z torby, m e r d a j ą c (bujając) w powietrzu. Już słońce zaszło, kiedy Tatar znalazł się w lesie położonym pomiędzy Kuźnicami i Zakopanem. Czując się bezpiecznym, opuścił on zarośla i wyszedł na szosę las przecinającą; lecz zaledwie postawił na niej nogę, nos w nos zetknął się z leśnym,<sup>1)</sup> oraz jego towarzyszem, konno jadącymi. Zetknięcie było tak bliskie, że Tatar nie miał czasu wskoczyć w zarośla, puścił się tedy po szosie całą szybkością zakopiańskich nóg, zawsze dźwigając na plecach swego stufuntowego capa. Jeźdźcy puścili konie galopem i tak nacierali na górala, że ten nie mógł skoczyć w zarośla, lecz ciągle musiał biec przed końmi; dopiero przebiegłszy jaką wiorstę, mógł on skorzystać z zakrętu drogi i zachowując pierwotny kierunek, wpadł pomiędzy drzewa. Leśniczy natychmiast powrócił do dworu zebrał ludzi i udał się do chaty Tatara, którego zastał w łóżku chrapiącego (choć czuwającego), lecz nie znalazł ani śladu capa, ani też jakich bądź przyborów myśliwskich. Cap pojechał na

<sup>1)</sup> prawdopodobnie Gustawem Fingerem, dawnym leśniczym Homolaczów.



Typy góralskie w Zakopanem,  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)



Orawę, a strzelba i prochownica zostały po drodze schowane w lesie.

Tenże Wrześniowski, pisząc o stryju Tatar, słynnym zbójniku, taki przytacza fakt z życia jego synowca, Szymona Tatar, który jako młody chłopiec okazywał wiele serca stryjowi, czem zasadniczo różnił się od ojca:

Miał on (ów zbójnik) brata w Zakopanem, lecz ten, bojąc się odpowiedzialności wobec władz austriackich, nie chciał mieć z nim bezpośrednich stosunków. Jedynym opiekunem zbójnika był młodziutki jego synowiec, Szymon Tatar, obecnie jeden z najlepszych przewodników, nadzwyczaj śmiały i silny. Aby dać wyobrażenie o sile tego synowca, przytoczę, że będąc młodym, z góry śniegiem pokrytej jednego po drugim zniósł dwóch turystów tego zbudowanych, a następnie pokolei przeniósł ich przez potok. Innym razem, bez śpas (przez żart) z Krywania zniósł osobę olbrzymiego wzrostu i tęgiej tuszy. Pomimo swej siły, Szymon Tatar jest miernego wzrostu i bardzo nawet szczupły, zawiędły. Szymon Tatar, posiadając wszystkie przymioty zbójnika, przyznaje, że jedynie skutkiem napomnień stryja nie wyskoczył za buczki, lecz zawsze spokojnie gazdował. Tylko miał i ma pociąg do fuzyjki. Toż nie grzech kożę albo capa upolować, chociaż panowie leśni są innego zdania.

Jak Achilles i inni bohaterowie Iliady, dlatego że znaleźli swego Homera, stali się nieśmiertelnymi, podobnie możemy być spokojni i o pośmiertną sławę tej wielkiej trójcy przewodników zakopiańskich — Wali, Sieczki i Tatar; bo nie tylko, że w dziejach turystyki tatrzańskiej, od nich

dopiero biorącej swój właściwy początek, grają podobną rolę jak Mickiewicz, Słowacki i Krasiński w poezji polskiej XIX wieku, ale jeszcze mieli to szczęście, iż znaleźli swych poetów, opiewających ich czyny, sławiących ich męstwo, wychwalających ich pocztliwość i troskliwość.

Najszcześniejszym pod tym względem, bo unieśmiertelnionym naprawdę przez wielkiego poetę, był Sieczka, bo jako przewodnik Adama Asnyka, którego oprowadzał po Tatrach, po ich najwyższych szczytach, natchnął go do napisania znanego wiersza p. t. *Maciejowi Sieczce*, który to wiersz, jako jeden z najświetniejszych utworów El...y'ego, nie pozwoli zgasnąć sławie tego znakomitego przewodnika. Ale i Wala, i Tatar, choć im Asnyk nie poświęcił żadnego ze swych wierszy, mogą być spokojni o swoją sławę. Bo choć nie znaleźli swoich poetów, to jednak znaleźli swoich historyków, w rodzaju właśnie Janoty, którzy ich pamięć przekazali następnym pokoleniom.

---

### III.

W roku 1858 wybrał się w Tatry znany fotograf krakowski Walery Rzewuski, i poczynił z nich, z najbardziej malowniczych widoków, cały szereg zdjęć fotograficznych, w czem później znalazł wielu artystycznych naśladowców. Jednym z nich już w roku 1860 był ukrywający się pod inicja-



łami J. K. T. autor Kilku rysów fotograficznych z Tatrów, drukowanych we wrześniu 1860 r. w dwóch numerach Tygodnika Ilustrowanego, a przynoszących oprócz opisu wrażeń z Zakopanego i paru wycieczek w góry, siedm fotograficznych widoków i scen z życia górali, podanych w drzeworytach: Widok Tatrów ze strony południowo-wschodniej pod Kesmarkiem, Małą Łakę i Czerwony Wierch, Kuźnice w Zakopanem, Taniec weselny górali, Opowiadanie starego bacy, Czytanie niedzielne, Zwóz lnu w Zakopanem. Dołączony do tych ilustracyj artykuł nie jest osobliwy, ale poczciwy, a przede wszystkim nacechowany uwielbieniem dla cudów przyrody ojczyznej.

Zadanie swoje autor określił w następujących słowach:

Nie będziemy wdawać się tutaj w geograficzny i geologiczny opis Tatrów, lecz postanowiliśmy podzielić się z czytelnikami „Tygodnika Ilustrowanego“ niektórymi stronami tego uroczego świata, ograniczając się tylko na tych, które najwięcej zwabiają podróżnych, bo są przystępniejsze i swoją pięknnością już niejednego artystę natchnęły. Będą to widoki zdolne zachęcić do zwiedzenia rodzinnych cudów, które mogą wystarczyć do zaspokojenia duszy, goniącej za powabem natury, zatrzymując go sobą w ojczyznej ziemi, przemawiając prawie temi słowy do niego: „Poco nam cudów Szwajcarji, kiedy my naszą Szwajcarję mamy! Poco nam szukać źródeł lekarskich, kiedy tu, wśród najpiękniejszych okolic, obfite uzdrowień płyną nam źródła? Tu przyroda złączyła w swoim utworze to, co

nam kazało przysłowie połączyć ze sobą: piękność i użytek, rozkosz duszy i zdrowie ciała, utile dulci.

Czując niepodobieństwo zebrania w swym szkicu „całej panoramy Tatr“, autor tak zachęca czytelnika do ich poznania:

Jakkolwiek kraj nasz bogatym jest w nieporównane piękności przyrody, jakkolwiek urocze okolice różnych jego części zwracają na siebie uwagę w najogólniejszych geograficznych poglądach, to przecież niema na ziemi naszej piękniejszej wstęgi nad Tatry, które są najoryginalniejszym rysem na obliczu północnych ziem słowiańskich. Ledwie młode chłopię uczuje w swem łonie serce, uczuciem rodzinnem bijące, ledwie piękność przyrody pierwszą lzę w jego źrenicy wycisła, pierwszym jego pragnieniem, pierwszą żądzą jest wybiegnąć w te lśniące na widnokręgu szczyty, tam odetchnąć powietrzem gór, popatrzeć w świat daleki i zaczerpnąć natchnień. I nie dziwne to pragnienie! Dla tego, kto słyszał ojczyste wspomnienia o ziemi naszej, opis Tatrów jest najrzewniejszym, najrozkoszniejszym rozdziałem, porywającym młodą wyobraźnię w świat jakiś odmienny od rzeczywistego, świat czaru, świat widomej poezji, w którym jeśliby trudno było zostać na długo, na zawsze, jednak żyjąc w nim dni kilka i kilkanaście, wynosi się na całe życie takie wspomnienie, jakie unosimy niekiedy po przeczytaniu szczytnego ustępu wielkiego poety, lub po oglądaniu jakiego arcydzieła pendzla czy dłota.

Cudnaż bo ta wstęga przyrody! I swoim ogromem zadziwia, i swoją pięknnością zachwyca i rozrzewnia, i całym swoim odrębnym od innych dzieł Stwórcy charakterem uszlachetnia i uzacnia. Doświadczona to nawet rzecz, iż w tej czarownej podniebnej krainie człowiek więcej podlega dobrym pociągom; częściej łza rozrzewnienia oświeci mu twarz miłością, ani-

żeli myśl pokusie ulegnie. Dobrze powiedziano: iż tam w górze bliżej nieba, dalej ziemi!

Opisawszy dość szczegółowo, z uwzględnieniem wspomnień historycznych, drogę wózkami z Krakowa do Kościelisk, przy opisie tej doliny autor dość wiernie — często dosłownie nawet — idzie za Wycieczką w Tatry drukowaną przed kilku laty w feljetonach Czasu (feljetyony te musiał mieć przed oczyma), poczem dopiero opisuje Zakopane, do którego z Kościelisk zdażył na nocleg.

Paromilową drogę, dzielącą Kościelisko od Zakopanego, przebywa się prędko i dość wygodnie. Do wygody tej dodaje też wiele i ta nadzieja, iż niezadługo w wygodnej odpochniem austerji, jakiej się dotąd jeszcze nigdzie nie napotkało, a jaką znajdziesz w Zakopanem.

Dolina Zakopanego, lubo nie ma piękności Kościelisk, wszakże widziana w pewnem oddaleniu ze wszystkimi kuźnicami, magazynami i wspaniałym, jak na te góry, mieszkalnym domem dziedzica, zgoła z całym zabudowaniem, leżącemi jakby drobne kamyki białe na dnie olbrzymiej czeluści, daleko przedstawia się malowniczej, niż tyle innych zachwalanych tatrzańskich widoków. Zresztą charakter okolicy zawsze ten sam: skały, kawałki zieloności, mrukliwy potoczek i świerki, wszędzie świerki.

W Zakopanem, własności p. Homolacza, jest zakład hutniczy, zajmujący niezawodnie pierwsze miejsce między galicyjskimi zakładami. Zarząd prowadzi p. Seweryn Chryściński, krakowianin,\* wykształcony w Niemczech, w akademji górniczej w Freiburgu, i w Belgji...

Prawdziwą ozdobą Zakopanego są różnobarwne łany łąk, rozmaitością barw swoich przewyższające

o wiele błonia po równiach. Zdaje się, iż przyroda, nigdy zbyt nie szczodra, w tatrzańskim kręgu cz ar od z i e j s k i e g o ś w i a t a t c h n ą w s z y u r o k p i ę k n a i w d z i ę k u, dlatego więcej podziwienia godnych rzeczy po nim rozlała, aniżeli grzęd owocujących ziarnem zboża.

Scharakteryzowawszy górali zakopiańskich, opisał ich chaty i obejścia, ich sposób bytowania, ich życie pasterskie, ich strój oryginalny, ich pieśni i podania, ich przywiązanie do Podhala, autor wkońcu opisał swą wycieczkę do Morskiego Oka, w której jednak ani razu nie wzniósł się ponad ogólniki.

---

#### IV.

W lipcu 1860 roku wybrała się z Krakowa do Zakopanego i w Tatry słynna wtedy w całej Polsce ze swych „improvizacji“ Deotyma. Autorka *Polski w Pieśni* oddawna już marzyła o „wędrówce w Karpaty“, które tylko w marzeniach młodocianych widziała przez „teleskop wyobraźni“, ale wciąż „tysiąc przeszkód, niby stromych pagórków, stawało na drodze ku stromszym jeszcze góróm“. Wkońcu jednak, d. 19 lipca 1860 r. udało się jej wyjechać z Warszawy, a przybywszy do Krakowa, do Hotelu Drezdeńskiego, po wieczorze, przesiedzianym w oknie z poetycznym widokiem na Rynek przy świetle księżycy, nazajutrz od samego rana musiała oddać się prozie przygotowań do wycieczki górskiej, bo „kto jedzie w Karpaty

musi się wybierać z zapasami żywności, kobiercami, sprzętami gospodarskimi, zgoła tak, jak się w każdą podróż wybierali nasi praojcowie“; całe szczęście, że „ten sposób wędrowania, tak teraz rzadki, ma dzisiaj urok nowości“.

Tegoż dnia w południe, „wygodnym powozem“ wyjechano z Krakowa, zdążając na noc do Myślenic, skąd następnego ranka puszczono się w dalszą drogę, z zamiarem dojechania do Nowego Targu. Tutaj zanocowawszy w miejscowym domu zajezdnym, nazajutrz d. 22 lipca, pojechano ku Czorsztynowi, a stamtąd do Szczawnicy. Tutaj odbywszy przejażdżkę Dunajcem, d. 24 lipca, około godziny 3-ej w nocy, po całodziennej podróży powozem, szczęśliwie zajechano przed murowaną karczmę w Zakopanem.

W swoich *Wrażeniach z Karpat*, drukowanych w kilkunastu feljetonach *Gazety Warszawskiej* w ciągu listopada i grudnia 1860 roku, „wieszczka“ opisuje swój przyjazd do Zakopanego w następujący sposób:

Okolo 2-ej w nocy głos radości wzbil się jednocześnie z ust wszystkich podróżnych: ujrzelismy łuny czerwone, przeświecające nad lasami, i widok ten nas przekonał, żeśmy nie zbłądzili z drogi, że już się pokazują kuźnice zakopiańskie. Byliśmy jeszcze o dobre półmili od nich oddaleni, i z godzinę trwał dojazd; teraz już jednak czas nam się nie dłużył, bo otoczeni byliśmy tak czarnoksięskim widowiskiem, jakby Duch gó r, groźny i szyderski, chciał nas odstraszyć od przystępu do swego świata. Bory czarne, nieogarnione, pięły się gdzieś wysoko i opadały gdzieś tak nisko, że

oko nie mogło wśród nocy rozeznaczyć dna owych zagłębień; niektóre tylko miejsca były rozświetlone kręgiem krwawnikowego żaru, niby ogniste jeziora na łądzie ciemności, niby obraz pierwotnie tworzących się światłów, gdy jak banie z płynnych i lotnych, palących się żywiołów zaczynały się taczać po bezdeniach chaosu. Światła te nie płynęły jednostajnie; jedne przygasały i krajobraz w tem miejscu oblekał się fałszywą niebieskością, inne roziskrzały się, jak oblicze, na które gniew występuje, a wtedy lasy dokoła zdawały się koralowe. Te światła pochodziły z fryszerok; im dalej, tem więcej ukazywało się ognisk, jedne palące pod górą, inne w tak wklęsłych rozdołach, że się wydawały głębią kraterów.

Pomiędzy niemi jeden ogień odznaczał się rozmiarami i potęgowaniem jasności, jakby tron Lucypera pomiędzy stolicami jego towarzyszy: to wielki piec, gniazdo gorejące, skąd słupy iskier różnofarbnych wylatywały z sykiem, jak złowieszcze ptactwo, ognistą fontanną pluskały i cicho opadały na lasy, jak rosa siarczysta; niekiedy światło się tam stawało najprzód purpurowe, potem gorąco żółte, nakoniec przerażającej białości, a tak raziło, raniło oczy, żeśmy musieli przysłaniać powieki.

Widok hut jest zawsze wspaniały, lecz ta wspaniałość jego podwaja się stosownością obranego siedliska. Malarze mię rozumieją; oni wiedzą, jakiej tła jest ważności dla obrazu, a trudno tła ponurszego od zakopiańskiego; kuźnice bez tej doliny byłyby jak wójownik bez rynsztunku, ta dolina bez kuźnic jak po grzeb bez pochodni.

Ale nie tylko oczy znajdowały tu pastwę; powietrze coraz bardziej gęszącym rozburzało się hukiem; już szumu lasów nie można było nawet dosłyszeć; szum Dunajca poruszającego maszyny, połączony ze zgrzytem kół żelaznych i szczękiem narzędzi, szlochał, śmiał się, i zżymał, jakby rozmowa całego narodu, a nad nim łoskot młotów kuźniczych panował suchy i jedno-



stajny, przekrawał wszystkie brzmienia swoim niezmordowanym tętnem, jakby wahadło śmierci w tym zegarze wrącego ruchu.

Czarne postacie snuły się po drodze; inne zdaleka, tylko profilowym zarysem przesuwaly się po łunach, jak widma. Olśniona płomieniami, odurzona hukiem, sądziłam chwilami, że to sen, podobny temu, co się przyśnił Gedyminowi; zdawało mi się, że zgłodniały potwór rozszerza się, rozdyma, rozrasta przede mną; lasy i góry jego członkami, kuźnice oczami, a głos żelazny.

Zakopane mieści się w dwóch dolinach; jedna z nich położona między Reglami a górą Gewontem, wdzięczna i uroczysta, bieży ze wschodu na zachód; w niej leży wieś z kościółkiem; ta o pół mili odległa została za nami. Druga dolina, dzika i smutna, biegnie w głąb Tatrów, z północy na południe; w niej się mieści dwór właścicieli huty i druga wioska, zamieszkała przez samych górników. Tam zmierzaliśmy i stanęli na koniec o 3-ej w nocy przed domem zajezdnym, szeroko rozpostartym, ale ciemnym i głuchym, jak ów zamek w lasach zaczarowany, gdzie zaklęta dziewica na sto lat zasnęła; i tu wszyscy snem kamiennym spali, pomimo huków napełniających dolinę.

Podczas gdy część podróźnych odeszła, aby gospodarzy rozbudzić oraz doprosić się jakiegokolwiek pomieszkania, wysiadłam z powozu i teraz dopiero mogłam jednym rzutem oka ogarnąć widowisko. Kto chce widzieć Zakopane w jego najprawdziwszej postaci, niech, jak my, dojeżdża tam w nocy; będzie, jak my, jechał dwa razy dłużej i podwójnego dozna znużenia, lecz nie pożałuje ni godzin, ni trudu. Patrzałam, a dreszcz mię przebiegał, dreszcz zarazem ognisty i zimny; i cieszyłam się, że mi jest dano oglądać krajobrazy, zdolne przejmować takim dreszczem. Stały one przede mną, jakby urzeczywistnione owe zwrotki Danta, w których wieszcz trójświatowy, opisując piekielne grobowiska, mówi: „A groby porozdzielane były

plómienniami, w których się tak rozpałały, że nie jest czerwieńszem żelazo do ludzkich kunsztów przetapiane. Wszystkie od nich wieka były wpołodchylone, a z ich głębi wybuchały ciężkie jęki, wyraźnie głosy skazanych, nieszczęsnych“.

Zdaje się, że to ostatnie porównanie zaprowadziło Deotymę za daleko, że wieszczka, przywykła „myśl nikłą w płaszcz głazu oblekać“, w tym wypadku przez zbyt ostro nastawiony „teleskop wyobraźni“, dopatrzyła się w Kuźnicach zakopiańskich więcej, niż w nich każdy nierozegzaltowany obserwator dojrzy gołym okiem...

Już to wogóle ten „teleskop wyobraźni“ bróździł Deotymie w czasie jej wycieczki w Tatry na każdym kroku; zawsze widziała znacznie więcej, niż do tego upoważniała skromna choć piękna rzeczywistość; ciągle jej się, przy lada najprostszej rzeczy, nasuwały porównania, poetyczne wprawdzie, ale zastosowane przesadnie, afektywnie. Oto np. jej wrażenie przy zwiedzaniu Kuźnic:

Dzięki uprzejmemu przewodnictwu osób zawiadujących zakładem, mogliśmy go we wszystkich szczegółach obejrzeć: wśród ryku zadyszanych miechów, między poplątanemi ramionami machin, przy wystrzałach młotów, patrząc na kruszec rozlany po ziemi w gorejących rysunkach, jak ów napis na ścianach Baltazara, wśród tych pracowników czarnych, rucnawych jak mrowisko, sądziłam się przeniesioną w dziwaczny świat gnomów.

Nad hutami, na wywyższeniu, stoi dwór państwa Homolaczyów, właścicieli Zakopanego; przede dworem

wodotrysk bije w ogródku, gdzie są kwiaty, a nawet owocowe drzewa, rzadkość tu wielka; Zakopane bowiem, pomimo że jest doliną, leży już w tam zimnej strefie, iż drzewa te ledwie przy najtroskliwszem pielęgnowaniu mogą owoc wydawać.

Strumienie Dunajca, przepływające przez Kuźnice, Deotyma opisuje w takich porównaniach:

Lasy wprawdzie, okrywające te góry, są bujne, trawa w dolinie rozściela się puchem, ale po tych lasach wiją się wiecznie tumany dymu, trawy też prawie nie widać pod dzwoniącemi czarnemi żuźłami; jedynym tu widokiem świetnym i radosnym jest Dunajec, wąski wprawdzie, bo źródła bliższe, ale jakież wszechwładnie rozswawolony! Sto potoków z gór zlatuje i dolinę przebiega, przekrawa, przewierca siecią wód tak bystrych, że umieją sobie w żywej skale wyświdrować drogę; Biały Dunajec wszystkie je porywa i ciągnie za sobą, jak kometa ciągnąca gwiazdy w swoim warkoczku; ale nagle cofa się i podrywa zdumiony; tu ludzką ręką wprzęga go w rydwan przemysłu; zmuszony poruszać ciężkie koła, dźwigać ciężkie młoty, dąsa się i oburza, lecz jakże mu z tem oburzeniem do twarzy! Gniew u niego piękny i szlachetny, jakby u orlęcia!

Zdawałoby się, iż będąc już raz w Zakopanem, które sama nazywa „ogniskiem, z którego się podróżni w Tatry promieniają“, Deotyma najprzód zechce pojechać do doliny Kościeliskiej i do Morskiego Oka. Ona tymczasem zapragnęła zobaczyć przedewszystkiem... Łomnicę!

Pałałam gorącą chęcią widzenia choćby zdaleka Łomnicy, najwyższej z Karpat, owej naszej arcy-

góry, która mi się tyle razy przyśniwała w moich marzeniach pieśniarskich, rozsiadła na granitach, z wieńczona orłami! Jednak z żadnego miejsca, które podróźni odwiedzają na polskiej stronie Tatrów, nie można widzieć Łomnicy dokładnie; postanowiliśmy więc przedostać się na węgierską stronę i dojechać przez Kesmark, miasto pełne wspomnień, aż do słynnych wód Szmeksu, leżących pod samemi stopami Łomnicy: tak, dwóch celów dopniemy jednocześnie: ujrzemy najstarszą siostrę z pomiędzy rodziny Karpat i zajrzemy do ziemi węgierskiej.

Wobec tego pojechano wynajętymi wózkami góralskimi przez Bukowinę, Zdżary i Kesmark do Szmeksu. Deotyma niesłychanie obszernie opisała tę drogę — bo aż w kilku feljetonach — opisy jednak, któremi starała się poetyzować oglądane krajobrazy, niekoniecznie dobrze świadczyły o jej poczuciu natury, o sposobie patrzenia na świat. Zamiast opisywać „prostu a z krzykiem“, jak to w takich wypadkach czynił Słowacki, albo „widzieć i opisywać“, jak to w *Panu Tadeuszu* i wogóle czynił Mickiewicz, poetkawieszczka, przywykła raczej haftować włóczką, aniżeli malować farbami, aż do przesady starała się operować porównaniami i analogjami, niezawsze stosownemi, bo zbyt małemi i tapicerskiemi w odniesieniu do rzeczy wielkich i żywiołowych. Dlatego, choć wszystko opisywała bardzo drobniawo, nie umiała dokazać tej sztuki, żeby czytelnik ujrzał w wyobraźni opisywany pejzaż. Oto np. opis drogi z Jurgowa, jednej z najbardziej obfitujących we wspaniałe widoki:

Ile razy wjedziesz w jaką dolinę, zdaje ci się, że jesteś w potężnej komnacie. górami obudowanej; potem niespodzianie droga twoja się skręca, wjeżdżasz w załamany wąwóz, jakby w tajemniczy krużganek, i owa komnata odrazu ci znika, a na końcu krużganka nowa, piękniejsza, nagle się otwiera. Niekiedy nie znajdziesz łączącego wąwozu i komnata z komnatą bezpośrednio się styka przez wyłamanie w górach, stojące jak drzwi otworem. Z jakimże majestatem każda taka komnata jest ustrojona! Lasy iglaste, rozpięte po ścianach, jakby dziesięciowiekowe, posępne gobeliny, tworzą nad jaskiniami obwisłe kotary, w których cieniu Poezja siedzi zadumana, w których cieniu Milczenie snem bez snów zasypia. Wyżej. śniegi wiszą jakby łożawe świeczniki, pozapalane promieniami słońca. Pod nimi tysiąc wód bije wśród jaspisów i marmurów, jakby stokrotnie spotęgowane fontanny Alhambry, a wkoło tych wód stoją jakieś niby trony obciążone szkarłatnym aksamitem, oczekujące na gości, których Duch Karpat w swym zamku przyjmuje. Te trony, są to głazy, okryte porostem, który zwie się bisiorkiem fiołkowym; porost ów, gorąco czerwonej barwy, wydaje woń podobną do woni fiołków, i całe stosy nadwodnych kamieni opina powłoką wiotką i krasną jak puszek brzoskwini.

W Karpatach jednak ubogi jest zasób kolorów: trzy jedyne barwy, a raczej półbarwy całe ich tło stanowią: pierwszą jest czarna zieloność lasów, drugą szarość skał, trzecią iskrząca białość śniegów i potoków. Gdzie niegdzie widzisz prześliczną szmaragdową łączkę, ale jej szmaragdowość jest nadto świetna dla takiego tła ponurego; to też te łąki i te płomieniste głazy rażą tu bijącą w oczy pstroczną, jak owe jaskrawe kwiaty, które Chińczyk rzuca na swoją perłową porcelanę. Wszystko to od siebie odskakuje: łąki ze śniegiem, fale z porostem zdają się gwałtem sprzężone. Ale natura umie wszystkiemu zaradzić: tu ona mgle

obłocznej powierzyła pojednywanie zwaśnionych części krajobrazu. Mgła to owa łagodzi zbyt barwne przeskok, płynnym srebrem nituje zbyt rozdarte szczeliny i półprzejrystą siatką obrzuciwszy przedmioty, zcicha piłuje zbyt ostre krawędzie.

Jak ta piłująca i nitująca mgła, podobnie i ten Chińczyk z pewnością żadnemu szczeremu poecie wobec majestatu Tatr nie przyszedłby na myśl, a całe szczęście Deotymy, że Witkiewicz nie znał tych jej W r a ż e ń z K a r p a t, bo w przeciwnym razie jego złośliwy dowcip nie puściłby tego Chińczyka bezkarnie... Nie darowałby pewno i owym „posępnym dziesięciowiekowym gobelinom“, gdyż o ile wiadomo pierwsza fabryka gobelinów powstała w Paryżu za panowania Franciszka I, a więc w 16-ym wieku, czyli, że już trzywiekowe gobeliny mogą być zaliczone do najstarszych; nato zaś, by gobelin można nazwać w r. 1860 „dziesięciowiekowym“, należałoby wynalazek tego rodzaju dywanów odnieść do 9-go wieku po Chrystusie, co jakoś nie godzi się z historią. Niemniej zagadkowo brzmi w zestawieniu z gobelinami przymiotnik posępny, gobeliny bowiem, aż do złudzenia naśladowujące wspaniałe malowidła olejne, nie nato były rozpinane na ścianach komnat królewskich, by nimi wśród dworzan budzić posępne nastroje. A trudno przypuścić, by w tym wypadku Deotyma pomieszała kir żałobny z gobelinem. Tak samo szwankuje porównanie śniegów „wiszących wyżej“ na górach, do „łzawych świeczników“. Nawet czysto ko-



biece porównanie ich do... bielizny rozwieszanej na sznurach pod strychem, byłoby trafniejszym pomimo swej całej prozaiczności gospodarskiej.

Ale nareszcie, po wyjeździe ze Zdżar, ujrano po raz pierwszy Łomnicę. Z wrażenia, jakie ta „nasza arcy-góra“ uczyniła na przyszłej autorce Sobieskiego pod Wiedniem, wyśpowiadała się ona w następujących entuzjastycznych słowach:

Z posępnych wrażeń (nie gobelinu, lecz lasu powalonego przez wiatr halny) wyrwało nas niespodziewane widowisko: ponad tłumem szczytów wystrzelił szczyt jeden, tak odrębny, tak do wszystkich innych niepodobny, że taki nawet, co go nigdy nie widział, odrazu pozna go i zawoła: Witaj Łomnico!

Odtąd prawie już tylko z przymusu patrzyłam na inne przedmioty: Łomnica nieustannie pociągała moje oczy, jak owa z Tysiąca i jednej nocy góra magnezowa, dźwigająca konia spiżowego, która przyciagała najcięższe okręty.

Sama się dziwiłam owej wyłączności mojej uwagi; wszak między Tatrami tyle jest gór zajmujących i potężnych, wszak taki Krywań i kilka pokrewnych mu szczytów dosięga prawie do ośmiu tysięcy stóp nad poziomem morza; już im bardzo blisko do wysokości Łomnicy, której ostatni wierzchołek do 8133 stóp dochodzi; a jednak, gdy się ona ukaże, wszystko przy niej karłowacieje, wszystkie góry wydają się pagórkowatą płaszczyzną, a Łomnica pływa nad nimi najpiękniejsza, bo sama jedna!

Podobnie bywa i w życiu społecznym, póki tylko wszystkie zdolności, szacowne zasługi stoją na widowni, póty wydają się olbrzymami; lecz niech się genjusz ukaże, a wnet wszystko niknie, najwyższe nawet umyśły, co prawie dosięgły jego szczytu, odrazu drobnieją,

bo im zawsze owego p r a w i e niedostaje, bo nie mają tego szczytu nad szczyty, który stanowi tajemnicę gór i genjuszów!

Możnaby się wprawdzie posprzeczać z poetką o tę „tajemnicę gór i genjuszów“ i zapytać ją: „gdzie Rzym, gdzie Krym?“, ale zamiast wdawać się z nią w problematyczne dyskusje, lepiej posłuchać jej wynurzeń na temat tejże Łomnicy, której po wyjeździe z Kesmarku, ze wsi Łomnicy, mogła się przypatrzeć stosunkowo z niewielkiej odległości.

Za tą wsią wyjechaliśmy na pola tak cudne, że Wirgiliusz piękniej nie wymarzył swoich Pól Elizejskich. Pola owe były obsypane, nabite kwiatami; zagon świecił i kraśniał, jakby pas lity w Słucku; aromat owego kwiecica bałwanął się w powietrzu, a my, pijąc balsamy, nieustannie patrzyliśmy na Łomnicę, bo teraz dopiero przedstawiała się nam nie z boku, ale całem obliczem: jechaliśmy prosto pod nią i mogli przez trzy mile patrzeć jej oko w oko.

Łomnica wystąpiła naprzód, sama jedna, jakby królowa: Tatry za nią stały parami, jakby matrony i dziewice jej dworu. Nie odznaczała się na widnokręgu jedną odstającą barwą, ale rysowała się samemi półtonami, które ją stopniowo zlewały z powietrzem. Niebo nad nią najczystsze błękitu, usiatkowanego złotemi obłoczkami, wyglądało jak lapis lazuli. Mgła ledwo widzialna, różowo-niebieska, wisiała wkoło niej, jak gdyby kiście bzu perskiego. Boczne krawędzie góry ciemno się niebieszczyły, jak dwie granatowe obwódki. A całe jej tło pałało gorącym fioletem.

Wierzchołek Łomnicy składa się z kilku szczytów: niższe po bokach są rozszczepione, jakby zagasłe kraterzy, a z pomiędzy nich wystrzela iglica, n i g d y j e s z-

cze ludzką nie dotknięta stopą; te szczyty ponad czołem władczyni tworzyły wyraźny diadem, którego iglica była spiczastym środkiem. Śniegi nacentkowane czarnymi rozpadlinami, wisiały na ramionach góry, jakby królewskie gronostaje. A wielki okrągławy lodowiec, błyszcząc na jej pierśsiach, niby soliter, spinał ten monarszy płaszcz.

Dwa pamiętam wrażenia, które mi się podobnym zarysem wryły w głębię duszy: czytanie Irydjona i widok Łomnicy.

Szkoda tylko, iż przy opisie jednego z tych dwóch niezapomnianych wrażeń takie się jej dwa fatalne wkradły lapsusy: bo 1) wierzchołek Łomnicy od czasów Staszica i jeszcze na długo przed nim dotykany był każdego lata mnóstwem stóp ludzkich, a 2) ten „wielki okrągławy lodowiec“ na Łomnicy odkryła dopiero Deotyma, czem się od czasów Staszica aż po dzień dzisiejszy nie mógł poszczycić żaden z badaczy Tatr.

Z wrażeń, doznanych przez poetkę w Szmek-sie, najbardziej oczarował ją czardasz, którego opis w swoim czasie cieszył się nie mniejszą sławą w pewnych kołach warszawskich, niż słynny polonez w Panu Tadeuszu. Rzeczywiście opis ten, w przeciwieństwie do opisów przyrody w tych Wrażeniach z Karpat, odznacza się życiem i plastyką. To też warto go tu przypomnieć, bo w starym pożółkłym roczniku Gazety Warszawskiej stanowczo uległ całkowitemu zapomnieniu, jeśli chodzi o dzisiejszą generację!

Ale już się znowu narzędzia muzyczne odzywają; przyległa sala balowa przynęca oświetleniem i dźwię-

kami; z wszystkich ramion spadły dolmany; mężczyźni ukazali się w swoich zgrabnie opiętych, czarnych lub ciemnozielonych ubiorach, na których migocą naszycia ze stali, kruszcu najdosłójniejszego dla męskich przystrojów; męzkatki zajaśniały w swoich białych, przejrzystych welonach, które we włosach spinają wstęgami o trzech narodowych kolorach: ognistym, białym i majowym; panny zabłysły tęczowym fartuszkim, chwiejącym się na sukni lżejszej od obłoku; gorsecik sznurowany gorejącą taśmą. wcinał się w toczoną kibić, a nad skroniami czółko przetykane złotem lub srebrem, promieniło się jakby diadem. Od tych naszywań kruszcowych taki blask uderzał, że sala drgała nieustanną błyskawicą.

Narzędzia już nastrojone; zadumani, czarno zarosli Cyganie, którzy składają kapele, podnieśli smyczki i tylko już czekają na hasło swego białobrodego dowódcy, który nosi piętno natchnienia na sędziwej twarzy. Dał hasło, i wybuchnął czardasz.

Jest coś rozdzierającego w muzyce węgierskiej. Jest dźwięk, co razi, jest struna, co rani, której z piersi Madziara nikt wyrwać nie zdoła. Tłum innych tonów przepływa przez wszystkie odcienia rzewności, wiąże się w najzawikłańszą plecionkę igraszki. rośnie światłem wesela od brzasku aż do łuny; lecz w marzeniu, w pustocie, w rozradowaniu nawet, owa struna boleści zawsze tętni na dnie.. wierny obraz życia! Muzyka węgierska składa się z samych narzędzi smyczkowych;<sup>1)</sup> wszyscy muzycy grają najczęściej unisono, a jednak trudno wypowiedzieć, jak potężne sprawiają wrażenie. Ale bo jakież to unisono! Niema tam ani jednego pyłku różnicy w dźwiękach, ani jed-

---

<sup>1)</sup> Zapomniała tu Deotyma o najważniejszym instrumencie każdej kapeli cygańskiej, o cymbalach, które właśnie muzyce węgierskiej nadają ten ton rzewności i namiętności.

nego przebłysku opóźnienia w akordach. Uderza w tej muzyce zjawisko nieraz przestraszające: głosy narzędzi wydają się często głosami istot żywych, rzeczywiście radujących się, naprawdę cierpiących; to też pieśń ich porywa, jakby chór ludzkich głosów; nie jak chór wyuczony podług prawideł sztuki, ale jak wykrzyki tłumu, kiedy wita czczoną osobę...

Nieraz musieliście słyszeć czardasze grane przez wędrownych Węgrów i pewnie was uniosła ta gra niehamowana; ale dopiero wystawcie sobie ową muzykę przy narodowym tańcu, ów taniec przy narodowych strojach.

Czardasz jest tańcem czysto wojowniczym; w treści ma wielkie podobieństwo do mazura, jest tu ten sam alegoryczny dramat: pogoń rycerzy za brankami. Lecz o ile w treści czardasz zbliża się do naszych tańców, o tyle w objawach swoich nie ma najmniejszego do nich podobieństwa, czardasz jest jednym z najdziwniejszych tańców, jakie mi się zdarzyło widzieć, przedstawia bowiem nieustanną sprzeczność: powolność w rytmie a gwałtowność w ruchach.

Pary stanęły jedne poza drugimi, tworząc błyszczące półkole. Muzyka podczas pierwszej części tańca ciągnie się w nieskończonych skargach, rozżalona, nieutulona, a każda część zamyka się zakończeniem właściwym tylko czardaszowi, tak jak u nas polonez ma swoje odrębne zaokrąglenie dźwięków. Przy tej powolnej pieśni tancerz prowadzi tancerkę, lecz jakoś jest niespokojny, zdaje się dziwić, iż ona nie chce na niego spojrzeć, że smutnie oczy spuściła... I nie mylił się w przeczuciach: oto nagle branka mu się wyrwała i pierchła... Tu się zaczyna dramat. Tancerka nie uchodzi pospiesznie, stąpa wspaniale i poważnie, jakby przekonana, że nie będzie śmiać za nią gonić. Nie myli się tancerka: on idzie za nią, ale jakże zdaleka! Gdy się zbliża, z jakąż pokorą! Niekiedy zachodzi z boku, składa ręce jak do modlitwy, zdaje się błagać z nabo-

zeństwem serca; ale tancerka dumnie głowę wznosi i udaje, że go nie widzi, rzekłbyś nawet, że o nim zapomniała, tak się swobodnie innymi przedmiotami zajmuje; to się rozigra dziecięcą pustotą i prawą dłonią potrząsa fartuszek, jak gdyby z niego wyrzucała kwiaty, to się rozrusza dziecięcą krnąbrnością i lewą rękę butnie zaokrągla, jakby pałączek starożytnej urny, i kroczy drobno, chwiejąc się z trudnością, jak chadzają ptaszęta przeznaczone do lotu, gdy muszą stąpać po ziemi. Tancerz idzie niekiedy tuż za nią, idzie rozwarłszy objęcia, a jednak jej widok taką cześć w nim budzi, że staje niby skamieniały zachwytem, i tylko obracając głowę w kierunku jej tańca, patrzy w nią jakby w widzenie.

Nagle... o, radości! Czyżby branka miała już zaniechać oporu? Zwrotem niespodzianym zwróciła się ku niemu, stają naprzeciw siebie zdziwieni, ona mu oddaje ukłon niski, dziwaczny, spogląda w niego, lecz wyszydza go, i znów się odwróciła i znowu jej niema! Więc to żart był tylko!... Tego nadto dla dumnej duszy Madziara! Gniew mu wystrzelił z oczów, z muzyki wystrzelił akord straszny jak piorun, tancerki i tancerze zatrzymują się tam, gdzie stali, następuje chwila milczenia i nieruchomości: to przedburzowa cisza.

Naraz wszystkie smyczki uderzyły w rytm spieszny, coraz to spieszniejszy: w Madziarze gniew dojrzał i puszcza się w pogoń... Tu nastaje druga część czardasza, część pełna zamętu, jakby zgiełk bitewny: wszystkie branki uciekają z ruchami rozpacz, wszyscy rycerze gonią z gwałtownością zemsty. W muzyce dźwięki się tłoczą i rozbijają, sądzisz w nich słyszeć bolesne wykrzyki ściganych, okrutne wykrzyki ścigających. Czasem tancerz staje w pustym środku sali, ręce majestatycznie na piersiach zakłada, i patrząc szydęro na pierzchającą, która wciąż pod murami kolisto ucieka, zdaje się mówić: „Uciekaj sobie, uciekaj, naciesz się chwilowem zwycięstwem!“ Potem jak wąż



się podczołguje, czai się jak tygrys i rzucił się za nią barbarzyńskim skokiem. Długo zwinność tancerki prześciga moc tancerza, jednak wkońcu... czy siły ją opuszczają, czy serce przemówiło? Trudno to odgadnąć, lecz bieg jej widocznie słabiej: przez chwilę chce odpocząć, na chwilę się zatrzymała, i już tancerz jest przy niej. Odtąd branka pozwala się prowadzić, niby z niechęcią, jednakże z uśmiechem. Na ten widok rycerz z gniewu ochłonął, powraca do pierwotnej pokory i czci; pojednana para puszcza się w wir szalony, jak szczęście, i akord triumfu kończy ten taneczny rapsod.

Co nadaje odrębną cechę czardaszowi, to iż pary nie łączą się jedne z drugimi; każda para jest tylko sobą zajęta: najczęściej tancerz biega na jednym końcu sali, gdy tancerka pierzcha na drugim. Nigdy jednak nie tracą się z oka, wiernie umieją się odnaleźć w tym chaosie. Następstwo ruchów nie jest niewolniczo nakazane, i tak, wśród zmieszanej rzeszy, każda para odgrywa osobną scenę, każda jest w innej chwili dramatu swojego.

Czardasz należy do najtrudniejszych tańców; jego namiętny koloryt niełatwo jest pogodzić z wymaganiami nowożytnej oświaty; to też uwielbiać trzeba przenikliwość, z jaką Węgrzy i Węgierki umieją w tańcu tę nikłą granicę uchwycić.

Zarzucić można temu opisowi czardasza, iż jest zbyt panieński, bo wiadomo, że czardasz jako taniec to nie „historja Węgier“, jak chce Deotyma, ale historja zupełnie czego innego... W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, iż autorka *Polski w pieśni* lepiej odczuła i opisała zabawę salonową węgierską, aniżeli grozę i piękno Tatr, przy których opisie i w następnych feljetonach, opisujących powrót ze Szmeksu, wciąż posługuje się nadmiarem porównań romantycznych, niez-

wsze trafnych. Jak w drodze na Węgry, gdy patrzyła na Tatry, przychodził jej na myśl Chińczyk, tak znów teraz, w powrocie z Węgier, dopatrywała się w Tatrach podobieństwa do... Turka, tylko nie pisze wyraźnie, czy go mamy sobie wyobrazić w pantoflach czy bez.

Góry wkoło nas siedziały, jak szanowne grono tureckich Ulemów; obłoki wisiały na ich szczytach, jak białe turbany; potoki wezbrane migotały wśród urwisk, jak perłowy różaniec, przesuwany dłonią prawowiernego; a mgły niebieskie wybuchały ze szczelin, jak tumany dymu, wiejące z ust milczącego muzułmanina.

Która jednak z tych gór robiła na nią wrażenie tureckiej fajki z długim cybuchem, o tem znów w **Wrażeniach z Karpata** niema wzmianki. A szkoda!

W ten sposób późnym wieczorem zajechano przed karczmę w Bukowinie, skąd nazajutrz d. 28 lipca puszczono się w drogę do Morskiego Oka. Opisujać ją, Deotyma popełnia szereg błędów, które źle świadczą o jej zmyśle obserwacyjnym: kierpce, w których górale tak dobrze chodzą po śliskich kamieniach, nazywa „wiotkiem obuwiem z kory“, a „niedaleko za Morskiem Okiem stoi wódz-Krywań, grożący szczytem podobnym do buławy“. Wiadomości, które zaczerpnęła o góralach, także grzeszą brakiem ścisłości. „Widziano bogatych górali — powiada — którzy w pierwszej młodości wysoko się ukształcili, odbyli uniwersytety nad Renem lub we Francji i mogli żyć wesoło w najpierwszych stolicach;

aż nagle pochwyciła ich niepokonana tęsknota, wracali w Tatry, wdziewali znów gunię i żyli lub żyją jeszcze samotnie na halach“. Od takich „poetyczności“ roi się w tych przeromantyzowanych wrażeniach Deotymy, zbyt skłonnej do nadmiernego idealizowania rzeczy realnych. Tak np. przydrożne żebractwo dzieci góralskich, wrzucających bukieciki kwiatków do wozów, by tym sposobem wyłudzić parę miedziaków, w opisie Deotymy przybiera postać następującą:

Nie było dnia w podróży naszej, aby kilka lub kilkanaście razy na dzień górale nie wybiegali do nas z głębi lasów, z chat lub z poza skały i nie przynosili nam w darze najpiękniejszych kwiatów; a umieją je ofiarować z takim wyrazem i prośby i godności, że niepodobna im odmówić, niech nawet podróżnik pochwali kwiatek, jaki noszą u kapelusza, a wnet go odepną i z radością oddadzą. To też zawsze mieliśmy przed sobą cały kosz pełen kwiatów, wózek był obrzucony kwiatami, stroje nasze kwiatami, wszystko tchnęło świątecznym blaskiem.

Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale ci górale z kwiatkami u kapeluszy przypominają raczej górali z Halki Moniuszki lub z Weseła w Ojcowie, bo z rzeczywistymi Podhałanami niewiele mają wspólnego.

Natomiast opis Morskiego Oka wypadł o wiele trafniej, dlatego głównie, że naszkicowany został realistycznie, a więc nieosłodzony, zwłaszcza nie przesłodzony.

Niespodzianie stanął przede mną amfiteatr, który w górę szedł tak wysoko, że zdawało się, iż tylko chmu-

ry nie pozwalają oku dojrzeć jego końca, a w ziemię wgłębiał się tak nisko, tak przepaściście, że oko nie mogło dobiec do dna owej otchłani zielonej; bo cały niemal amfiteatr, okryty bujną murawą i siecią koso-drzewia, był ciemnozielony, jakby z brył malachitu zbudowany, a na tej zieleni w kilku miejscach leżały plamy i smugi rażącej białości; to było dziwnem, że te same białe smugi, te same urwiska, te same odcienia zieloności, które się przedstawiały w górnej części olbrzymiego gmachu, powtarzały się z niepojętą tożsamością barw i wiernością kształtów w jego niższej części.

Dopiero pilniej zbadawszy to zjawisko, zrozumiałam dotychczasowe złudzenie mego wzroku; dostrzegłam, iż ów bezdenne amfiteatr jest w połowie przecięty wielką płytą wody, i że to, co brałam za jego dolne przedłużenie, było tylko odbiciem górnych jego części w głębinach Morskiego Oka.

„Ale, pytacie, jakimże sposobem odbicie się nieba w jeziorze i błyszczenie fali nie ostrzegło oka o istnieniu wody?“ Żadna z tych przestróg tu się nie pojawia, bo góry, co po drugiej stronie Morskiego Oka stały przed nami, są tak ogromne, wysokie, szerokie, iż ich zielono-śnieżne odbicie od brzegu do brzegu zalega całe jezioro i nie zostawia najmniejszego kącika, gdzieby się błękit mógł prześliznąć; wody jeziora są tak niewzruszonego spokoju, czystości tak podobnej do próżni, że przedmioty w nich powtórzone, żadnem drganiem, żadnym połyskiem zwierciadlanym nie różnią się od swoich wzorów.

I tak pierwszym wrażeniem, sprawionem przez Morskie Oko, jest niezmierny podziw; lecz drugim wrażeniem jest niejaki rozczarowanie: każdy podróżnik po pierwszej chwili zawoła: „Więc Morskie Oko tak jest małe?“ Tak małe! Rozważ, wędrowcze, nie spiesz się z przedwczesnym sądem: Morskie Oko wydaje ci się drobnem, ale jedynie dlatego, że leży pod



Zmarzły Staw pod Zawratem.  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
św. WOJCIECHA w POZNANIU





górami tak ogromnemi, iż przy nich wszystko drobnieje! Ale Morskie Oko nie jest małe; tylko, że o jego ogromie trzeba sądzić, jak o zjawiskach astronomicznych przez same rozważania. Najlepszym, dotykalmym dowodem jego wielkich rozmiarów są dwa potoki, które na przeciwnym brzegu spadają z niezmiernej wysokości tak gwałtownie, że zdają się prostopadłemi kolumnami. Jakiż łoskot muszą wydawać! Jak się nam zdawały bliskie! A jednak nie mogliśmy dosłyszeć najlżejszego echa i szumu, i całe powietrze było jedną martwą bryłą ciszy.

Ciszę tę przerywała tylko gra kobziarza, który nam ciągle towarzyszył. Tak zaszliśmy do szałasu drewnianego, przeznaczonego na miejsce spoczynku dla gości. Szalas dość mocno i szczelnie jest zbudowany, prawie co rok jednak musi być nowym zastąpiony, bo jesienne i zimowe zawieje w parę dni taką budowę zdmuchną; sami widzieliśmy szczęty przeszłorocznego szałasów o paręset kroków rozniesione. Gdyby się raz tu wysilono na murowaną budowlę, ileżby się oszczędziło corocznej pracy, a nadewszystko niewygód podróżnikom, zmuszonym nieraz do zamieszkania w rozwalonym już, odartym z dachu szałasie.

Tymczasem ruch coraz większy panował między góralami: jedni okazywali nam ubogie rośliny tej strefy, inni, zbiegłszy z wędkami, przynosili pstrągi w Morskiem Oku złowione, a które są odmienne i mniejsze od pstrągów, żyjących w innych wodach; pierścień, zakreślony niekiedy rzutami tej rybki, jest jedynym ruchem, który można dostrzec na powierzchni jeziora.

Tratwa oczekuje; po śliskich stromościach spuszcza się ku niej. Tratwa suwa się tak cicho, tak nieznacznie, iż zdaje nam się, żeśmy nieruchomi, tylko że krągły krajobraz powoli się wkoło nas kręci. W podróżne kubki czerpiemy wody z Morskiego Oka i dreszczem nas przeniknął ten napój zamrożony.

Płynęliśmy w milczeniu, a kobziarz przygrywał. Głos kobzy jest jedynym głosem, stosownym do wrażeń górskich; nie wydaje się on nawet dziełem przemysłu ludzkiego: brzęczy jak brzęk owadów, szmerze, jak szmer wody po żwirze, skrzypi, jak skrzypienie trzeszczących gałęzi; to też o ile w miasteczkach razi niemile, o tyle w górach wydaje się jednym z głosów samejże natury.

Płynęliśmy... Jakie wrażenia w tej żegludze mię opanowały, trudno w prostym opowiadaniu to odmalować; może kiedyś usłyszycie pieśń obszerną, w której się odzwierciedli Morskie Oko.

O płynąwszy „w zachwyceniu“ większą część jeziora, wobec spóźnionej pory nawet nie pomyślano o wyjściu do Czarnego Stawu (o którym Deotyma wcale nie wspomina w swem opowiadaniu), lecz wrócono do schroniska, gdzie górale zaimprowizowały tańce.

Na wyraz tańców górale spojrzeli po sobie i wzrokiem się porozumieli; był kobziarz, były nadobne dziewczki, i w jednej chwili urządził się bal góralski.

Mieszkańcy Karpat mają sobie tylko właściwy taniec; nuta jego pierścieniowa i jednostajna przypomina kręcenie się wichru. Para zaczyna płaś od wiru podobnego do kujawiaka; potem góralka nieco się oddala i nieskończonym kręgiem oblatuje górała, który jakby oś tego koła, stojąc na miejscu, wykonywa szybki i zwikłany taniec, a góralka ciągle go obiega; jest coś ptasiego w jej krążącym biegu. Nakoniec tancerz wyskakuje z zakłętego koła, dopędza czarodziejkę, co go w niem trzymała, nowy wir z nią zatacza, i znów ona w kole go więzi, i znów wirują, i tak do nieskończoności.

Taniec ten jest zawsze trudny, bo ażeby nie zostać dziwacznym, wymaga wielkiej nadobności ruchów,

ale czemże dopiero będzie jego trudność, gdy sobie wystawicie, że był tańczony na spadzistej skale, wśród ostrych głazów i śliskiej murawy! Trudno oczom wierzyć, gdy się widzi, jak góral swobodnie tam płąsa, gdzie chwiejący podróżnik ledwo się czolga.

Nigdy nie zapomnę tego czarodziejskiego baletu, co nastąpił niespodzianie, bez przygotowań, jakby wytrysnął ze skały, a któremu żywą dekoracją było Morskie Oko.

Nie tu koniec. Wózek zajechał, i gdy wsiedliśmy, górale, nie chcąc nas jeszcze żegnać, poszli tłumnie za wózkiem. Ale jakże szli? Tańcząc! Jechaliśmy, a kobziarz przygrywał. Po drodze tak stromej, iż podróżnym serce bije, pary przesuwały się wokoło wózka, śpiewając; na każdym urwisku pojawiał się góral z górką i tańcowali nad otchłanią i rzucali nam kwiaty; inni, w pół skryci w obłoku, zdawali się płąsać płąsem nadpowietrznym... istny kraj Sylfid i Sylfów!

Trudno zaręczyć, iż wszystko tak było istotnie, jak to opisuje lubiąca poetyzować i upiększać rzeczywistość Deotyma. W każdym razie ma się wrażenie, że za bardzo na ten taniec góralski zapatrzyła się przez pryzmat „czarodziejskiego baletu“ (warszawskiego), a znając teren w pobliżu schroniska nad Morskim Okiem, a nawet na całej przestrzeni między jeziorem a Rostoką, nie można odgadnąć tego miejsca, gdzieby górale mogli tańczyć „nad otchłanią“, a cóż dopiero „w pół skryci w obłoku“. Zdaje się, że to Deotyma przez swój ulubiony „teleskop wyobraźni“ zobaczyła więcej, siedząc przy biurku, niż mogła widzieć w rzeczywistości albo że przypomnienie sylfów i sylfid, podziwianych w Teatrze Wielkim, nie dawało jej

spokoju nawet i na tle „żywej dekoracji Morskiego Oka“.

Co pewna, iż na noc zdążono jeszcze do Bukowiny, skąd po jakim takim noclegu, raniutko d. 29 lipca, niezależnie od niedzieli, pojechano do doliny Kościeliskiej. Jechano oczywiście przez Zakopane.

Minąwszy huty zakopiańskie, wjechaliśmy do nieznaney nam jeszcze wioski Zakopanego, o pół mili od hut odległej. O ile położenie dworu i otaczających go kuźnic jest ponurem, o tyle wioska leży w okolicy, którąby błogą nazwać można. Schłodne chatki siedzą w ogródkach pełnych krzewów róży; lud w świątecznych ubraniach, w chwili, gdyśmy przejeżdżali, wysuwał się z radością z białego kościółka, na którego szczycie trzęsło się w blasku słońca srebrne serce dzwonu.

Gdzie Deotyma w Zakopanem przed chałupami chłopskimi widziała te ogródki pełne krzewów róży, i ten biały kościółek, i to srebrne serce dzwonu, to już musi pozostać jej tajemnicą... Bo chyba nie u stóp Gewontu, który opisuje na swój sposób, a więc fantastycznie, zapomocą nietrafnych porównań, i niezgodnie z prawdą:

Tu nam się po raz pierwszy ukazał uroczysty Gewont. i on to może najwięcej owej błogości nadaje krajobrazowi. Prawdziwie patryjarchalnym spokojem kwitnie ta rosochata góra. Gewont jest podobnym do tych drzew sędziwych, które na niskim pniu jednym rozrosły się szeroko w kilka pni bliźniących. Gewont, na jednej podstawie oparty, rozbiega się na dwie góry; od wierzchołków aż do podstaw rozdarty jest ogromnemi rozpadlinami, i zdaje się tworzyć grono gór, gaj

szczytów. Zawsze jednak patrząc nań, czujesz, iż to jest jedno drzewo granitowe, jedna niby lipa, której gałęzmi są całe skały, liśćmi całe lasy, a białym kwieciami śniegi nigdy nie więdnące.

Gdzie Deotyma w lipcu na „granitowym“ Ge-woncie dojrzała z Zakopanego „śniegi nigdy nie więdnące“, to znowu, obok lodowca na szczycie Łomnicy, musi pozostać kwestią otwartą.

W opisie doliny Kościeliskiej, którą podzieliła na trzy części, także wkradły się porównania, budzące niejaki wątpliwości. Wogóle Deotyma nadużywa porównań w swoich opisach natury, co im w wielu wypadkach wcale nie wychodzi na dobre, bo zamiast uplastyczniać wrażenia, maści je raczej, gmatwa i zaciemnia. A przytem, zamiast te porównania czerpać z natury, ona je ciągle aż do uprzykrzenia czerpie z literatury, z erudycji, nieraz czyniąc to poprostu w sposób irytujący czytelnika. We wszystkim trzeba zachować pewną miarę, a reguła ta obowiązująca nawet w życiu codziennem, tem bardziej obowiązuje w sztuce. Wszak i dobra kucharka zachowuje stosowną miarę, gdy jej wypadnie naszpikować pieczeń lub zajaca. Dlaczegóżby więc dobrej poetce miało być wolno przespikowywać porównaniami, tak jak to np. czyni Deotyma w opisie środkowej części doliny Kościeliskiej, którą stara się odmałować w następującym przeładowanym i przeegzerowanym obrazie:

Wyobraź sobie sto katedr kolońskich,  
skończonych i wykończonych, ich mury wykuj z ży-

wej skały, ich gotyckie słupy uwiąz z pni kilkuwiekowych, ich przezrocze rzeźby upleć ze strumieni, ziela i paproci, ich długie okna zastąp wąskimi szczelinami jaskiń, skąd zamiast szyb kolorowych pstre kwiaty się wychylają, i podwójnych szereg takich świątyń ustaw po obu brzegach rozhukanego Dunajca; na tych gmachach porozpinaj pęki drzew i całe bory, zaczepione w prostopadłej skale, jak wiszące ogrody Semiramidy; nad temi ogrodami w chmurach ustaw szczyty pozaokrągłane w dziwne kopuły i dziwniejsze banie, jakby indyjskie pagody; nad tem wszystkiem jeszcze pozatykaj lekkie iglice, niby las obelisków Luxorskich: a będziesz miał słaby zarys drugiego ustępu doliny Kościeliskiej, słaby mówię, bo musisz zawsze pomnieć na niezmierną różnicę rozmiarów, jaka leży między dziełami człowieka a dziełami natury.

Za tym „krużgankiem nadobłocznych budowli“ otwiera się trzecia część doliny Kościeliskiej, w której już „nie pasterska łagodność, nie dzika groza, ale spokojny majestat przemawia“. Tu góry rozsiadły się swobodnie:

Sądziłbyś, że to grono leśnych i powietrznych bogów, co się tu zgromadziły na tajemne wiece; patrz, czyż to nie istne boginie i wróżki? Jedna nosi na czole koronę ze skał tak wyciętych w kształty baszt i murów, jak owa korona, z którą Grecy przedstawiali boginię ziemi. Druga, niby Biała Dama, od stóp do głowy otoczyła się jednym stokrotnie pozawijanym obłokiem. Trzecia, podobna do bogini łowów, potrząsa kołczanem wichrów, a zamiast lwiej skóry, zarzuciła na ramię łakę o zielonej sierści. Ta inna, niby Welleda, porośła lasem, jakby gęstwią warokoczy, a w rękę jej kręty potok błyszczy jak sierp druidyczny. Tamta nakoniec w głębi, góra Pyszna zwana,



niby egipska Izys, na skalistym tronie siedzi wyprostowana, a po dwóch stronach jej kamiennego oblicza dwie potargane chmury wiszą, jak owe karbowane wstęgi, co oprawiały lica nilowego ludu.

Jakiż cel was tu sprowadził, o góry-dziewice? Czyście się stawiły przed czarnookim Dunajcem, aby jak drugi syn Pryjama osądził która z was najpiękniejsza?... Próżno czekacie! Dunajec zamysłony, Dunajec posępny, nawet nie patrzy na was: mija wszystkie góry, krętym biegiem ucieka, nic do niego nie mówią wdzięki bogiń ziemi, on do Wisły tęskni, on do Wisły pędzi!

Wszystko to jest bardzo ładne, bardzo poetyczne, tak poetyczne, iż aż ...konwencjonalne. ale konia z rzędem temu, kto w tym opisie zobaczy dolinę Kościeliską! Komu ta „rozkoszna, jedyna“ stanie przed oczami, jakby żywa, jakby malowana!

Opisując bieg Czarnego Dunajca, Deotyma powiada, że strumień ten uczynił na niej wrażenie, jakby dostał... obłąkania.

Ale jest to jeden z tych obłąkańców, jakim był między ludźmi Hamlet: jego gniew się objawia cudami odwagi, jako obłąkaniec zdradza się poezją. Biały Dunajec to orzeł — Czarny to sęp!

Przybywszy do Kościelisk na krótko przed zachodem słońca, po obejrzeniu powierzchniowej pierwszej części doliny, gdy powrócono do domu leśniczego, wypadło rozstrzygnąć kwestję noclegu.

Mieszkania u leśniczego, zwykły ratunek podróży, już były zajęte; po drodze, wśród dzikiego pustkowi, przedstawiła nam się w dolinie wpółrozwalona

budowla; ma ona przeszłość i przyszłość, tylko nie ma teraźniejszości. Była tu niegdyś gospoda, ale długo opuszczona, w zwaliska się pochyliła; teraz zaczęto ją odnawiać, i kiedyś ma znów służyć za dom zajezdny, ale w obecnym roku przedstawia najdziwniejsze pomieszczenie smętnych ruin i świetnych nadziei. Ucieszył nas jednak widok i takiego schronienia; gospodarz i gospodyni głęboko się zdziwili, gdyśmy zażądali mieszkań. Pokazano nam dwie izby: do jednej deszcz zaciekał i rozbity komin gruzami zaścielał ziemię; druga była obszerniejsza, trzema okienkami oświetlona, ale do sieni prowadzące drzwi od niej były bez... drzwi, brakowało bowiem zawiasów; zresztą żadnych sprzętów. Dziwiło nas, iż gospodyni nietylko nas nie namawiała, ale odwodziła od zamieszkania w jej domu; gdy jednak ujrzała, żeśmy się uwzięli, aby to mieszkanie znajdować przyjemnem, niechętnie je najęła. Wkrótce i nasi towarzysze podróży, również, jak się zdaje, przykuci tu urokiem doliny, znalazłszy komnatę tak piękną jak nasze, postanowili do jutra rana zostać.

Po zapewnieniu sobie noclegu udano się na małą przechadzkę po dolinie, przyczem spotkano paru znajomych artystów-malarzy z Warszawy, a tymczasem gospodarz wysłał górali z furką po świeże siano, ażeby z niego usłać łoża na podłodze.

Gdy zmrok rosnący i rzęsy deszcz przypomniały nam, że już czas na odwrót, wszyscy udaliśmy się do gospody, gdzie tymczasem znalazł się rodzaj stołu, przykryty rodzajem serwety, i nawet posrebrzyste świeczniki, któremi się wspaniale rozjaśniły pustki naszej sali.

Górale, którzy dzisiaj, jako w dzień niedzielny, na zabawę wieczorną ściągnęli, przez otwór od drzwi tłumnie przyglądali się naszej wieczerzy.

Po wzajemnej zamianie opowiadań, grono artystów opuściło nas, aby się udać do swoich pomieszczeń w leśniczostwie. Myśmy się zabrali do układania kwiatów w zielnikach i tęskniliśmy już nieco do chwil odpoczynku, ale te nie zdawały się bliskimi, bo gospodarz z furą wyprawił się po siano; deszcz zaś nie pozwalał zebrać go z łąki, musiał więc posłać gdzieś daleko szukać, bo dopiero koło północy zjawił się z naładowanym wózkiem.

Tymczasem do komnaty, pozbawionej drzwi, mroźne powietrze wpadało bez żadnej przeszkody, tak że podróżni musieli czem prędzej pootulać się wszystkim, co mieli pod ręką. A że Deotyma nawet w rodzinnych Tatrach ciągle miała kołczan pełen najegzotyczniejszych porównań, więc zaraz ci, co się poowijali w białe dery, jaśnieli w jej oczach „jak Beduiny“, ci zaś, co na ubranie zarzucili pstre szlafroki, „wyglądali jakby szachi perski.“

Nazajutrz, po smacznym śnie na posłaniu z siano, gdy się zerwano zaraz po świcie, „gospodarz przyszedł rozpromieniony i wimszował, że noc ta minęła bez przypadku, dodając, że to jest pierwsza noc, jaką tu spędził.

Gdy zadziwieni, nie mogliśmy go dokładnie zrozumieć, opowiedział nam, że przed kilku laty zbójnicy przyszli z Węgier, dom ten napadli, zrabowali, a poprzednika jego z całą rodziną zabili. „To też ja, mówił, nigdy tu nie nocuję. Co wieczór z żoną i dziećmi wynoszę się do wioski leżącej za doliną; dopiero wczoraj, widząc, że państwo zostają, myśmy także zostali.“ Gdy to mówił, zdawał się chlubić wielkim czynem odwagi.

Doliną Kościeliską, którą zwiedzono bardzo dokładnie, Deotyma była oczywiście zachwycona.

Jest to księga, zamykająca trzy pieśni. Najpierwsza się przedstawia sielanka; tam łagodne gór stoki płyną jak wiersz pieszczony, a dzwonki trzód na łąkach rytm jej wybijają. Dalej grzmi dzika fantastyczna ballada; tam skały skupiają się wkoło Czarnego Dunajca, jak zwrotki nawleczone na czarną nić treści, a dwa szeregi śpiczastych wierzchołków sterczą jakby rymy ostre, krótko zakończone. Nakoniec wypływasz w hymn weselny; tu każda góra stoi osobno, jak strofa mistrzowsko zaokrąglona, a szczyt Pysznej, niby wykrzyk nadziei, zakończa kamienną księgę.

Zaraz na wstępie uderzyło poetkę niezmiernie oryginalne źródło, które i dzisiejszych wędrowców wprawia w zdumienie.

Na początku drugiej części doliny, po kilku lekkich mostkach, doszliśmy do wysepki, utworzonej przez wodne zjawisko; tu bije jedno z licznych źródeł Czarnego Dunajca, źródło tem się od innych między niemi odznaczające, że bije odrazu we dwie przeciwne strony. Gdy staniesz nad samem źródłem, woda z pod jednej twojej stopy wytryska na prawo, z pod drugiej na lewo; dziw ten tak jest napozór przeciwny prawidłom natury, że nawet mając go przed oczyma, jeszcze się ledwie oczom wierzy. Dwie te strugi rozchodzą się we dwa błyszczące półkola, poczem łącząc się w jeden strumień, tworzą między sobą wysepkę bujnie zarosłą, jak maleńki ogród. Ów zaś bratni strumień rzuca się szumnie do Dunajca, który zasilony jego wodami, mocno się odtąd rozrasta.

Za skałą Pisaną zafrapowała Deotymę szczególnie słynna tu Sowa.

Gdzie indziej pokazano nam prawdziwe arcydzieło nycerstwa przyrody. Na niebotycznym słupie siedzi skała, przez dłóto natury wyrżnięta w kształt sowy. Tyle jest wierności w tem naśladowaniu, że nietylko nieuzbrojone oko da się niem ułudzić, ale przez szkło przybliżające podobieństwo zwiększa się jeszcze. I jakież godło mogło być stosowniejsze od godła mądrości, w tej dolinie, która wygląda jakby ustronń umyślnie stworzona dla mędrców? Ta potężna pustelnia takim powietrzem mądrości owiewa człowieka, że podróżnemu się wydaje, iż po dłuższym pobycie zdołałby tu odgadnąć wszystkie skrytości żywiołów, a nawet tajemnice własnej duszy.

Pogoda była niepewna, raz po raz przechodziły chmury deszczowe, to znów świeciło słońce, ale nie pozostało to bez dodatniego wpływu na doznawane wrażenia.

Czas był dziwny: na jednej górze słońce, na drugiej ulewa; w jednej dolinie zmrok wieczoru, w innej brzask zarania; malarza czar taki przywodzi do rozpaczy, bo mu nie daje ani chwili spokojnego zapatrzenia się w krajobraz; ale dla poetów, wszędzie szukających życia, pogoda czy niepogoda taka przedstawia pole ciekawych spostrzeżeń.

We Włoszech odkryto sposób nadawania sztucznego życia posągom; podróżnik jest wprowadzony do muzeum wieczorem; pochodnie skrycie przeprowadzane rzucają ruchome światło, w którym kamienne postacie zdają się pochylać, dawać znaki i wstawać. Czem owe pochodnie dla posągów, tem była gra chmur i słońca dla Kościeliskiej doliny. Góry zdawały się wyciągać i podawać sobie obłoczne objęcia, zdawały się kołysać miękki m b a j a d e r o w y m t a ń c e m. Każda góra kolejno zasuwiała oblicze białym rąbkiem chmury i tak stała, n i b y w e s t a l k a; potem nagle rąbek roz-

dziera i włożywszy na czoło przepaskę słonecznego światła, zdaje się wznosić na obłoku, jak by serafin w aureoli. Czasem jedna góra rzucała chmurkę drugiej, naprzeciw stojącej, i tak obie, trzymając oba końce chmury, zdawały się trzymać baldachim ponad śpiewną procesję Dunajczych fal.

Jadąc powoli wózkiem po okropnej drodze, wciąż się miało nowe widoki.

Tu podziwialiśmy okropne ślady lawiny, która w ciągu ostatniej zimy, zsunąwszy się ze szczytu Ornaku aż do dna doliny, całą spadzistość góry jednym cięciem zerznęła i kilku górali w swoich białych zwaliskach zagrzebała. Gdzie indziej spotkaliśmy grono juhasów. Ich czarne kłoszule błyszcząły na słońcu jak tkanka jedwabna; pozdrowili nas z uprzejmością, ale i z niejaką dumą... Przynieśli nam z szałasu konewkę pełną zsiadłego mleka i postawili ją na wózku. Białymi świeżo wystruganymi łyżkami czerpaliśmy z niej mleczywo, tak miłe i chłodzące, że zdoła zastąpić najwykwintniejsze wety.

Była to jedna z chwil, w których słońce w pełni świeciło; zioła i kwiaty otrząsały deszczową rosę; a jakież tam kwiaty! Wielkie nieśmiertelniki, niby z białego aksamitu wycięte, naparstnice żółte, jakby hełmy złote; gwoździki, które tam dziko rosną, taką woń wydają, jak u nas w ogrodach. Krajobraz, który nas otaczał, najpiękniejszy z całej doliny Kościeliskiej, był takim, że trudno uwierzyć, iż to nie złudzenie.

„Ledwie żywi, zmoczeni ulewami, przepalemi słońcem, rozbici kamienistą drogą“, wrócili po drodze na południe do schroniska, poczem ruszono w stronę Nowego Targu, ażeby tam zdążyć na nocleg przed wieczorem. Jadąc, Deotyma zwo-



ływała w pamięci wspomnienia dziejowe, przywiązane do miejsc zwiedzonych.

Przez Karpaty i Nowotarską dolinę Jadwiga wjeżdżała do oczekującego ją królestwa. W Kesmarku Jagiellony zjeżdżały się z cesarzami Niemiec i królami Węgier; u podnóża Łomnicy Sobieski wyprawiał wielkie łowy na niedźwiedzia, ażeby mieć sposobność spotkania się z Telekim; przez dolinę Kościeliską przeprawiali się konfederaci barscy.

Z Nowego Targu ruszono rano przez Beskidy ku Krakowowi. „Powietrze coraz cieplejsze owiewało balsamem, sądziliśmy, że druga w tym roku wiosna się zaczyna. Z jakąż pieśczołą oko nawykłe przez dni kilka do ostrych wypukłości, do obnażonych opok, odpoczywało teraz na lekkich pagórkach, na siatce młodych kolorów! W Tatrach Bóg był rzeźbiarzem, w Beskidach malarzem.“

---

## V.

W Tygodniku Ilustrowanym z d. 27 września 1862 r. zaczęło wychodzić opowiadanie Kazimierza Łapczyńskiego p. t. Lato pod Pieninami i w Tatrach, ciągnące się przez długi szereg numerów aż do połowy grudnia t. r. Autor tych wrażeń, jak tego sam nie omieszkał zaznaczyć w swej narracji, był w lecie r. 1862 w Tatrach po raz trzeci. Pierwszy raz był w Zakopanem w r. 1858. Wtedy poznał nietylko Morskie Oko i Pięć Stawów, ale spędził nawet tydzień w Szmeksie. Przed poznaniem Tatr spędził czas dłuższy na Kaukazie (w warunkach przymuso-

wych). Nie jest wykluczone, iż tam właśnie zaprawił się w chodzeniu po górach bez przewodnika, co w stosunku do Tatr równało się anomalji. On jednak, wbrew zwyczajom zakopiańskim, najchętniej wycieczki odbywał sam, dopiero w drodze przy wychodzeniu na szczyty, posługując się przewodnikiem.

Nic przyjemniejszego — pisał w toku swego opowiadania — nad samotne wycieczki w zupełnie nieznanych okolicach: wprawdzie przewodnik jest to żywa książka bardzo zajmująca i rodzaj cementu, który wędrowca z obcą dla niego miejscowością zespała; ale z drugiej strony zupełna samotność wyżej umysł nastroja, a ciągła czujność, żeby nie zbłądzić i do zamierzonego celu trafić, niesłuchanie obznajamia z topograficznym położeniem kraju i ma niewysłowiony urok. Wędrownik bez przewodnika w nieznanym okolicy jest to młody sierota bez rodzicielskiej opieki, który puszcza się w świat o własnych siłach; może zbłądzić i zginąć, ale jeżeli nie zginie, to zmuszony myśleć o sobie, jasno zrozumie życie i szybko się sam na człowieka z silnym charakterem wyrobi. Wędrownik z przewodnikiem to zgnuśniałe dziecko, które do lat dojrzałych pod bezprzerwaną opieką troskliwych rodziców zostaje.

Z takim przekonaniem Łapczyński wybrał się w lipcu 1862, po pięciodniowym pobycie w Szczawnicy, przez Krościenko, Czorsztyn, Łopuszną i Nowy Targ do Zakopanego, z zamiarem zrobienia stąd paru większych wycieczek w Tatrach. Zajechawszy tu o świcie, przedewszystkiem zaczął szukać mieszkania. „Wszędzie — powiada — znajdowałem malarzy, turystów, chorych piją-

cych żętycę, aż wreszcie los i dla mnie zesłał osobną izbę u Kuby kołodzieja“. Izba ta, „jedna z najwspanialszych w Zakopanem“, wydała mu się istną „królewską komnatą Ziemowita“.

Była to duża izba o dwóch oknach z kratami, o heblowanych ścianach i z takimże sufitem. Belki i podpierający je gruby siostrzan heblowane podobnie, a prócz tego wyrzynane w bardzo pracowite desenie jakiegoś przedchrześcijańskiego stylu, którego u nas na płaszczyźnie już tylko ostatnie zabytki na chłopskich skrzynkach pozostały. W tych deseniach przemagały współśrodkowe koła, łodygi systematycznie w kielichowate liście ubrane i ząbkowane pasy. Drzwi niskie, ale szerokie, z porządnym zamkiem, z półtorałokciowymi odrzwiami i z potężnym progiem, równie jak siostrzan starannie były rzeźbione. Ławy, obiegające izbę dokoła; czteropiętrowe półki, obciążone gromadą nigdy nieużywanych mis, flasz i polewanych garnków; szeroki gzyms, uwieńczony galeryjką, z dwoma tuzinami kwiecistych talerzy; wieszadła do sukni, zajmujące całą ścianę naprzeciw okien; trzy skrzynie, stolki i nareszcie ogromne łoże (usłane świeżem pachnącem sianem): wszystko to najstaranniej było wyheblowane i wykończone. Delikatnością rzeźby celowało nad wszystkimi sprzętami lipowe wieszadełko, na którym, jakby na przezroczystej koronce, zawieszonych było kilkanaście okrągłych, z długimi trzonkami, zgrabnych drewnianych łyżek. Ale i ta koronka gasła znowu przy jaworowym stole. Ktoby nie wierzył w indyjskie pochodzenie praojców naszych, niech obejrzy jaworowy stół u Kuby kołodzieja w Zakopanem. Jest jakowaś nić związku między tym stołem a indyjskimi bóstwami. O ilości klinów, kliników, listew, listewek, obszerności potwornych nóg i tułowiu, jakie posiadał bożek w kształcie mego stołu objawiony, poweźmiecie wyobrażenie, gdy wam powiem, iż chociaż miał on nie więcej niż dwa

łokcie w kwadrat, zaledwie dwóch ludzi mogło go z miejsca poruszyć. Nie wiem, czem blat wyszlifowano, ale od zwierciadlanej szyby był gładszy. Podłoga z szerokich desek była czyściutko wymyta; ale bo też i w całym mieszkaniu panował wzorowy porządek. Naprawdę więc piękniejszą pewnie nie była komnata Ziemowita. Z czasów pomieczysławowskich przybyło kilkanaście obrazów Świętych, nad galeryjką i talerzami i na siostrzanie zawieszonych, dwa kropidla i nad drzwiami znak JHS, z krzyżem i sercem gorejącem. Opodal od galerji świętych obrazów ubierała ścianę mniej liczna galerja światowa. Składały ją dwa arkusze saskich kawalerzystów w granatowych mundurach i malowidło na szkle: Popis Surowca przed Janosikiem.

Równie szczegółowo opisawszy i resztę domostwa Kuby kołodzieja i odwiedziwszy zaraz pierwszego dnia „szanownego proboszcza Stolarczyka, wielkiego Tatr miłośnika i znawcę“, Łapczyński wybrał się nazajutrz przy pięknej pogodzie „złożyć czolobitność drugiemu patriarsze zakopiańskiego ludu, Gewontowi, a zamiast iść zwykłą drogą przez Kalatówki, obrał trudniejszą przez Małą Łakę, gdzie sobie wziął jednego z juhasów za przewodnika. Nie wychodząc na sam szczyt, zadowolili się samą szczyrbą Gewontu, podziwiając piękny widok z tej wyżyny.

Usiadłem w szczyrbie i pogodziłem się z Nowotarską doliną. Dotąd nieraz przychodziło mi na myśl, jeżdżąc po wielekroć z Nowego Targu do Czorsztyna i z Czorsztyna do Nowego Targu, że sławna dolina zanadto jest wychwalaną... W Gewontowej szczyrbie nastąpiło pojednanie. Piękną jest Nowotarska dolina, zielona, błyskająca Dunajcami, makiem góralskich zagród

usiana i w ramy Beskidu oprawna! Nacieszony ogó-  
łem, zacząłem rozpatrywać szczegóły. Znalazłem Nowy  
Targ, miasteczko Czarny Dunajec, mnóstwo wsi i dróg  
znajomych. Znalazłem zakopiański kościół, moją chatę  
pod jesionami; tylko z Gewontu wcale nie wydała się  
tak bliską, jak Gewont widziany z mego okna. Nawet  
Mała Łąka, nad którą tuż sterczy Gewont, była spory  
kawał przed nami.

Z Gewontu puszczono się przez Kopę Kon-  
dracką na Czerwony Wierch, skąd przez Krzesani-  
cę spuszczo się zpowrotem ku Małej Łące.  
Stąd lasem, o zmroku, już sam, puścił się Łap-  
czyński ku Zakopanemu. Gdy przechodził dolinę  
Strażysk, drogę oświetlał księżyc.

Pilnując się potoku, ledwie kawałek lasu prze-  
szedłem, duch Tatrów wyprawił mi cudowną niespo-  
dziankę: wprowadził mnie do najpiękniejszej pod słoń-  
cem galerji rzeźb. Arcydzieła wszystkich ludów,  
wszystkich mistrzów, na prawo i na lewo, stały dłu-  
giemi rzędami. Tu bożek indyjski o trzech głowach  
i sześciu rękach; tu klasyczna grupa greckiego dłota;  
tam siedzi sfinks tajemniczy; tam tysiące popiersi zna-  
komitych mężów; olbrzymie ręce, jedne błagalnie, dru-  
gie groźnie ku niebu wśród ciemności wzniesione; ka-  
rjatydy, maczugi, obeliski, kamienni derwisze i znowu  
ręce błagalne. Długo było tych cudów; aż westchną-  
łem, gdy się skończyły.

Taką była gra wyobraźni, fantazja roman-  
tyczna. Tymczasem rzeczywistość zaraz po wyj-  
ściu z doliny przedstawiała się o wiele prozaicz-  
niej. „Psy i ciemności z drogi mię spędziły, tak...  
że jak żeglarz bez steru, tylko ptasim instynktem  
ku domowi się kierowałem. W czasie tej nocnej

podróży wciąż trafiałem prosto w owies albo w kartofle, nigdy na drogę lub ścieżkę, wciąż w bagno albo w strumień, nigdy na kładkę lub mostek, wciąż na rozżartego cerbera, ani razu na człowieka, któryby mi drogę pokazał“... Ale były to skutki chodzenia bez przewodnika.

Mimo to już nazajutrz Łapczyński puścił się do doliny Kościeliskiej, oczywiście znowu sam. Choć był tu nie po raz pierwszy, znów się nie mógł oprzeć jej urokowi.

Choćbyś był nie wiem jak ponury i zgorzkniały, byleś wszedł na dolinę, jakaś letejska rosa razem z aromatycznym powietrzem wciśnie się do twoich piersi, zapomnisz o wszystkich bólach, jakies na świecie za progiem doliny zostawił, zaczarowany szumem Dunajca nagle odmłodniejesz i szczęśliwy jak dziecko będziesz się piął na skały, zrywał kwiaty, wachał ponosowe, fiołkami pachnące kamienie, kto wie nawet, czy podskakując w pogoń się za motylem nie puścisz.

I mimowoli nasuwało mu się pytanie: dlaczego tego uczucia „wewnętrznej radości“ nie doznaje się w równym stopniu w innych miejscach Tatr, majestatyczniejszych pod wieloma względami, a tylko ta dolina ma ten przywilej, iż tutaj człowiek czuje się najszczęśliwszym. Ale jeszcze nie doszedł do połowy doliny, gdy już znalazł rozwiązanie zagadki. Oto zaś, w jaki sposób sformułował to swoje eureka:

Cale Tatry są skarbczykiem poezji; dlatego jednak nigdzie w tych wspaniałych górach nie doświadczamy tej radości, tego odmłodzenia, tej lekkości myśli, tego



złotego humoru, jak w szczęśliwej zaczarowanej Kościeliskiej dolinie, bo Lomnice, Krywanie, Morskie Oka, Zawraty, Hrubie Wierchy i Rohacze, są to poemata wielkie, głębokie, ale posępne i owiane dziwną powagą; gdy tymczasem boża księżeczka, w Pyszną, w Stoły i w Uplaz oprawna, czyli Kościeliska dolina, to prześliczny utwór, który nie tytaniczne wojny, nie hymny strąconych aniołów, nie ruiny światów, ale poprostu piękności Tatrów z wesołością dziecka wyśpiewuje. Tamte są romantycznej, ten czysto klasycznej formy; i z tego zapewne powodu istnieje niezaprzeczony, tajemniczy związek między Kościeliską doliną i starożytną Helladą.

Ja przynajmniej lat poprzednich, chociaż jeszcze dzisiejszego klucza nie posiadałem, Kościeliską dolinę nie legendowym mnichem, nie królem węzów, nie miawkami i dziwożonami, ale zawsze sobie sylwanami, driadami i tysiącem majad zaludniałem; i na całym świecie nie mogłem znaleźć stosowniejszego miejsca dla leżącego starca z głową byka i przechyloną urną, jak u źródła pod Pisaną.

Z powodu tego klasycznego charakteru Kościeliskiej doliny Łapczyńskiemu nasunęła się następująca pseudoklasyczna refleksja w stylu Delille'a.

Nie daj Boże, aby kiedykolwiek myśl przyszła ludziom upiękniać romantyczne Morskie Oko; daj Boże, żeby tam nigdy nawet porządnej drogi i gracowanej ścieżki nie było; ale klasyczne Kościeliska na dotknięciu ludzkiej ręki, rozumną myślą kierowanej, wcaleby nie straciły. Jakież początek zrobił człowiek na tej drodze? Oprócz szop, pasterskich szałasów i krzyża, wybudował szkaradne karcznisko i arcyprozaiczny dom dla pijących żętycę. Niegodziwiec! Pocieszyłem się myślą, iż te budy nie tak mocno jak Przysłup i Uplaz

budowane; można je więc łatwo czem innym zastąpić. Wielka szkoda, że miliony, pochłonięte przez Zofjówkę i Arkadję, jeżeli już koniecznie miały być użyte na upiększenie rodzinnej ziemi, do Kościelisk nie trafiły. Wielka szkoda także, iż Stanisław Poniatowski, zamiast być królem, nie był szafarzem tych milionów i głównym organizatorem myśliwskich pałacyków, domków, parków, ogrodów, zwierzyńców, altanek, mostków i ławeczek ponad brzegami Czarnego Dunajca. Smak tamtoczesny był najstosowniejszy dla upiększenia Kościelisk.

Z Kościeliskiej, wzięwszy sobie młodego juhasa z szałasów pod Pyszną za przewodnika, Łapczyński puścił się pomimo zapowiadającej się niepogody na szczyt Bystrej, choć go juhasi starali się odwieść od tego zamiaru. I wyszedł na sam szczyt, ale tam znalazł się w mgle nieprzejrzałej, tak iż trudził się napróżno, nie widział literalnie nic, choć całe trzy godziny siedział na szczycie. Zato zmókł do nitki. Do Zakopanego wrócił późnym wieczorem, a przyszedłszy do domu, dowiedział się, że tu cały dzień była najpiękniejsza pogoda.

W parę dni później, gdy pogoda zapowiadała się niezłe, Łapczyński wybrał się do doliny Chochołowskiej, a stąd, po noclegu w szałasie w Jarząbczy, wzięwszy sobie juhasa Staszka za towarzysza, ruszył na Rohacze.

W szałasie gwarząc z juhasami, gdy rozmowa zeszła na przeszłość, kiedy w Tatrach byli strażnicy Niemcy, a potem na dalsze lata wstecz, kiedy w Tatrach zupełnie Niemców nie było, wy-

loniła się kwestja: ilu też było wszystkich królów polskich? Bo juhasi nie mieli o tem pojęcia.

— Od czasu, jak Polska w Pana Jezusa uwierzyła, odpowiedziałem, to jest od dziewięciuset lat, było razem królów i książąt panujących ze czterdziestu, a ilu dawniej, to niewiadomo z pewnością.

— A ci czterdziestu katolików, to wszyscy są zapisani w książce?

— Wszyscy co do jednego, nietylko zapisani, ale tam stoi, co który złego, co dobrego zrobił, z kim wojował, kogo pobił: Niemca, Turka czy Tatarą; nawet zapisane jest, pod jaką wsią.

— Szumna to rzecz książki czytać; a my ze czterdziestu królów tylko o czterech słyszeli.

— A o których? — zapytałem z ciekawością.

— O Wyporku... o Łokciu... o Sasie i o Sobku.

— Coście o Wyporku słyszeli?

— O Wyporku? Wyporek tak się nazywał, bo go matka przed jego urodzeniem odumarała, więc go ludzie wypruli, zarznąli barana, rozciąli go na dwoje i do wnętrza dzieciątka włożyli. Jak baran wystygł, to zabijali drugiego, trzeciego i dziesiątego, dopóki dziecko nie doszło. Zdrowo się królewicz wychował i był potem mądrym królem. Więcej to my o nim nie słyszeli.

— A o Łokciu co u was mówią? — pytałem.

— Tyle tylko, że się tak nazywał, bo był mały. O Sasie także niedużo, ale o Sobku rozpowiadają najwięcej. Sas był to Niemiec, ale dobrze rządził; wojny za niego nie było i piękne bywały urody, tylko naprowadził Niemców strasznie dużo do Polski. Po jego śmierci Polacy się zeszli, żeby nowego wybrać króla. Nie wiem ja tam, gdzie się oni schodzili, ale niedaleko była wieś, a w tej wsi u gazdy Sobek służył za parobka. Był to prostak, ani pisać, ani czytać nie umiał. A było tak napisane, ale o tem nikt nie wiedział, że ten królem zostanie, co w dzień wyborów będzie jadł obiad na żelaznym stole. Sobek poszedł orać, przynieśli mu

obiad, przewrócił plug, postawił garnek na lemieszu, i zjadł co tam w garnku było. Jak pole zaorał, wrócił do wsi, puścił woły na paszę i prosi gazdy: „Mój gazdo, pozwólcie mi pójść na wybory popatrzeć“. Gazda mówi: „Idź“. I śmiać się zaczął z Sobka: „Tylko bacz, żeby ciebie królem nie wybrali“. Poszedł Sobek na pole, gdzie wyrzucali do góry koronę. Ledwie przyszedł, wyrzucili ją do góry i na głowę mu upadła. Przybiegli panowie, widzą, że to prostak jakiś, więc go ofuknęli: „Czego ty chcesz? Idź sobie“. Sobek odszedł w drugie miejsce. Wyrzucili w górę koronę, znowu mu na głowę upadła. Panowie przybiegli, poznali, że ten sam, więc go złajali: „Mówiliśmy ci, żebyś tu nie laził. Idź sobie.“ Ale jak trzeci raz wyrzucili i znowu na głowę Sobka zleciała, to już mu dali pokój, powiedzieli: „Taka wola boska“, i królem go zrobili. Niech Bóg zachowa, jak ten Sobek rządził. Głupi był, nie nie umiał: ci, których Sas nasprawdzał, za Sobka królowali. Obdzierali wszystkich do koszuli. Choćby kto skargę do króla napisał, na nic się zdało, kiedy król czytać nie umiał. Kilka lat było tych rządów, i tak już było źle, tak się ludzie skarżyć zaczęli, że Sobek, nie wiedząc, co począć, powiesił koronę u Panny Marji w Krakowie, wziął kij i dziadem w świat poszedł. Długo chodził po świecie, aż przyszedł do jednej chaty, gdzie stuletni dziadek na ławie siedział. Ciekawość wzięła Sobka, co też to taki stateczny człowiek o jego rządach powie. Więc się pyta: „Mój ojcze, co też tam słychać na świecie?“ „Albo ja wiem, ja jeszcze malutki; spytajcie ojca, co na piecu leży; oni już mają dwieście lat, to już i rozum mają.“ Sobek poszedł do starszego i pyta: „Mój dziadku, co też tam słychać na świecie?“ A dziadek mu powiada: „Co słychać? Ot, co słychać:

Za króla Sasa  
Bywało jedz, pij i popuszczaj pasa;  
A za króla Sobka  
Niema w stodole ni jednego snopka.

Rozpłakał się Sobek, przyznał się dziadkowi, iż on jest królem, i prosił o radę, co robić, żeby było dobrze. Dziadek mu poradził, żeby wszystkich Niemców wyżenił, że zaraz będzie dobrze. Sobek posłuchał, do Krakowa wrócił, Niemców wyżenił i choć ani czytać ani pisać nie umiał, przez długie lata dobrze rządził, póki go Cygan piką nie przebił.

Okazuje się, iż ówczesna znajomość historii polskiej, nie stała wśród górali bardzo wysoko; ale co jest ciekawe, to te metamorfozy, jakie niektóre rzeczywiste fakty z dziejów Polski przeszły w wyobraźni góralskiej. Z chronologią również nie miało się lepiej, skoro, według ich mniemania, Sas panował przed Sobieskim. Jeszcze stosunkowo najściślej okazały się wiadomości o Łokietku, tylko, iż dokonane przezeń wyżenie Niemców przypadło w udziale Sobieskiemu. Tak to klęska Turków pod Wiedniem zajęła miejsce klęski Krzyżaków pod Płowcami. Ale w każdym razie cośniecoś z historii polskiej przedostało się w formie tradycji i na Podhalę.

Po wieczerzy w szałasie, gdy już juhasi posnęli smacznie, tylko Łapczyński i Staszek jakoś leżeli bezsennie. Nie mogąc usnąć, zaczęli gawędzić. „Od spraw publicznych przyszło na prywatną, i gazda się uskarżał, iż jeżeli Podhalanie przegrają proces o tatrzańskie pastwiska, który prowadzą z dziedzicami Zakopanego, to im nic nie zostanie, jak wziąć torby i rozejść się po świecie.

— Nigdyśmy, mówił, dziedzica nie znali. Za dawnych czasów była tu królewszczyzna; dopiero Niemce

zakopiańskie państwo sprzedali. Trzeci to już raz ta bieda o pastwiska nas Starościców nawiedza. Dwie kary boże na naszych dziadów spadły, przyszła i na nas kolej.

Za polskich jeszcze czasów siedział w Nowym Targu bardzo bezbożny, zły i chciwy starosta. Miał dudków po uszy, a jeszcze mu było mało, jeszcze więcej chciał; więc wymyślił, że pastwiska w halach nie do gazdów, ale do skarbu należą. Ludzie wołali: do nas! przecie mamy nadania królewskie. Któryen tylko mówił: do nas, starosta zaraz go kuć w łańcuchy, zaprzęgać do taczek i woził ziemię w mieście, póki nie powie: do skarbu. I to tylko raz na tydzień kazał wypuszczać w sobotę. Gdyby który w poniedziałek powiedział: do skarbu, toby jeszcze do soboty ziemię woził. Ale żaden nie powiedział, choć marli z głodu i z pracy. Długo tej biedy było, aż przejeżdżał z Węgier król, spotkał pod miastem dwóch gazdów w łańcuchach zaprzężonych do taczek, jak ziemię wożą, i spytał, za co ich pokuli? Ci powiedzieli wszystko, jak było. Więc się ich król znowu spytał, czy niema na to jakiego sposobu, żeby ich wypuścili. Oni mówią: jest; jak powiemy do skarbu, to nas w sobotę puszcza. Król mówi: powiedzcie, a jak was puszcza, to przyjdźcie do mnie do Warszawy, tylko tak, żeby się starosta nie dowiedział. Król pojechał, a gazdowie zrobili, jak im kazał. Powiedzieli: do skarbu i w sobotę ich puścili, oni się z sobą namówili i poszli do domów, jeden do Pieniążkowic, drugi do Odrowąża, bo z tych wsi byli. Gazda z Pieniążkowic wziął w poniedziałek kosę, powiedział żonie, że idzie na polanę, i poszedł. Żona mu jeść na południe przyniosła — kosi. Przed wieczorem zostawił kosę i chyłkiem poszedł do Odrowąża, schował się i dopiero w nocy poszedł przed chatę tego drugiego gazdy do okna. Cicho zastukał, tamten wyszedł i poszli do Warszawy. Żona tego z Pieniążkowic pobiegła rano na polanę: kosa leży, gazdy niema — zginął. Ale nikt się nie domiarkował, że się



oni we dwóch znaleźli. Jak przyszedli do Warszawy do niepiłego<sup>1)</sup> kraju, to pytają się zaraz takiej pani, co butki sprzedaje: „Gdzie król mieszka?“ „A naco wam król?“ Oni mówią tak a tak, jak było. Ona dobra była kobieta, więc woła: „A bójcież się Boga! Panowie nie dopuszczą was do króla. Jak powiecie, że ze skargą na starostę przychodzicie, jeszcze wam strasznej biedy nawarzą. Chodźcie do mnie, ja was schowam, a w niedzielę, jak król będzie szedł do kościoła, to was na drodze postawię i samemu królowi się poskarżycie“. Gazdowie podziękowali tej pani, czekali do niedzieli, w niedzielę pokłonili się królowi, jak szedł do kościoła, i powiedzieli, że to my z Nowego Targu, co to nam król przyjsć kazał. Król ich poznał, kazał napisać do starosty papier i oddał tym gazdom, żeby go do Nowego Targu odnieśli. Gazdowie przyszli do Nowego Targu, ale bali się oddać papier staroście; więc babie, co chodziła po proszonem, dali dwa dudki za to, żeby papier odniosła, a sami się schowali. Baba poniosła. Starosta jak przeczytał, strasznie się zafrasował, zaraz z Nowego Targu wyjechał i więcej nie powrócił. Wszystkich gazdów wypuścili, i ci znowu spokojnie, jak ich ojcowie i dziadowie, pasali na swoich halach.

Ale nie była to jedyna bieda, jaka Podhalaanom dała się we znaki. „Druga bieda — opowiadał Staszek — nie z Nowego Targu, ale z Lanckorony przyszła.

Przyjechała tam Terezja<sup>2)</sup> i kazała zwołać wójtów z całej Nowotarszczyzny. Przyszli wszyscy wójci, a ona wtenczas obiad jadła: pieczonego koguta z ka-

<sup>1)</sup> Kraj, gdzie tym samym mówią językiem, ale się inaczej ubierają.

<sup>2)</sup> Marja Teresa, cesarzowa austriacka, wogóle w podaniach góralskich grająca pewną rolę.

sza. Powiada wójtom, że wsie nieprawnie pasają na halach, bo to do skarbu p a t r z y. Wójt z Cichego mówi: „Nie! Mamy nadania królewskie“. Terezja kazała go zaraz powiesić, i pyta się wójtów: „Prawda, że wsie nieprawnie pasają?“ Wójt z Ratułowa mówi: „Sprawiedliwe pasą, mamy nadania królewskie“. Kazała i tego powiesić; potem trzeciego, czwartego, i powiesiła trzy-nastu wójtów. Widzi, że nic nie pomaga, bo wszyscy ciągle jedno mówili; więc rzecze do tych, co zostali przy życiu: „Niechże nas Pan Bóg sądzi. Jeżeli to prawda, co wy mówicie, to niech ten pieczony kogut zapieje“. Myślała, że nie zapieje. Nieprawda: wstał z miski i zapiał. Ona się rozgniewała i woła: „Niech ta kasza zakwitnie, jeśli to prawda, co wy mówicie“. Kasza zakwitła.

Na tem skończyły się opowiadania Staszka (godne niektórych powiastek Sabaty), bo senność wreszcie ogarnęła i jego, i jego gościa. Nazajutrz raniutko puścili się przez Czerwone Wierchy ku Rohaczom. Jakoż razem byli na Wołowcu, potem Staszek wrócił do swojej hali, a Łapczyński dobrał sobie na przewodnika Jana, orawskiego górala. Z nim wyszedł na szczyt Salatinu. Oto zaś, jaki mu się stamtąd przedstawił widok:

Miałem przed oczami, co tak gorąco ujrzyć pragnąłem: zachodnie zakończenie Tatr. Na wschodzie ze spiskiej doliny Tatry nagle, gwałtownie, obcesowo ku górze strzelają, odrazu takimi turniami jak Łomnica i Gerlachowa. Od Łomnicy, po siedmiomilowym nadobłocznym polocie, wzbiwszy się po raz ostatni na szczyt Salatinu, wyczerpują się ich siły: osłabłe, zmalałe, skarłone, wleką się jeszcze blisko przez cztery mile i potężnym Hoczem raz ostatni strzelają ku górze. Hocz, jest to ostatni silny blask gasnącej lampy. Za Hoczem lampa gaśnie i Tatry zapadają pod ziemię. Lud przestrzeń wielkości od Łomnicy do Salatinu T a t r a-

mi, przestrzeń upadku od Salatina do Hocza Lip-to w s k i e m i H a ł a m i nazywa.

Te wszystkie olbrzymie duchy od Łomnicy aż do Hocza, w pancerze ze skał zakłete, grają jakiś dramat wielki, niemy, tajemniczy. Najsmutniejsza rola dostała się podhalskim wzgórzom, rola osła, który kopie konającego lwa. Spłaszczony i pokorny, póki Tatry po wyżynach kroczyły, poza Salatinem swoje pękate, żółtawe skorupy dumnie w górę dźwigają i ze wszystkich stron gromadnie i gwarliwie napadają na uznojonego i słabnącego olbrzyma. Te bochenkowate, niezgrabne, poczerńiałe lasami góry, pręcą się tłumnie na umierające Tatry, zabiłone wapieniami, wyglądają jak stado wron, które napada zranionego sokoła. Czy konający lew, czy zraniony sokół, bądź co bądź, dosyć, że poza Salatinem zaczyna się jakieś zamieszanie, jakiś nieład, ciągną zewsząd jakieś wojska rozbite. Zmałałe i zwężone Tatry, jakby spłoszone, nagle skręcają ku południowi. Jakaś nić harmonijna zerwana; zaczyna się walka sprzecznych żywiołów, nastaje jakaś epoka przejścia. Napróżno wpatrujesz się z natężoną uwagą w kilkomilowy chaos: ani możesz zrozumieć, co się z tego wszystkiego wykluje.

Aż poza bezpłodnym chaosem twórczość wraca i na zachodzie strzelają ku niebu jednolitym grzbietem Tatry, ale już ich kierunek zupełnie od tatrzańskiego odmienny.

Po noclegu w Zuberцу na Orawach, wyruszywszy raniutko w kierunku Orawicy, a stamtąd do Chochołowskiej i Kościeliskiej doliny, Łapczyński stanął nad wieczorem w Zakopanem.

Odpuściwszy parę dni, wybrał się z Wojciechem Wałą, bratem Andrzeja, przez Zawrat do Morskiego Oka. Tyle mu opowiadano o niebezpieczeństwie tej drogi, iż wkońcu, gdy znalazł się

na Zawracie, doznał nie zawrotu głowy, ale rozczarowania. „Źle iść, bo ostro pod górę, bo wysoko, bo się usuwają z pod nóg kamienie, a w śniegu, gdzie się po drodze zdarzy, trzeba siekierą schodki wyrąbywać; ale do śmierci bardzo jeszcze daleko“. Dochodząc do szczytu, nadzieja niebezpieczeństwa odżyła, bo spadzisty żłób zawałony był wpoprzek potężnym granitowym progiem. Zbliża jednak i ta ostatnia ułuda znika, granitową bowiem rogatkę z boku obejść można.“ Morskie Oko, choć widziane po raz trzeci, nic nie straciło ze swego uroku.

Są ludzie, którzy chcą zerwać królewską koronę ze skroni Morskiego Oka i włożyć ją na posępne czoło Czarnego Stawu, dowodząc, że tam więcej śniegów, tam skały groźniejsze i wprost z wody ku niebu strzelają; kiedy Morskie Oko rumowiskiem, jakby smutnym pierścieniem, jest z brzegów otoczone. Prawda to wszystko; ale każda piękność Czarnego Stawu powiększa tylko zaszczyty królowej tatrzańskich jezior; bo Czarny Staw, to nie oddzielna całość, ale tylko ustęp Morskiego Oka, szumiącą wstęgą wodospadu, jak stulą, połączony z niem na wieki.

Zasypiając nad Morskim Okiem „w szalasie bez dachu, bo go burza tej wiosny zerwała“, Łapczyński marzył o wycieczce przez Ciemne Smreczyny do Krywania, ale ulewny deszcz pokrzyżował jego plany. Nie pozostało nic innego, tylko przez Waksmundzką wracać do domu.

Ale po kilkudniowej „deszczowej kwarantannie“, gdy znów pogoda zaczęła się ustalać, Łap-

czyński wyruszył znowu z Wojciechem Wałą do Szmeksu. Drogę obrali przez Goryczkową, potem doliną Koprową ku Krywaniowi, na którego sto-ku w „zaimprovizowanej fortecy“ między złoma-mi granitu przenocowawszy pod gołym niebem przy rozpalonym ognisku, o świcie wyruszyli na Krywań, na którego szczycie, przy cudnej pogo-dzie, choć iście grudniowym wichrze, stanęli o sa-mym wschodzie słońca.

Wszystkie doliny drzemały jeszcze w pomroce; ale już czujne wierchy kąpały się w różowym świetle. Widok na wszystkie strony był tak olbrzymich rozmia-rów, tak niepodobny do zwyczajnych ziemi widoków, tak dziwnie i różowo oświetlony, iż wydawał się nie rzeczywistością, ale jakąś sztuczną, cudowną kosmo-ramą.

Z Krywania przez Liptowską dolinę podążono do Szmeksu. Nocowano we wsi Wychodnej.

Będąc o trzy blisko mile od głównego grzbietu Tatr, mogłem teraz przypatrzeć się im szczegółowo od strony południowej. Jednego spojrzenia dosyć, żeby się upewnić, że Tatry od północy są bez porównania piękniejsze. Od południa brak zupełny śniegowego usrebrzenia; oprócz bowiem dwóch niewielkich zbiorowisk pod Kotłem, na całym łańcuchu od Hacza aż do Gerlachowej ani płateczka śniegu. Łomnicy stąd jeszcze nie widać: Gerlachowa ją zasłania. Tatry, pa-trząc od północy, są rzeczpospolitą granitowych tur-ni; jest to jeden mur, tysiącem iglic strzelający ku nie-bu. Tatry z południa, to kamienne królestwo. Ani zwa-żasz na usuniętych w dali poddanych, bo oczy twoje oślepia majestat samego króla. On najbliższy ciebie, on się wydaje dwa razy wyższym od rzeszy, on samo-

władnie nad całą okolicą panuje: tym królem wspaniała Krywań.

Z Wychodnej droga wypadła przez Szczyrb-skie jezioro i Kesmark, aż wkońcu „piękny Szmeks błysnął szwajcarskimi domkami wśród czarnych świerkowych borów.“ Tutaj przenocowawszy, nazajutrz puścił się Łapczyński razem z trzema Węgrymi, pod przewodem słynnego, już „osiwiałego“ Johanna na Łomnicę, a że dzień był pogodny, więc widok miano prześliczny. O 4-tej po południu już pito podwieczorek w Kurhauzie w Szmeksie, przy którym to podwieczorku, przy cygańskiej kapeli, Łapczyński pierwszy raz widział Anglików, i to przedstawicielei „najwyższej arystokracji Albjonu“.

Rodzina Soutertamów i Stanleyów tylko co przybyła do Szmeksu i obiadowała razem ze mną. Zrazu dziwny strój jednego z milordów, potwornej wielkości daszek jego nankinowej czapki i liczne albumy jednej z „miladies“, pozwiązane na kokardki białymi tasiemkami, przypomniały mi angielskich turystów z francuskich karykatur; ale lepiej przyjrząwszy się tym pewnym sobie obliczom, z których wyglądała nie osobista pycha, lecz narodowa duma, tym gestom i tokowi mowy, których nabywa tylko człowiek pod wolnemi instytucjami żyjący, zapomniałem o trywjalnych karykaturach.

Okazuje się, iż już na 25 lat przed Gielgudem i Jazdowskim, unieśmiertelnionymi w książce Witkiewicza, Anglicy zaczęli jeździć w Tatry.

Po dobrze przespanej nocy Łapczyński ruszył, znowu pod przewodnictwem Wali, zpowrotem



do Zakopanego. Szli przez Rówienki, Polski Grzebień, dolinę Białej Wody i Waksmundzką. A że szli doskonale, więc tego samego dnia, około północy co prawda, stanęli w domu.

Nazajutrz lał deszcz jak z cebra. Wobec tego nie było co robić w Zakopanem. Wróciwszy do Szczawnicy, Łapczyński przekonał się, iż i tu było już po sezonie, więc nie namyślając się zbyt długo, zdecydował się pojechać do Krakowa.

Wróciwszy do Warszawy, opisał to swoje Lato pod Pieninami i w Tatrach, a praca ta, wydrukowana w szeregu numerów Tygodnika Ilustrowanego, z wieloma ilustracjami Fabiańskiego i Cegłońskiego, głównie na podstawie fotografii Rzewuskiego, z pewnością znalazła licznych czytelników, a z których niejednego pewno zachęciła do bliższego poznania Tatr i Zakopanego.

---

## VI.

Ksiądz Stolarczyk w swoim opisie wycieczki na szczyt Gerlachu, mówiąc o nim, iż dotąd był „nietknięty stopą ludzką“, pisze: „Znam tylko jedną osobę, mianowicie p. Nowickiego, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, który o b s z e d ł g o d o k o ła, ale nań, zapewne dla jakiejś przeszkody, wychodzić nie próbował“. Wspomniany tu prof. Maksymiljan Nowicki, jeden z najznakomitszych zoologów polskich, a przytem pisarz uta-

lentowany, także między rokiem 1860 a 1870 należał do najgorliwszych krzewicieli kultu Tatr, a bywając tu niemal każdego lata, nie tylko robił mnóstwo wycieczek w góry, studjując głównie ich świat zwierzęcy, ale na podstawie poczynionych obserwacji pisał następnie cały szereg niepospolitych rozpraw przyrodniczych, które bądź drukował w Rocznikach Krakowskiego Towarzystwa Naukowego, zwłaszcza w sprawozdaniach Komisji Fizjograficznej, bądź w czasopismach, gdzie dla swej pięknej artystycznej formy zewszecmiar były pożądane.

Z pomiędzy rozpraw tych, ogłaszanych w latach 1866—1874, pierwsze miejsce należy się Zapiskom z fauny tatrzańskiej, wydrukowanym w r. 1867 w Sprawozdaniu Komisji Fizjograficznej Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a przynoszącym opis całego szeregu wycieczek ich autora po Tatrach polskich i węgierskich.

Po raz pierwszy zwiedziłem te urocze góry w r. 1864 i bawiłem tam przeszło ośm tygodni, lecz natrafiłem niestety na porę dżdżystą, zimną i niepomyślną dla wycieczek. Miesiące sierpień i wrzesień, u Podhalan zwane Bartłomiejskim i Michalskim, przepędziłem w Tatrach, zwiedziwszy z Zakopanego przeważnie ich część zachodnią. Byłem w Kościeliskach i na Pysznej, w dolinie Chochołowskiej, na Bobrowcu, Wołowcu i Rohaczach, na Koszystej, Żółtej Turni, w dolinie Pańszczycy, na Wołoszynie, na Krzyżnem, na Goryczkowej i Krywaniu, na Zawracie, w dolinie Pięciu Stawów, przy Morskiem Oku i wielu in-



Koperszady Polskie.  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
Św. WJCIECHA w POZNANIU



nych stawach halskich, na Kopie Królowej, na Magórze i w jej jaskini, zawierającej kości niedźwiedzia kopalnego, na Gewoncie, sterczącym gdyby strażnica nad Zakopanem, na Gubałówce, i t. d., lecz rzadko która wycieczka powiodła się według życzenia z powodu prawie ciągłej słoty.

Zanim się gdzie wybrałem, przewodnik mój, Wala, zwykł był badać szczyt Babiej Góry, uważany przez zakopian na nieomylny barometr. Gdy szczyt ten mglił, (dymił) chociaż Tatry były czyste, wróżył Wala niepogodę; pogodę zaś, gdy nie był osłonięty czepcem mglistym, lubo Tatry były zamglone. Nie ziszczały się jednakowoż po największej części przepowiednie Wali, aż wreszcie tem zrażony złożył winę na rok pod względem objawów meteorologicznych tak anormalny, że nawet Babia Góra bałamuci i zawodzi.

Odkrywszy d. 25 lipca pod szczytem Wołowca od strony Rohaczów nową muchę, *Leptis Janota*, i nowego motylka, *Penthina Żebrawski*, pragnąłem zebrać więcej okazów tych owadów i wybrałem się w początku sierpnia po raz drugi na Wołowiec. Dzień był pogodny i niebo czyste; zanim jednak zdążyłem do nadmienionego miejsca na Wołowcu, radził mój przewodnik do odwrotu, wskazując na Babią Górę, że poczęła dymić i że niebawem będziemy mieli burzę w Tatrach. Bliski celu wycieczki i zadowolony połowem ciekawych halskich zwierzątek, ani myślałem wracać, owszem spieszyłem dalej ku szczytowi. Lecz niedługo szedłem, bo tym razem Babia Góra nie zadała kłamu przepowiedni mego przewodnika, który rad był z tego, lubo zmókł do nitki, zanim doszliśmy do szałasów chochołowskiego.

Inne znaczenie ma tatrzański Gewont. Potężna szczytowa grzbiecie, rozciągającym się prawie w prostej linii od wschodu na zachód, jest dla zakopian zegarem słonecznym, gdy bowiem słońce tak się wzniesie, iż zaświeci przez tę szczytówkę ku Zakopanemu.

wtenczas jest południe. Dzieje się to przez cały rok, gdyż szczyty położone za Gewontem, a więc od południa, aczkolwiek wyższe od niego, nawet na najkrótszym dniu i przy najniższym stanie słońca na niebie,<sup>1)</sup> kiedy do dolin przypierających od północy do grzbietu Tatr prawie przez trzy miesiące (grudzień, styczeń, luty) słońce nie zajrzy, nie zasłaniają go, a zatem nie przeszkadzają oświetleniu pomienionej szczyty w samo południe.

Jak wyżej wymienione wycieczki tak samo zamierzona wycieczka w tym roku na Łomnicę nie powiodła się Nowickiemu.

Doszedłem za pogody od Czarnego Stawu i Morskiego Oka do Jaworzyny spiskiej i jeszcze tego samego dnia (20 sierpnia) byłem na Muraniu i Hawranu. Ku wieczorowi jednak, gdym jeszcze był w halach, zachmurzyło się i pociemniało, zaczęło kurzyć krupami i śniegiem, niżej zaś lało; więc zjechawszy na ciupadze przewodnika zboczem Murania aż w krainę regli (gdyż dla trzęsących się kolan już iść nie mogłem), dowlokłem się z wielką biedą, przebrnąwszy wezbraną Jaworową, do Jaworzyny, gdzie zanocowałem. Rano miałem iść dalej do Szmeksu; wszakże gdy turnie i hale białeły całe śniegiem, jak wśród zimy, wróciłem do Zakopanego, idąc popod Wołoszyn przez dolinę Waksmundzką, Pańszczycę, koło stawków Toporowych i Jaszczurówki (tak nazwanej od jaszczurów licznie tam się znajdujących). Widok Tatr śniegiem okrytych jest odmienny od tego, jak się przedstawiają, gdy mgłą (dymią), lub gdy białawe mgły obsiadają je w czasie skwarne go południa, a obłoki unoszą się nad nie-

<sup>1)</sup> Na najkrótszym dniu wschodzi słońce dla zakopian za Krzyżnem, a zachodzi na Wołowiec, na najdłuższym zaś jest wschód za Bukowiną, a zachód nieco na południe od Żeleźnicy i Babiej Góry.



mi, lub też gdy płoną (zażgną się, gdy zorze świeci, jak mówią zakopianie). To płonienie czyli zażgnienie gór, uważane najwięcej przed i po św. Michale, rzadziej w innej porze, zawsze zaś, gdy słońce przed samym zachodem obniży się za smugę obłoku, czyli pomłokę według wyrażenia się zakopian, a promienie słoneczne z popod niej odbijają się o zaczerwienione chmury wysoko ponad Tatrami zawieszzone, jest dla zakopian oznaką niezawodnej, najdalej w trzech dniach następującej odmiany, deszczu, śniegu lub wichrów i wtedy krzątają się łuwyrtuja) z półkópkami, z śianem lub owsem.

Wszakże nietylko ten raz spadłe śniegi popsuły mi szyki. Nocując przy Morskiem Oku,<sup>1)</sup> inny raz przy stawach Gąsienicowych, marzyłem o ciekawych odkryciach, gdy tymczasem nazajutrz ujrzałem się śniegiem prawie zasypany; w hale nie było pogo iść i wracając mogłem tylko w reglach lub nieco wyżej ich górnej granicy zbierać. Idąc od stawów Gąsienicowych do domu, brnąłem na szczycie Magóry i Kopy Królowej, skąd zajmujący miałem widok na okoliczne wierzchy i doliny, po kolana w śniegu, a przecież uszedłszy niżej w zacisza kosodrzewin, gdzie śnieg już stał, odkryłem liczne ciekawe zwierzątka, np. nowe motylki *Kessleria Zimmermannii*, *Gelechia Dzieduszycki*, *Glyphipteryx Pietruskii*, co pobudzało do wycieczek nawet w porę niepogodną.

---

<sup>1)</sup> Staw ten zwany także Rybim, od pstrągów w nim żyjących, jest zwykłym celem wycieczek największej części gości i dlatego życzyliby wypadało, aby wystawiono przy nim dom ku wygodzie przybywających, a nie można wątpić, aby koszt łożony na jego wystawienie i utrzymanie, tudzież na podejmowanie gości nie miał się wrócić z korzyścią przedsiębiorcy. NB. Życzeniu temu prof. Nowickiego miało się stać zadość dopiero w dziesięć lat potem.

tem bardziej, że ruch w świecie zwierzęcym był wielki, gdy po słońcu zabłysło słońce i ociepliło się powietrze.

Dnia 5 września byłem na Krywaniu z przewodnikiem Wałą i Sieczką, głównie dla przypatrzenia się kozicy, tej nadobnej mieszkance turni tatrzańskich, której nierozsądne prześladowanie zagrażało zupełnem wytępieniem w najbliższej przyszłości, podobnie jak świstakowi, którego ilość w r. 1864 tak już była szczupłą, że nie mogłem go nigdzie widzieć, ani nawet słyszeć gwizdzącego. Podkradłem się ku kierdelowi pięciu kozic prawie na sto kroków i przypatrywałem się im, jak się pasą, jak leżą, igrają, kozicy na straży, i jak uciekają, aż z południa zmusiła mnie ulewa do odwrotu do szałasu w Ciemnych Smreczynach, a stąd nazajutrz do Zakopanego przez Wierchcichą, gdzie widać z regułu zniszczenie dawniej przez śnieżycę zrządone, przez Gorzyszkową i Kalatówki, którądy także szedłem po Krywań.

W roku 1864 prof. Nowicki zbierał w Tatrach nie tylko zwierzęta, ale nadto także „skamieliny“, rośliny i skały, aby nimi zbogacić muzeum Włodzimierza Dzieduszyckiego, ten bowiem, życząc sobie takowe posiadać, „przyczynił się do pokrycia wydatków z tego powodu“. O Wali, który mu towarzyszył we wszystkich wycieczkach, a „jakiemu prawie niema równego“, tak pisze Nowicki:

Aby Wałę, który najwięcej oprowadza gości po Tatrach, mieć wyłącznie i każdego czasu do mej dyspozycji, zgodziłem go na dwa miesiące po złotym reńskim dziennie prócz strawy. Jest to zwykła płaca dzienna dla przewodników zakopiańskich. Za taką samą nagrodę szedł ze mną zwyczajnie jeszcze drugi góral, gdyż Wala nie mógł sam unieść żywności obok tego, co się uzbierało, zwłaszcza kamieni. Wala, obznajmiony

z celem mej wycieczki, zbierał gorliwie, nawet w słotę, aby nie brał darmo płacy, wdroył się w rozróżnianie wielu rzeczy i rozmiłował się w przyrodzie tak, że byłby z niego zbieracz bardzo pożyteczny, gdyby mógł w gospodarce domowej zastąpić siebie najętym robotnikiem i w tym celu dostawał pewną płacę miesięczną na czas wycieczkowy. Jako mieszkaniec Tatr ma on sposobność zbierania w porach, w których badacz związany stosunkami nie może być w Tatrach; wsparty do tego pomocą juhasów i baców, nie zawiódłby on pewnie oczekiwań tego, któryby go zobowiązał do zbierania, co zdaje mi się nie od rzeczy, aby było podane do wiadomości przyrodników krajowych, tem bardziej, że Wala już wielokrotnie dostarczył mi żądanych od niego zwierząt tatrzańskich, o które mnie z różnych stron nieraz proszono, a co z mniejszym nierównie kosztem było połączone, jak gdybym sam był musiał jechać w Tatry.

W latach 1865 i 1866 Nowicki bawił w Tatrach krócej, ograniczając się do badania samej fauny. Zbiór z tych lat złożył w gabinecie zoologicznym uniwersytetu Jagiellońskiego i w muzeum Włodz. hr. Dzieduszyckiego.

W roku 1865 wysłał Włodzimierz hr. Dzieduszycki p. Łomnickiego w Tatry, który gorliwie i z wielkim skutkiem zajmuje się koleopterologją krajową. Gdym pomienionego roku w końcu lipca wyjeżdżał z Krakowa do Szmeksu, gdzie bawił lekarz sztabowy i lepidopterolog dr. Zimmermann z Pesztu, mój przyjaciel i niegdyś nieodłączny towarzysz na wycieczkach około Lwowa, zaprosiłem p. Łomnickiego, aby przybył z Walą z Zakopanego do Szmeksu i poszedł ze mną na ową głośną Łomnicę, na której i ja być pragnąłem.

Z podróży tej pamiętną zostanie mi chwila, kiedy przybył pod Czorsztynem do mostu na Dunajcu.

przez który miałem się dostać do Węgier. Stał on właśnie cały w płomieniach, walił się częściami i wnet sterczały z niego tylko nagie filary kamienne. Zapowiedziawszy się w Szmeksie na dzień pewny, nie było w tym razie innej rady, jak przeprowić się przez szumiący wezbrany Dunajec. Ponieważ brodu nie było w tem miejscu, chciałem dla bezpieczeństwa nająć przechodzących gościńcem ludzi, aby przytrzymywali lekką góralską jednokonkę; lecz każdy odmawiał tej usługi. Wtedy woźnica mój z Zakopanego wyciął tykę, wskoczył na koń i wjechał przeżegnawszy się w wodę. Nuąc jakąś piosenkę wojacką, gruntował on co krok wodę poprzód koniem, bo dna nie było widać, i tak jechaliśmy z ukosa przeciw wodzie. Koń lubo rosły i silny zachwiał się kilka razy na środku rzeki, a pędzące bałwany miały wózką, jak drzazgą. Były to chwile przykre i niebezpieczne, bo rwący Dunajec nie zna żartu, a do przeciwnego węgierskiego brzegu, skąd mnóstwo ludzi przypatrywało się spalonemu mostowi, było jeszcze daleko. Bez przypadku jednak przeprowiliśmy się na drugą stronę, a nazajutrz przed południem przybyłem do Szmeksu.

Zastawszy tu Zimmermanna i Łomnickiego, Nowicki niebawem zaczął z nimi „entomologizować“ pomiędzy kwiecistemi klombami.

W towarzystwie ich i Wali, którego p. Łomnicki przerobił był na pilnego zbieracza chrząszczów, mogłem na następnych wycieczkach w regle około Szmeksu, do doliny Zimnej Wody, do Pięciu Stawów (węgierskich) i na Łomnicę zwracać uwagę moją wyłącznie na działy owadów bliżej mnie obchodzące, i zebrało się wtedy niejedno ciekawe i nowe.

Pożegnawszy się w przededniu wycieczki z Zimmermannem, który o świcie dnia następnego odjeżdżał do Pesztu, poszedłem i ja na spoczynek. Nazajutrz (26 lipca), pomimo iż miałem Walę przy sobie, który

zna Tatry po węgierskiej stronie, jak swoje rodzinne, wziąłem z sobą jeszcze i węgierskiego przewodnika, Janosza, więcej dla tej osobliwości, iż był już IIII razy na szczycie tej góry.

Wspomniany przez Nowickiego badacz owadów Dr. Łomnicki bawił w Zakopanem już od czerwca 1865 r., zwiedzając pobliskie doliny. Dla spotkania się z Nowickim i Zimmermanem w Szemskisze wyruszył z Zakopanego pod przewodem Jędrzeja Wali 20 lipca. Szedł przez Zawrat i Pięć Stawów do Morskiego Oka, przy którym „przy ogniu buchającym ściętego smreku, pod gołym niebem, zasianem milionami światów, szydzących może z maleńkości ogromów naszych, przepędził noc dziwnie piękną, prawdziwie lipcową“. Nazajutrz ze wschodem słońca powitał Morskie Oko.

Cała okolica w rannem świetle innej nabrała barwy; zdawało się prawie, iż nie ta sama, co wczoraj. Mnie małem osłupiały, że przebywam w jakiejś zaklętej krainie, gdzie jeden czar wywołuje drugi bez końca, gdzie i najbujniejsza wyobraźnia okazuje się czcą i bladą. Spuściłem się na brzeg i wpatrywałem się z nieopisaną rozkoszą w cudnie piękną głąb, w żwir granitowy, który za najmniejszym załamaniem się promieni w najpiękniejszych tęczowych mienił się kolorach. Cały brzeg przede mną zdawał się wysadzony iskrzącymi brylantami... A jakie tu życie w tych kryształowych topielach! Gdy na chwilę nieruchome wtopisz w nie oko, wtedy zcicha podpływają ostrożne pstrążki, czasem musną nieznacznie skrzelami i zatrzymają się chwilkę, jakby się chciały zapoznać z ciekawym wędrowcem. Wtem nagle, przy najmniejszym ruchu stojącego na brzegu człowieka, jak strzały mkną w ulubione głębie.

Z Morskiego Oka przez dolinę Białej Wody, Polski Grzebień i Felkę dotarto jeszcze przed wieczorem do Szmeksu, gdzie nazajutrz nastąpiło upragnione spotkanie z prof. Nowickim i jego towarzyszami.

Na drugi dzień po południu, podczas pory przechadzkowej, opatrzeni narzędziami do połowu owadów, wyruszyliśmy na łowy w kwieciste klomby, gdzie rój skrzydlatych żyjatek zdawał się w skwarnych promieniach lipcowego słońca obchodzić jakąś nadzwyczajną uroczystość. Niezwykły widok przyrodników, dybiących i tutaj na niewinne stworzonka, które miłym brzękiem ożywiały woniejące powietrze, sprowadził ku nam ciekawych gości obojej płci. Przypatrując się z zadziwieniem sposobowi łowów, najbardziej się dziwowali, że z tak daleka przyjeżdżamy na tego rodzaju polowanie, że tego właśnie szukamy, na co oni obojętnem zawsze patrzą okiem. Staraliśmy się wytłumaczyć zajęcie nasze ciekawie wypytującym się nas Węgrom, a przy bogatym połowie toczyła się przyjemnie nasza gawęda.

Wieczorem dnia 25 lipca zdecydowano się zrobić wycieczkę na Łomnicę.

Przybraliśmy dla towarzystwa słynnego węgierskiego przewodnika, Janusza, który już III razy był na Łomnicy, a z nami miał być tamże po raz 112-ty. Janusz, spółzawodnik Wali, mniej atoli od tegoż z całemi Tatrami obeznany, pewny zaś przewodnik po węgierskiej części pasma tatrzańskiego — Słowak rodem, mówi biegle po słowacku i po węgiersku. Jest on średniego wieku, sążnistego wzrostu, o szerokich barkach, świadczących o niezwykłej jego sile; oczy niebieskie, w szeroko rozwartych powiekach szybko poruszające się pod gęstemi brwiami, przyczyniają się wielce do mimiki wybitnej, nieco ściągławej twarzy, o madziar-



sko wykręconym wąsie. W króciutkim dolmanie o długich rękawach, zarzuconym niedbale przez barki, a mosiężną sprzączką spiętym pod szyją, w kłobuku o szeroko zatoczonym brzegu i w obcisłych wyszywanych spodniach, z wałaszczą w ręku, wyglądał junacko i bardzo malowniczo.

Nazajutrz o świcie wyruszono na Łomnicę. Cała droga, urozmaicona zbieraniem owadów, aż na sam szczyt odbyła się bez przygód; tylko na szczycie nie było widoku.

Tu i owdzie odsłaniają się pojedyncze szczyty, ale nie na długo. Dalej i dalej chmury gęste bez końca w powietrznym płyną oceanie i zamykają nam krańce widnokregu. Wpatrującemu się ciekawie w to czarodziejskie, chwilami częściowo odsłaniające się panorama, przyszyły mi na pamięć słowa dawniejszego zwiedzacza gór naszych:

Tutaj rozkosz wkoło błyska,  
 Oko w miły wabiąc tan,  
 Czy na dzikie skał urwiska,  
 Czy w zielony spojrzysz łan;  
 Tu swobodnie myśl się wznosi,  
 Jak sokoła chyży lot,  
 I do niebios wzlata osi,  
 I z chmurami idzie w splot.

Mgły się zbijają raz w niesforne kupy, to znowu siłą wiatru rozerwane, spiesznie przełęczami mkną pomiędzy szczyty; a jasne tło niebios chwilowo przegląda, wraz z zamgloną tarczą bladego słońca. Znowu

Otoczeni grubą mgłą wokoło, w której zaledwie na się mgły ku nam nasunęły i znowu ciemno jak pierwej... kilka sążni było można rozpoznać dziko poszarpane skały szczytu łomnickiego, musieliśmy się zrzec cudownego krajobrazu, jakiby się na tej wysokości był oczom naszym roztworzył. Pia desideria! Trzeba było

poprzestać na widoku potrzaskanych, tuż pod nami leżących głazów, które nie mogły w nas wzbudzić żadnego zajęcia. Kto więc dla samego tylko widoku z wytężeniem sił całych piał się na Łomnicę, ten mało dzisiaj zyskał, chyba to, że może powiedzieć: Byłem na samym szczycie! To też nie dziwiliśmy się naszym towarzyszom Węgrom, którzy po zaspokojeniu niecierpliwego żołądka, po kilku łykach wina i niebardzo głośnych „Eljen Łomnica!“ najobojętniej poukładali się do snu. Niezadowolone jednak, odbijające się jeszcze we śnie na śniadych ich twarzach powoli ustępowało złudnym może marzeniom, co przenosiły ich nad uroczę brzegi szerokiego Dunaju lub w sławne winnice Tokaju; uśmiech lekki, przelatujący po ich licach, łatwo kazał się domyślać podobnego nastroju duszy. I Janusz najspokojniej sobie usnął po odbytych trudach, a potężne chrapanie jego przymieszywało się dziwnie do stłumionego szumu wiatru pędzącego mgły.

My tymczasem opatrywaliśmy dostępne miejsca wierchu, przez całogodzinny prawie przeciąg czasu byliśmy zajęci zbieraniem drobnych owadków, na których swobodę nikt pewnie się nie targnął, odkąd Łomnica istnieje. I Wala chętnie pomagał przy naszych łowach, przynosząc coraz to śliczniejsze chrabąszczyki. Napotkaliśmy tu wiele jeszcze drobnych muszek... Z motyli dziennych wzlatają jeszcze do tej wysokości trzy bielinki i rusalka...<sup>1)</sup>

O 4-tej po południu znowu znaleziono się w dolinie Zimnej Wody. Nowicki proponował jeszcze wycieczkę na Lodowy i dalej halami do Zakopanego; lecz gdy Wala wróżył niepogodę,

---

<sup>1)</sup> Opis M. Łomnickiego Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 roku ukazał się pod takim tytułem w r. 1868 w kilku numerach Tygodnika Ilustrowanego (z lipca i sierpnia).

a więc nie było korzystnych widoków na badania fauniczne, rozmyślono się, wysyłając naprzód Janusza, by najął odpowiedni wehikuł. Tymczasem obaj uczeni razem z Wałą zostali jeszcze w reglach, entomologizując w dalszym ciągu. „Przy-szedłszy później do Szmeksu, opowiada Nowicki, nie zastałem podwody, Janusza zaś tak spitego, że ledwie bełkotał, co go nie zaleca jako dbałego przewodnika. Gdy dłużej w Szmeksie bawić nie mogłem, nie pozostało nic innego, jak iść pieszo od wsi do wsi i szukać koni. Tym sposobem doszliśmy nocą do wsi Łomnicy, odległej ze dwie mile od Szmeksu, gdzieśmy przenocowali.“

Nazajutrz ruszono przez Bukowinę do Zakopanego.

W roku 1866 Nowicki obszedł razem z Wałą najpiękniejszą część Tatr przy pogodzie wogóle sprzyjającej, i znowu zebrał sporo osobliwości i nowości z dziedziny fauny.

Pierwszego dnia, t. j. 7 września nocowałem w szałasie doliny Białki; dnia następnego szedłem stąd dołem pod Pod-Upłazki i wzdłuż Białej Wody; a przeszedłszy tę rzekę popod Młynarzem obok szałasów ku Wysokiej, skąd widać trzy wodospady, na prawo największy z doliny czeskiej, z Stawu Czeskiego, od przodu drugi z pod Żelaznych Wrót z Zielonego Stawu, na lewo trzeci z doliny Litworowej z Litworowego stawu, dalej doliną ku Żelaznym Wrotom obok Zielonego Stawu, zostawiwszy na prawo Ganek a na lewo Wysoką, między którą a Gankiem są Żelazne Wrota, przybyłem wreszcie do końca Litworowej doliny i dostałem się na Polską

Przełęcz, a stamtąd do uroczej doliny Wielkiej (Felki), ozdobionej dwoma stawami, wyżej Długim, niżej Wielkim, zamkniętej z lewej strony Sławkowskim, z prawej Gerlachem, a ku południu mającej przed sobą malowniczy krajobraz spiski. Gdym się zbliżał ku górnemu końcowi Wielkiej, przywitało mnie zniecka donośne gwizdanie świstaków, co mnie bardzo ucieszyło, był to bowiem dowód, że nie wytępiono ich tam jeszcze ze szczętem. Wszedłszy do doliny, pokazywał mi Wala nory świstacze letnie i zimowe, i znalazłem je wogóle tak, jak je z opowiadań górali opisałem w rozprawie O świstaku. Gdy wreszcie już mrok zapadł, zeszliśmy ku niższemu stawowi, przenocowaliśmy tam pod ogromnym głazem tak nachylonym, że w razie potrzeby, jakie takie daje schronienie, skąd też strzelcy tego rodzaju kryjówki żartobliwie kolebami nazywają. Jak w takich razach prawie inaczej być nie może, tak i my przez całą noc paliliśmy ogień, który nam wprawdzie był dogodny, ale zato mnóstwo zwierzątek nocą latających i światłem zwabionych pozbawił życia, jak to i po wszystkich szafasach się dzieje.

Nazajutrz t. j. 9 września miałem iść na szczyt Gerlachowski; wszakże inaczej się stało, albowiem raniutko już wybrało się nań ze Szmeksu liczne towarzystwo myśliwych na kozice, a naganiacze, z którymi się zszedłem we Wielkiej na jej górnym wale poprzecznym, dali mi do zrozumienia, że nie mam iść na szczyt wspomniany, abym nie popsuł panom polowania<sup>1)</sup> Trzeba było ulec konieczności, a nie mając ochoty iść do Szmeksu, zażądałem od Wali, aby mnie prowadził dalej okolicami, gdzie jeszcze nie byłem w latach 1864

---

<sup>1)</sup> Sam Nowicki zwraca w przypisku uwagę, że bliższe szczegóły tej wycieczki zawiera jego artykuł: *Das Murmeltier und die Gemse der Tatra*, zamieszczony w *Krakauer Zeitung* z 10, 11 i 12 września 1866 roku.

i 1865. Wala oznajmił mi program, na który przystałem. Zbierając po kwiecistych upłazkach, szliśmy z Wielkiej stokiem Gerlachu i dalej rumowiskami ku wyniosłej dzikiej dolinie, którą Wala nazwał Czwołą. Zanosiło się na burzę, a gdyśmy przybyli ku wieczorowi do tej doliny, gdzieśmy usłyszeli gwizdzącego świstaka i obaczyli kozicę, dymiły się góry coraz groźniej, gęste mgły objęły nas, a grzmoty srożyły się. Wala przyspieszał coraz bardziej kroku, aby przed zmierzchem jeszcze mógł rozpoznać jedno miejsce, któredy, jak mówił, tylko kozica i człowiek bez zawrotu głowy może zejść do doliny położonej z drugiej strony Żelaznych Wrót i będącej ramieniem doliny Mięguszowej, czyli jej przybytkiem, jak się wyraził Wala. Stanęliśmy wreszcie na końcu doliny Czwoły na ostrej przełęczce pod Kończystą, z której najwięcej wysterkami stromej ściany czyli głazami w mowie Wali trzeba było złączyć ku namienionej głębokiej dolinie, gdzie po rozdarciu się mgły zoczyłem na płacie śniegu kozicę, która nierada z przybyszów tupiała nogą i gwizdała. Wala kazał mi się trochę zatrzymać na przełęczce, a sam poszedł naprzód szukać drogi czyli raczej bezdroża, poczem wnet zawołał, abym szedł za nim. W burzy i ulewie milcząc złączyliśmy najrozmaitszym sposobem po oblanej ścianie, Wala i drugi góral obładowani rzeczami, ja zaś pudełkami ze zdobyczami zoologicznymi, chroniąc je starannie od zamoknięcia, lubo każde nieuważne stąpienie lub przypadkowe zaczepienie się suknią o ścianę, narażało na złamanie karku. Dostaliśmy się wreszcie szczęśliwie do wspomnianej doliny, gdzie malowniczo rozrzucone grupy limb są dogodnymi zimowiskami dla kozic, jak twierdził Wala. Nie było wszakże czasu do zastanawiania się nad tem, gdyż mieliśmy stąd daleką jeszcze i mozolną drogę do głównej doliny Mięguszowej, dokąd zdążaliśmy do szafasu na noc. Burza nie ustawała. Kolana moje trzęsły się niezmiernie, ściemniało się coraz bardziej, iż nie można

było patrzeć pod nogi i zobaczyć, gdzie się ma stąpać, a przechodząc koło Stawu Rybiego (Popradowego) przypatrzeć się pstrągom licznie tam żyjącym. Pomimo ómy grubej Wała nie stracił ani razu słabych śladów perci owczej, lubo od roku 1860 nie był w tej dzikiej i pustej okolicy, gdy tędy prowadził Łosia z Warszawy. Zmęczeni do upadłego, przybyliśmy wreszcie nocą do szałasu w dolinie Mięguszowej. Wała, utyskując, iż się cukier w przemokłej torbie rozpląnął i że go nie będzie do herbaty, ja zaś przy całej tarapacie rad z tego, że zbiory moje, zawierające liczne nowości i osobliwości, nie ucierpiały żadnej szkody, miałem bowiem na sobie płaszcz gutaperkowy. W szałasie opuszczonym rozgospodarowaliśmy się na dobre i przenocowaliśmy.

Ze świtem dnia następnego, który obiecywał pogodę, ruszyliśmy dalej w drogę. Zachwycąłem się niewymownie pięknymi grupami gór, Szczerbską i Pośrednim Wierchem na lewo, Mięguszową na prawo, wśród których znajdowałem się i których szczyty słońce coraz niżej ozłacało. Zbierała mnie z początku ochota udania się na Krywań, którego szczyt zapraszająco wzywał z poza Szczerbskiej; zważywszy jednak, że musiałbym z niego wracać okolicami widzianymi już w r. 1864, zwróciłem się ku Stawowi Hinczowemu, a stąd ku szczytowi Mięguszowej, zwanemu Małą Przełęczką, i wyszedłem nań około południa, już po drodze zbierając, już też przypatrując się starym wykopaniskom świstaków lub świeżym śladom kozic, które, uciekając przed nami, znikły w okolicznych szczytach. Nadzieje moje, że na szczycie Mięguszowej może uda mi się odkryć gza (*Vestrus*), którego rupie żyją pod skórą kozicy, nie ziściły się. Widok z pomienionego szczytu naokoło jest prześliczny, bezdroże zaś stromemi ścianami, kędy można zejść ku Czarnemu Stawowi, kędy chodzą zuchwali skrytostrzelcy na kozice, co najmniej ponętne i wygodne, zwłaszcza jedno wąziutkie miejsce



nizej szczytu nad przepaścią. Nie dziw więc, że Wala zawczasu poważnie nakazywał nie patrzeć w dół ku Morskiemu Oku, aby się głowa nie zawróciła. Przeszliśmy jednak bez szwanku to przykre miejsce, a napatrzywszy się nad Krzyżem kierdelowi kozic na śniegu igrających, aż nas nie zwietrzyły i uszły ku Rysom, dostaliśmy się wreszcie ku Czarnemu Stawowi i Morskiemu Oku, gdzieśmy wypoczęli. Tymczasem zniżyło się słońce do zachodu, a dymiące szczyty zapowiadały słotę. Jakoż niebawem rosić poczęło.

Odstąpiwszy po naradzie z Walą od pierwotnego zamiaru zwiedzenia tym razem potężnego Lodowego, na którym jeszcze nie byłem, zwróciłem się z doliny Białki ku Wołoszynowi, przenocowałem w Rostoce pod Czubą i powróciłem do Zakopanego dnia następnego przy rześmistym deszczu, gdy tymczasem hale i turnie okryły się śniegiem. Słota nie ustawała, a ja, nie mając czasu do stracenia, odjechałem w kilka dni z Zakopanego. Gdym z Lubonia, skąd piękny widok na Tatry, spojrział ku nim, wisiały nad nimi czarne chmury, a hale i turnie białeły śniegiem, przyczem pojedyncze szczyty i doliny doskonale się uwydatniały.

Ale zapalony do swych poszukiwań przyrodniczych, Nowicki nie zrażał się żadnymi przeciwnościami, a gdy tylko przyszło lato i wakacje, najchętniej jechał do Zakopanego, jak zresztą tyłu przed nim i po nim. „Pomimo tylokrotnego zbiedzienia się na wycieczkach w r. 1864 i w następnych latach — są własne jego słowa — przyciągają mię Tatry czarodziejską siłą ku sobie, ilekroć, z mieszkania mego w Krakowie patrząc na ich wyniosłe szczyty, wspomnę na doznane tam wrażenia, i na skarby przyrodnicze jeszcze nie odkryte.“ Albowiem:

Jak Tatry czarodziejski wywierają wpływ na miłośnika przyrody dzikiej i olbrzymiej, a przecież pełnej wdzięku i uroku im tylko właściwego, jak one nastreżyły bogaty przedmiot zajęcia poetom i malarzom, tak też wielce zaciekawiają przyrodnika osobliwymi płodami swemi, a niemniej geografa, historyka i etnografa, jak bowiem obecnie rozmaite do nich przypierają plemiona, różniące się pochodzeniem, językiem, pojęciami religijnymi i obyczajami, tak już w zamierzchłych wiekach zamieszkiwały podnóża tych gór ludy, których pochodzenie dotąd nie jest dostatecznie wyjaśnione, a w późniejszych pobliskie okolice były wciągane w wir wypadków, co wstrząsały Europą. Dostatecznie wspomnieć przybycie Madziarów, napady Hunnów, wojny husyckie, rozmaite rokowania między koroną polską a węgierską w wiekach XV XVI, iż pomnę wstrząśnienia całych Węgier za Tökölego lub Rakoczych i inne. Na to wszystko patrzyły Tatry nieraz dość zbliżka. A co do ludu, jakaż to różnica między naszym Podhalańcem a Liptakiem, chociaż oba Słowianie, albo między nimi a Niemcem spiskim, albo gdybyśmy, porównując usposobienie i obyczaje ludów górskich, obok naszego Podhalańca postawili Hucuła lub Bojka. Poznawać więc Tatry z tem, co je najbliżej otacza, i obracać to na pożytek nauki, powinno być rzeczą honoru dla wszystkich, mogących w tym względzie dorzucić ziarnko do miarki.

W roku 1867 prof. Nowicki przedsięwziął wycieczkę na Babią Górę i w Tatry w drugiej połowie sierpnia „w porze więc dla badań zoologicznych nieco spóźnionej“. Do Zakopanego przybył w dniu 14 sierpnia. Zastał tu już dra Janotę, „bawiącego dla czynienia pomiarów barometrycznych“, a gdy jeszcze tego samego dnia przyjechał dr. Czerkawski, „zajmujący się badaniami

etnograficznymi i florystycznymi“, postanowili razem obejść część Tatr zachodnich.

Nie chcąc tracić czasu, zwłaszcza, że pogoda zapowiadała się prześliczna, Nowicki wybrał się z Maciejem Sieczką zaraz następnego dnia w drogę, gdy tymczasem Janota i Czerkawski z przewodnikami Wałą i Tatarem mieli wyjść z domu nazajutrz. Spotkać się miano na Krzyżnem. Oto, jak tę wycieczkę opisuje Nowicki w swych Zapiskach z fauny tatrzańskiej:<sup>1)</sup>

Idąc reglami od Kuźnic przez Jaszczurówkę i popod Kopieniec ku polanie Waksmundzkiej, gdzie w szalacie zanocować postanowiłem, zbierałem, co mi się po drodze nadarzyło, dopytując się Sieczki o szczegóły z życia zwierząt tatrzańskich. Udzielił mi on w tej mierze niemało wyjaśnień. I tak np. o niedźwiedziu, iż po naszej stronie zdarza się już bardzo rzadko, przybывая zapewne z Tatr orawskich lub spiskich, że kryje się w reglach, najczęściej zaś błąka się między kosodrzewiną. O wilkach rzadko słyhać, bo ich trują na Orawie i Liptowie. Lisów jest także mało, zdarzają się w kosodrzewinie, polują na myszy i norniki, w jesieni zaś żywią się borówkami i bruśnicami, co strzelcy chcą poznawać po kale. Sarn bywało czasem wiele po reglach należących do państwa szaflarskiego, również przy Bukowinie i Orawicach, ale wtedy znęcały się tam wilki i tępiły je, jak się wyraził Sieczka, na pogoń, t. j. jeden wilk zasiadał przy wodzie, a drugi je gonił.

W dalszej drodze reglami zboczyłem do ukrytego w nich stawku Toporowego w zamiarze łowienia wazek. Przedzierając się gąszczem zasłanym borowiną

<sup>1)</sup> Sprawozdania Komisji Fizjograficznej Tow. Nauk. Krakowskiego, Tom II, str. 77—89, r. 1868.

bujną, pochód bardzo utrudniającą, spłoszyliśmy kure głąszca, na ziemi żerującą, co nastreczyło sposobność pobaraszkowania z Sieczką o tym ptaku. Głuszca zowią Podhałanie głuchoniem i głuchaniem, o głosie zaś jego mówią, że klepie i syczy. Przebywa on w grubych reglach, pożywając wierzchołki lastrostek świerkowych, pączki jaferowe i bruśnicznik. Cietrzew żyjący w kosodrzewinie i powyżej lasów, nazywa się u nich kohutniakiem, o głosie zaś jego mówią, że hurkoce. Miejsce, gdzie tokują samce i samice głuchaniów lub kohutniaków, nazywa się hamiskiem. Na oba te ptaki polują na wiosnę podczas tokowania; pochwytyją je także orły, tak iż jest ich już bardzo mało. Więcej jeszcze ma być w Tatrach jarząbków pośród buków.

Stawek Toporowy, którego brzegi prawie aż do samej wody zarosły drzewem, nie ma wygodnego przystępu. Podkradaliśmy się do tego stawku, ile można było, cicho, gdyż mówił mi Sieczka, iż bywają na nim dzikie kaczki, i radbym był takowe zobaczyć. Nie zastaliśmy wszakże ani jednej. Nad plosem stawku uwijały się ważki... Na samej wodzie ślizgały się liczne nartniki... Tuż nad nią płaśały roje much... W wodzie pelzało mnóstwo poczwarek ważek... Na brzegu lasu nałowiłem rozmaitych owadów, zwłaszcza komarów.

Niedaleko polany Waksmundzkiej, gdyśmy pośród lasu przybyli na miejsce znacznej rozległości оголоcone z drzew, odezwał się Sieczka: „Widzicie, to my nazywamy łomem lasu, bo te świerki halny wiatер wyłamał“. Zaciekawiony nazwą, zaraz począłem wypytywać Sieczki o tym wietrze...

O zmroku zwróciłem się ku szalasowi na polanie Waksmundzkiej, by tam zanocować. Księżyc, wypłynąwszy na czysty strop niebios, oświecił okolicę i mgłę ponad ziemią zawisłą, a my tem niby srebrnem morzem kroczyliśmy żwawo naprzód, aż nas przywitało najpietw

szczekanie czujnych psów owczarskich, beczenie owiec i dzwonki bydła rogatego, potem „Pochwalony Jezus Chrystus“ juhasów, którzy nas gościnnie przyjęli i w szopie na sianie noclegu użyczyli.

Nazajutrz raniutko ruszono dalej, a przeszedłszy dolinę Waksmundzką między Koszystą i Wołoszynem, udano się na zachodnie zbocze tego ostatniego. Wspinając się po stromych ścianach aż w krainę turni, Nowicki wciąż entomologizował.

Nachodziwszy się wzdłuż Wołoszyna, przyczem przedzierając się przez bardzo stromy żleb śniegiem zasłany, omal że nie spadłem w przepaść, zdążyłem dobrze z południa na Krzyżne, skąd w dzikiej dolinie Pańszczycy ujrzałem Dra Janotę i Dra Czerkawskiego, idących z przewodnikami ku mnie. Zejście się wśród pustyni martwych głazów kilka tysięcy stóp ponad ostatnimi mieszkańcami wzniesionej, wprawia zawsze w radość, tem więcej zejście się przyjaciół, badaniem przyrody zajętych; to też przywitaliśmy się nawzajem radośnemi okrzykami, rozlegającemi się daleko po turniach. Posiliwszy się wspólnie na Krzyżnem, po krótkim wypoczynku przy wesołej gawędzie, każdy z nas zajął się dalej swoim zadaniem, party gorliwością, która nie pozwala tracić czasu. Ale człowiek myśli, a Bóg kreśli. Otóż ni stąd ni zowąd jakieś лихо nadało zwierzątko, które przestraszone głosami ludzi przemkło się z jednej kupy głazów pod drugą. Łaska! łaska! krzykli naraz przewodnicy i poczęło się gorące polowanie na nią. Przewracaliśmy skwapliwie z wysileniem głaz za głazem, ale łaska zwinniej przemykała się między nie, wytykając czasem główkę, i znowu znikwała, jak gdyby szydziła sobie z nieporadności swych prześladowców i pewną była swego życia. Pot obfity lał się z każdego, a nie było nadziei ułowienia jej, wreszcie poniechano

tego zamiaru, zwłaszcza gdy Dr. Janota, lubownik fauny ojczystej, zburczał nas gniewnie.

### Tymczasem

słońce chyliło się już za wierchy, a przewodnicy naglili nas do dalszego pochodu. Przed opuszczeniem Krzyżnego przypatrywaliśmy się jeszcze trochę kierdelowi kozic igrających w końcu doliny Pańszczycy, widzianych i podziwianych przez Dra Janotę i Dra Czerkawskiego już po południu z pod Koszystej. Widok ten cieszył nas tem więcej, ile że do oplacania straży myśliwskiej w Tatrach najwięcej dotąd przyczyniałem się ja z Drem Janotą, a kroki przedsiębrane w obronie kozic i świstaków poczynają odnosić pożądane skutki, polowania bowiem na te zwierzęta zmniejszyły się nieco, i dlatego też przymnożyło się ich już trochę, mianowicie kozic, nawet po naszej stronie w turniach od Świnicy po Wołoszyn. Strażnicy Wala i Siczka, nasi przewodnicy, czuli się bardzo zadowoleni tem, żeśmy mieli dowód sumiennego pełnienia ich obowiązku.. Bóg daj, aby tę sprawę i zinał wspierano.

Wreszcie na dane hasło puściliśmy się w drogę z Krzyżnego ku głębokiej i przepaścistej dolinie Rostoki. Zejście do niej stromem południowem zboczem, jak z pieca na łeb, było nużącym i niełatwym, zwłaszcza o zmroku; spuszczaaliśmy się wszakże coraz głębiej, aż noc zapadła i postanowiono nocować. Rozłożyliśmy się zatem w kosodrzewinie poniżej ujścia dzikiej i wysoko położonej doliny Buczynowej, a przewodnicy rozpalili tęgi ogień, buchający naokoło iskrami w noc ciemną, i sporządzili wieczerzę, która, acz bardzo skromna, smakowała wybornie. Posilonym wróciła wesołość, a gdy wkrótce i księżyc wypłynął z poza Lodowego na czysty strop niebios i oblał swem bładem światłem fantastyczne kształty czarnych turni, które nad nami dookoła sterczały, używaliśmy widoku nie do opisania zachwycającego, który wprowadził nas w głębokie zaduma-



nie i rozkołysał naszą wyobraźnię. W takim nastroju bylibyśmy niezawodnie całą noc bezsennie przepędzili, gdyby nie uwaga na konieczną potrzebę chociaż krótkiego snu dla pokrzepienia sił naszych, gdyż nas jeszcze kilkodniowa po górach czekała wędrówka. Ułożywszy się więc mogami ku ogniu, na posłaniu sporządzonem z borowiny skoszonej, a polecivszy się opiece niebios i zdawszy się na dyskrecję pryskającego ognia, że nas nie poparzy i nie spali, jak liczne owady nocne, które znęcone jego blaskiem wlatywały w płomień i w nich ginęły, po krótkiej wesołej gawędce już późno w noc sen skleił nam powieki, a był on snem słodkim, jakim się tylko po utrudzeniu i w czystej bożej przyrodzie zasypia.

Minęła szczęśliwie noc cicha, ale potężnie chłodna, a gdy już słońeczko ozłociło najwyższe szczyty, ruszyliśmy z noclegu dalej w drogę z zamiarem dojścia na noc do Rybiego, czyli Morskiego Oka. Zboczem popod Kozi Wierch zmierzaliśmy ku rozległej ale dzikiej dolinie Pięciu Stawów. Przyszedłszy do niej, rozeszliśmy się po krótkim odpoczynku w różne strony, każdy w celu badań, jakie miał na oku. Dr. Janota udał się na Kozi Wierch, przez turystów jeszcze niezвідzony, i wykonał na szczycie pomiar wysokości, ja zaś z Dr. Czerkawskim zostaliśmy w dolinie przy środkowym czyli Wielkim Stawie i tam robiliśmy nasze poszukiwania.

W południe zebraliśmy się znowu przy Wielkim Stawie, gdzieśmy zastali liczne towarzystwo gości, zdążających ku uroczemu Morskiemu Oku, głównemu celowi zwyczajnych wycieczek turystowskich. Wnet po ich odejściu ruszyliśmy także i my ku temu stawowi, zwykłą percią przez Opalone. Przy Morskiem Oku było prócz polskiego także liczne węgierskie towarzystwo, gości więc razem tak wiele, jak rzadko kiedy. Węgrzy, rozłożeni na pobliskiej polanie, mieli z sobą gulasz, wino zieleniakiem zwane, moździerz, to też

wesoło spędzili noc przy czardaszu. Zapraszali i nas do wzięcia udziału w swej biesiadzie, lecz nam trzeba było wypoczynku do dalszej wędrówki, lubo wyznać trzeba, że posilenie się gulaszem, byłoby się nam bardzo przydało, gdyż zasoby żywności naszej, aby niewiele z sobą dźwigać, już pierwotnie nieobfite, w przeciągu przeszło dwudniowej wycieczki w siedmiu ludzi bardzo zeszczuplały, a co najgorsza, nie mieliśmy mięsa, gdyż nie można go było dostać przed wyjściem z Zakopanego.

Na nocleg udaliśmy się do kolęby, sporządzonej poniżej Morskiego Oka w lesie przez Wałę i Sieczkę, i używanej przez nich w tym samym celu podczas ich wycieczek strażniczych. Kolębę tę stanowił dach z kory świerkowej, umieszczony między dwoma ogromnymi świerkami, oparty z tyłu o ich korzenie, a z przodu podtrzymywany dwoma palami. Już na odwieczny niebo zamgłilo się, najwyższe szczyty ukryły się w chmurach, w nocy nawet nieco rosło. Gdy jednak nie zaczęła odrazu silny deszcz padać, nie straciliśmy nadziei, że jeszcze dni kilka potrwa tak pożądana dla nas pogoda, i pod dachem, chroniącym od zimnego i wilgotnego powietrza, ogrzewani ogniem bez przerwy płonącym, przespaliśmy na posłaniu z gałązek świerkowych noc spokojnie.

Raniutko radziliśmy nad programem dalszej wycieczki. Dr. Janota postanowił wrócić z Sieczką do Zakopanego po uczynieniu pomiaru barometrycznego nad Morskim Okiem i Czarnym Stawem; ja zaś z Dr. Czerkawskim i przewodnikiem Wałę zamierzyłem puścić się przez Mięguszowiecką w Tatry węgierskie. Gdyśmy koło Węgrów przechodzili, zapraszali nas na zieleniaka; wymówiliśmy się wszakże, pomyślawszy sobie: lepiej-abyście nas gulaszem uraczyli. Przy Morskim Oku rozstał się Dr. Janota z nami, poczem brzegiem jeziora zdążyliśmy ku Czarnemu Stawowi.

Stąd zwróciliśmy się ku przełęczy Mięguszowieckiej, wspinając się po ścianie tej góry przepaścistą

bezdrożem, którem kozice chadzają lub strzelcy polują na nie. Na miejscach zasypanych głazami zebrałem trochę pajaków, zaś na kwiecistych upłazach halskich odkryłem nowe muchy. Na przełęczu samej wytchnęliśmy trochę, poczem, zbierając po zboczu i podziwiając kozice, których orli wzrok Wali dopatrywał w dali, spuściliśmy się do pustej i samotnej doliny Mięguszowieckiej. Nad stawem zasiedliśmy na wypoczynek, ciesząc się widokiem zarówno ciekawych naszych odkryć naukowych, jak rozrzuconych kiedelów kozic, igrających po płatach śniegu, szarzejącego się na wspaniałych okolicznych turniach. W samej dolinie podkradliśmy się na jakie 50 kroków ku kozicy, dumającej na skalistym wzgórku, który górale zowią bułą.

Ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, wypadło nam tu zanocować. Gdy wszakże na tej wysokości nie było ni drzewa, ni kosodrzewiny dla utrzymania ognia przez noc całą, gdy zresztą zabrakło nam posilnej żywności, postanowiliśmy iść dalej i zwróciliśmy się ku końcowi Pośredniego Wierchu, przytykającego do głównego grzbietu Tatr. Przeszedłszy grzbiet, spuściliśmy się do długiej doliny Hlińskiej, ciągnącej się między Hrubym i Pośrednim Wierchem, aż do doliny Koprowej czyli Ciemnych Smreczyn. Ciemniało coraz bardziej, a przyśpieszony nasz pochód przez morze głazów zawałających górny koniec Hlińskiej, poniżej zaś przez gąszcz kosodrzewiny i regli, utrudził nas bardzo; wreszcie nadzwyczaj znużeni przybyliśmy do górnego szałasu Koprowej, gdzieśmy zanocowali, złożyłwszy hołd uznania niezrównanemu przewodnikowi Wali za to, że pomimo ciemnej bardzo nocy nie zmylił drogi i doprowadził nas do pożądanego przybytku. Baca, dawny znajomy Wali, przyjął nas gościnnie i jak mógł uczęstował, my zaś nawzajem jego i juhasów.

Przebudziwszy się zrana, 19 sierpnia, każdy z nas czuł się ociężałym z zmęczenia wczorajszego, a jeszcze więcej dlatego, że nam jakoś czczo było w żołądku.

Nie było więc, prawdę powiedziawszy, wiele ochoty do wczesnego wyruszenia na szczyt Krywania, dokąd w tym dniu udać się postanowiliśmy. Dopiero po śniadaniu i orzeźwieniu się na świeżem powietrzu wyruszyliśmy z szałasów około 8-ej godziny.

Dzień był pogodny i zapowiadał upał. Idąc przez polanę reglową, nadarzył się nam na ścieżce piękny okaz padalca, na ostach siedziało kilka okazów motyla *Parناسи us Apollo*, które nas bardzo ucieszyły, zwłaszcza, gdyśmy sobie z Wałą przypominali, gdzieśmy go dawniej łowili na trachitowej górze Bryjarce nad Szczawnicami.

Przybywszy na obszerny zrąb, bujno zarosły wysoką wierzbówką i innym kwieciem, spostrzegłem mnóstwo snujących się owadów wszelkich rzędów. Nie śpieszyło mi się więc pomimo nalegań Wali opuścić miejsce, obfitą zdobycz obiecujące, a że było już nieco późno i nogi nasze jakoś się plątały, odłożyliśmy wycieczkę na szczyt Krywania na dzień następny, poczem aż do wieczora na zrębie entomologizowałem. Dr. Czerkawski zaś w okolicy botanizował. Wieczorem wróciliśmy z naszymi zdobyczami do dolnego szałasów w dolinie Koprowej i tam zanocowaliśmy.

Raniutko 20 sierpnia puściliśmy się na Krywań, z jednej strony położysty, z drugiej zaś stromo aż do dołu skrzesany. Wyszędźszy na hale, bujną trawą i kwieciem porośłe, zdążaliśmy do góry wygodną drogą prowadzącą do kopalń oddawna zaniechanych. Przed południem dostaliśmy się w krainę turni, a przeszedłszy zwaliska podszczytowe, wyszliśmy na płaski, ale wąziutki szczyt Krywania, skąd uroczy roztoczył się przed nami na wszystkie strony widok.

Koło piramidy mierniczej rozłożyli przewodnicy ogień, zgotowali ryżu i herbaty na wodzie ze śniegu stopionego, przypiekli też na patyku nad żarem kawałek sera owczego, i to stanowiło nasz posiłek. Zrazu było pogodnie, później zaś pędziły szczytami chmury,

które nam okolicę zakrywały. W drewnianej skrzyneczce koło piramidy znaleźliśmy papier, zapisany przez inżyniera węgierskiego wierszami angielskimi, węgierskimi i słowackimi. Dopisaliśmy z dr. Czernkowskim i nasze nazwiska na pamiątkę naszej tam bytności. Na pamiątkę zwiedzenia szczytu Krywania w sierpniu 1840 r. przez saskiego króla Fryderyka Augusta postawili tamże Węgrzy żelazny pomnik, który wszakże później, po wydaniu przez rząd saski jednego z węgierskich patryotów w ręce Austrii, doszczętnie zniszczyli,<sup>1)</sup> tak, że obecnie widać z niego tylko rozrzucone kawałki żelaza, a i tych wnet nie stanie, bo przybysze strącają pozostałe resztki w przepaść bezdenną.

W uroczych turniach, otaczających szczyt Krywania, pokazywały się gromadki kozic, z których jedna liczyła 28 sztuk. Wzmianki godnem jest złudzenie, że kozica, stojąca w oddaleniu na samym wierzchołku turni, tak iż poza nią widać było tło niebios, wyda-

---

<sup>1)</sup> Kiedy Steczkowska w r. 1857 była na Krywaniu, pomnik ten stał jeszcze nienaruszony. „Z grzbietu Wierchcichej... widać już doskonale gołem okiem słupek żelazny, postawiony na Krywaniu na pamiątkę bytności króla saskiego Fryderyka Augusta 4 sierpnia 1840 r.“ Z relacji Steczkowskiej okazuje się, iż wykute pod szczytem Krywania otwory w litej skale, w które wstawia się nogi przy przejściu przez to przepaściste miejsce, istniały już w r. 1857. „Pozostała nam jeszcze do przebycia — pisze Steczkowska — najwyższa, a może i najwięcej trudząca część drogi, t. j. złomy kamieni, zalegające do znacznej wysokości pochyłość Krywania, i sam szczyt jego z litej składający się opoki, w której dla ułatwienia wejścia wykuto stęple czyli stopnie.“

O tych stemplach tak pisze Łapczyński w swoim opisie Łata pod Pieninami i w Tatrach: „Gdzie grube

wała się nam, patrzącym ze szczytu Krywania, większą, aniżeli jest w istocie.

Przed wieczorem wróciliśmy z Krywania tą samą drogą do dolnego szałas w dolinie Koprowej, a że dla braku posilnej żywności opadliśmy byli na siłach, uradziliśmy wracać do Zakopanego. Aby sobie drogę dnia następnego nieco skrócić, poszliśmy do górnego szałas w nadziei, iż tam zanocujemy. Gdy wszakże ten szałas był przepełniony ludźmi, puściliśmy się dalej w drogę ku kosodrzewinie, by tam nocować. Lecz Wała, który przedtem jeszcze był zaniemógł, ustał niebawem zupełnie, a gdy i noc zapadła, rozłożyliśmy się przed świerkiem na podmokłym trawniku na nocleg. Zimny wicher przejmował nas do kości i mącił ogniem; przepędziliśmy więc noc bezsennie, co nas doreszty z nóg zważyło.

O świcie ruszyliśmy dalej w drogę, by skostniałe członki cokolwiek rozruszać, jednakże poczuwszy już po krótkim pochodzie przez regle potrzebę spoczynku, położyliśmy się na polanie i przespali trochę. Wstaw-

łomy pokruszonych granitów na stosy zgarnięte spoczywały, tam podróż była pracowita; gdzie zaś granit leżał pochyło niezwiertzałemi ławami, trudną, gdyby nie pamiątka po królu saskim i gniazdo co krok dla nogi w kamieniu wykute. Wojciech, który te gniazda stemplami nazywał, idąc niemi, wykrzykiwał: „Chwalić Boga, co ten niemiecki król miał takie żelazne nogi, że dziury w skałach deptał, jak w rozmokłej glinie; a to byłoby źle“. O samym pomniku na szczycie pisze tenże Łapczyński: „Na łomach granitów leżą resztki powalonego przez burzę rusztowania i wielka łana żelazna tablica na pamiątkę pobytu króla saskiego, zaciągnięta tu zapewne z niemałym trudem. Na tablicy obszerny napis po węgiersku, z którego tyle wyrozumiałem, że król saski Fryderyk August wszedł na Krywań 4 sierpnia 1840 roku.“



szy, wlekliśmy się dalej. Około południa dotarliśmy do przełęczy Goryczkowej... Z przełęczy spuszczałyśmy się ku Zakopanemu. Przybywszy do karczmy dworskiej przy kuźnicach, daliśmy sobie sporządzić posiłek z mięsa, który po kilkudniowym życiu ryżem, herbatą, żętycą i serem, wybornie smakował. Wskutek wypoczynku nogi długą wędrówką wysilone każdemu z nas tak zeszywniały, iż odbycie kawałka drogi od Kuźnic do wsi zdawało się uciążliwszem, niż wycieczka na który z najwyższych wierchów tatrzańskich.

Wywczasowawszy się w Zakopanem dzień jeden, pożegnałem Dra Janotę i mego czcigodnego socium doloris Dra Czerkawskiego, i odjechałem do Krakowa, zabrawszy ze sobą owady przez Wałę i Sieczkę dla Komisji fizjograficznej zebrane.

Owocem naukowym tych Nowickiego wycieczek w Tatry były prócz pomienionych „zapisek“ dwie wyczerpujące monografie zoologiczne: jedna z roku 1865, *O świstaku*, pierwotnie drukowana w Rocznikach Tow. Nauk. Krak. a osobno wydana nakładem Kaźmierza hr. Wodzickiego, znanego ornitologa, i druga z r. 1868 o *Kozicy*, zrazu wydrukowana w dwóch zeszytach *Przeglądu Polskiego*, a potem wydana osobno. Pisane, jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Nowickiego, z prawdziwym talentem literackim, są to dwa cenne klejnoty w naszej literaturze przyrodniczej, nie tylko jako fachowe studia, ale i pod względem artystycznej wartości. Obie rzeczy stoją zupełnie na wysokości współczesnej wiedzy entomologicznej europejskiej, nie to jednak, co w nich jest poczerpnięte z dzieł znakomitych zoologów zachodu, jest najbardziej zajmujące, choć

jako podkład jest konieczne, ale co autor miał do zawdzięczenia Jędrzejowi Wali, Maciejowi Sieczce i Szymonowi Tatarowi.

W rozprawie O świstaku do najciekawszych kart należą te, do których obserwacyjnego materiału dostarczyli Jędrzej Wala i dr. Janota. Oto np. jedna z obserwacji Wali o strażnictwie w życiu tych zwierzątek.

Po obeschnięciu rosy świstaki z nor wylażą, rozchodzą się po upłazku w różne strony, a gdy się inne pasą, jeden straż trzyma, i tak mi się widzi (słowa są Wali), że zwykle samica. Stróż upatrzwszy sobie blisko nory kamień najwyższy, włązi nań, siedzi tamże jak wryty w postawie stojaczka i bacznie wodzi okiem po szczytach i niebiosach, azali niema gdzie drapieńczy dwunożnego lub orła krążącego, którego tak się boją świstaki, iż skrywszy się przed nim w norę około południa, nie wychodzą z niej aż rano, a gdy znikły w poranku, nie wylażą aż pod wieczór. Po szczytach ma stróż tak umiarkowane kamienie, że gdyby skradający się nieprzyjaciel przyczaił się poza którym z nich i patrzył ku świstakom, stróż wnet go dostrzeże, i natychmiast raz na swych towarzyszków gwizdnie, ostrzegając, że już coś przybyło. Te uciekają najpierwej, po nich stojące na straży wtedy, kiedy nieprzyjaciel się przybliża, a że świstaki jednego towarzystwa na upłazku nie razem pasają się, lecz się po nim rozsypują, przeto uciekając, wpadają jedne w rozpadliny skał, a drugie do nory, gdzie który dopaść może. Kamień stróża można poznać po ziemi, którą tenże z siebie strzepuje i ciężarem ciała udeptuje. Jeśli zamiast stróża dopatrzy inny członek towarzystwa lub kilka z nich nieprzyjaciela, wtenczas z tych jeden w mgnieniu oka przybrawszy postawę stojaczka, ostrzeżę gwizdaniem o niebezpieczeństwie. Towarzystwo składa się z rozmaitej ilości

członków. Raz wykopałem jedenaścioro i to same samce; zwykle bywa ich mniej aż do pary, a nawet znalazłem samotnego świstaka (zapewne niedobitka lub wygnańca z grona rodziny). Razem spoczywającego towarzystwa w porze żerowania nie zdarzyło mi się natrafić...

Tenże Wala miał przez dłuższy czas świstaka w domu u siebie. Wychował go od maleńkiego. Straszna z niego była pociecha.

Latem chodził do ogrodu na paszę i wracał sam do domu; dzieciom brał z rąk placek, moskałem w Tatrach zwany, otrzepywał z pcheł i prochu łapki, gdy dostał się z ziemi na ławę lub stołek, pchał się między śpiących do łóżka, wyłaził po schodach na strych, skąd, przegryzłszy w dachu dziurę, rozzierał się po okolicy i gwizdał, gdy przechodzili nieznajomi mu ludzie, z dziećmi wyprawiał różne hece, iskał je zębami, na przechód szedł w zakątki, był ulubieńcem całego domu.

Takim samym ulubieńcem całego domu stał się świstak, którego przez pięć lat miał u siebie dr. Janota. Píše on o nim w obszernym liście do Nowickiego, zacytowanym przezeń *in extenso*, między innymi, co następuje:

Świstak był zrazu dość dziki, a raczej lękliwy, niezawodnie źle się z nim obchodzono; za zbliżeniem się człowieka stawał na tylnych łapkach w kąciaku lub przy ścianie i świstał. Wzrok jego świadczył najwymowniej o tem, że się boi i prosi o litość nad sobą. Później już tego nie czynił, chyba gdy się czego zląkł. Zaraz z początku dał się głaskać i nikogo nie kąsał. W krótkim czasie bardzo się obłaskawił i rozeznawał dobrze domowników od obcych, których w ogólności nie lubił... Głos i chód domowników tak dobrze umiał rozeznac

od głosu i chodu obcego człowieka, że w wieczór, nawet śpiąc dobrze i w innym będąc pokoju, poczuł przybyłą osobę obcą. Wtedy przybiegał, rżąc jak konik, najeżony i ogonkiem mocno machając, starał się obcego ztyłu w nogę ukąsić, i mimo wszelkiej uwagi udało mu się to ze dwa razy. To jeżenie się, silne machanie ogonkiem i rżenie uważałem także zawsze, ile razy go kto rozgniewał. Uważałem i to, że osób nie lubiących zwierząt i wogóle bez czucia i on znieść nie mógł. Na zawołanie lub trzaskanie palcem przychodził do mnie we dnie i w nocy.. Nie lubił wrzawy, hałasu i wrzasku; ile razy kto zbyt głośno mówił, natychmiast przychodził on gniewny i drżący, aby się przekonać, co to jest. Gdy mieszkający u mnie uczniowie czasem trochę hałasowali, zaraz przybiegał rozgniewany, aby przywrócić spokój. Zabawne to były sceny; chłopcy uciekający po pokoju koło stołu, a za nimi świstaczek. Poglaskaniem zawsze go udobruchałem. Przytem widziałem także, jaka jest jego chyżość biegu, bo nieraz dobrze trzeba było przed nim zmykać, aby nie zostać uchwyconym za łydkę, lub zgoła wejść na stołek albo nawet na stół, bo i na stołek świstaczek potrafił wyskoczyć. I to nieraz widziałem, im kto więcej się go bał albo przed nim uciekał, tem on też był śmielszy, a wcale już nie mógł znieść, jeżeli kto, bojąc się go, zasłaniał się przed nim laską lub czemś podobnem. Ponieważ świstak, zostawiony sam, robił mi szkodę, dałem zrobić obszerną, wygodną i jasną klatkę, aby go wtedy tylko do niej zamknąć, gdyby przypadkiem nie było nikogo w domu. Chciałem atoli wprzód wiedzieć, co on będzie robił w tej klatce. Aby i tak już pozbawionemu wolności na krótki czas zamknięcia nie sprawiać udręczenia, nakładłem do klatki siana, myśląc, że się w niem zakopie i chwilkę poleży. Ale uchowaj Boże! Jak biedny zaczął gryźć zasuwę opatrzoną w grube druty, a nawet same druty i pchać się między nie, wypuściłem go natychmiast na pokój, a klatkę wyrzuci-

łem. Mnie raz tylko ugryzł i to przez pomyłkę. Wiedząc, jak to zwierzę było do mnie przywiązane, nic się go też nie bałem; więc gdy się na kogo obcego rozgniewał, uspokajałem go głaskaniem, biorąc go na kolana i do siebie tuląc, albo wsuwałem mu palec do pyszczka poza siekacze. Raz tedy, gdy się bardzo rozgniewał na hałasujących w godzinie wolnej chłopców i zwyczajem swoim wpadł między nich, chcąc najbliższego ukąsić, ja, przyskoczywszy, wsunąłem mu jak zwyczajnie palec do pyszczka, a on rozgniewany, nie poznawszy mojej ręki, ugryzł mnie, rozumie się, raz tylko, bo zaraz po ukąszeniu zmiarkował się i jakiś markotny odszedł do mego pokoju, w którym zwykle przesiadywał. Bardzo lubił pieszczoty; lubił, aby go brać na kolana, głaskać i lekko skrobać. Wtedy tulił się do człowieka, trzymając się łapkami przednimi, i oddając pieszczoty za pieszczoty, iskał po dłoni, po rękawie, koldrę lub poduszkę na łóżku. Chcąc, aby go wziąć na kolana lub wysadzić gdzie, przychodził i obiema łapkami skrobał, jak to pieski nieraz robią. W wyskakiwaniu na sofkę lub wdrapywaniu się na stół lub łóżko okazywał się dość zręcznym. Aby tem pewniej wyskoczyć, rozpędzał się. Gdy nie mógł odrazu wyskoczyć na sofkę lub krzesło, uważając je za wysokie, zaraz gdzie bądź kawałek z nich zębami udarł.

Ponieważ do roku 1863 nie było żadnej ustawy, biorącej w obronę świstaki i kozice w Tatrach, a skrytomyśliwstwo, z zapalem uprawiane przez górali polskich i węgierskich, coraz bardziej zaczęło grozić zupełnem wytępieniem tych zwierząt, więc znaleźli się ludzie z Nowickim na czele, którzy zaczęli czynić starania w celu powstrzymania kłusownictwa tego rodzaju. Oto, co w tej kwestji, na ostatnich stronach swej rozprawy O świstaku pisze Nowicki:

Pierwszy, który w obronie świstaków i kozic tatrzańskich celem zapobieżenia ich wytepieniu wystąpił publicznie, był Fryderyk Fuchs, autor dzieła: *Die Central Karpathen*, w którym dla tych zwierząt wzywa opieki rządu, podając zarazem środki, jakie dla poskromienia skrytostrzelców uważa za skuteczne. Uczciwe Fuchsa za temi biednymi zwierzętami ujęcie się nie poruszyło zrazu nikogo ani u nas, ani też na węgierskiej stronie.

Księża Dr. Janota i Jędrzej Pleszowski, zacni lubownicy przyrody rodzinnej, usiłowali podczas swych wycieczek w Tatry odwieść Podhalań od dalszego wytepienia świstaków i kozic, prosząc także szanownego księdza Józefa Stolarczyka, proboszcza miejscowego, o oświecanie w tej mierze górali z Zakopanego.

Państwo Homolaczowie, właściciele Zakopanego, starali się i starają zapobiec złemu, zaciągając z niemałym wydatkiem koziarzów i świszczarzów do służby dworskiej, odmawiając niepoprawnym zarobku w hutach, odbierając emerytury i innymi sposobami, dowodząc przez to rzetelnego starania o zachowanie kozic i świstaków faunie ojczystej.

Do usiłowań podjętych w Tatrach celem zasłonięcia świstaków i kozic od zagłady dołożył się także autor niniejszej rozprawy. Jeszcze w zeszłym roku<sup>1)</sup> przemówił on w tej sprawie na posiedzeniu zoologicznego Towarzystwa wiedeńskiego... Na wycieczkach w Tatry zasię starał się autor powiększyć liczbę nawróconych przez inne osoby skrytostrzelców i można, jak się zdaje, mieć pewną nadzieję, że świstaki i kozy nie mają się już więcej lękać Staszka Sobczaka, Macieja Sieczki, Szymka Tatara, Jędrzeja Wali, i może też Jaśka Pajaka.

Dla oświecenia ludu prostego napisano książeczkę pod tytułem: *Upomnienie Zakopianów*

<sup>1)</sup> T. j. w r. 1864.





Wycieczka narciarska.  
<http://rcin.org.pl>

(Tatry i Zakopane.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI  
SW. WJCIECHA W POZNANIU ,



i wszystkich Podhalańców, aby nie tępili kóz i świstaków, którą posłano urzędowi duchownym i świeckim na Podhalu z prośbą o rozdanie takiej między lud...

Akcja ta wogóle odniosła w krótkim stosunkowo czasie pożądany skutek, tak dalece, że wielu z pomiędzy kłusowników nie tylko sami zaprzestali polować na świstaki i kozice, ale i innych zaczęli nawracać na dobrą drogę.

Wśród takich okoliczności wyszła w r. 1868 monografia Nowickiego o Kozicy, znacznie obszerniejsza od poprzedniej pracy O świstaku. „Co w tej rozprawie opowiadam — czytamy w przedmowie — nie wziąłem wręcz z dzieł obcych. Owszem, poprzedziły jej napisanie częścią własne spostrzeżenia podczas kilkuletnich wycieczek w Tatry, częścią zaś oględne wywiedzenie się u zakopian, głównie u Wali, Siczki i Tatara, niegdyś myśliwych na kozice.“

Szczegóły podane spisywałem na miejscu podczas mego pobytu w Tatrach, znaczną część pod wrażeniem własnej intuicji. Zestawiwszy sobie potem rzecz w domu, wezwałem Walę i Siczkę do Krakowa, by ją jeszcze raz z nimi omówić i przy tej sposobności uzupełnić, gdyby co przepomniano. Po kilkodniowej pogadance nie stało wreszcie nawet konceptu do pytań i odpowiedzi, i zdawało się, że już przedmiot wyczerpany. Atoli będąc zeszłego roku z Drem Janotą i Drem Julianem Czerkawskim w Tatrach, gdyśmy wzięli w obroty górali, zaproszonych na poczesne i każdy z nas dopytywał się ich o swoje, historia kozicy znowu wzbogaconą została niejednym szczegółem ciekawym. Wtedy to podczas jednej z naszych gawęd Siczka, podparłszy

się na rękę, jakoś się zadumał. „I cóżeście się tak zamysłili, Macieju?“ „E, proszę pana, odrzekł, widziało mi się w Krakowie, żeśmy wam już wszystko a wszystko wygadali o kozicy, a tu przecież jeszcze sobie niejedno o niej przypominamy i to mi dziwno“. Na co odrzekłem: „Moglibyśmy jeszcze lata o tej samej rzeczy mówić, a zawszeby się coś nowego przypomniało“. I zaiste tak jest.

W każdym razie, choć tyle jeszcze dałoby się powiedzieć o kozicach, studjum Nowickiego jest i tak arcydziełem w swoim rodzaju, przyczem obfituje w taką ilość mistrzowsko kreślonych obrazków z życia kozic, że niewiadomo doprawdy, którym dać pierwszeństwo w wyborze. Oto np. ustęp z rozdziału o Zmysłach kozicy, o jej sile wzroku, o jej zachowaniu się na widok człowieka, którego, dostrzegłszy, „czasem odbiega tylko kilkadziesiąt kroków i znowu staje, spogląda chwilę ku niemu, uderzając (cupkając) silnie o ziemię przednią nogą, to prawą, to lewą, lub obiedwiema, gwizdnie potem i dalej uchodzi“.

Niekiedy atoli dotrzymuje uporczywie miejsca nawet zbliżka, jak to raz w r. 1864 na własne widziałem oczy. Pragnąc wtedy przypatrzeć się kozicom samym i ich zachowaniu się na wolności, poszedłem umyślnie w tym celu z przewodnikiem Sieczką i Wałą na Krywań, który jest główną tych zwierząt ojczyzną. Wypatrzywszy gromadkę pięciu kozic, podkradliśmy się ku nim przy pomyślnym dla nas wietrze na jakie sto kroków. Do zaczajenia się nie było innego miejsca jak wąski głąz sterczący z przepaścistej ściany; więc chcąc nie chcąc musiałem korzystać z tej jedynej zasłony. Sparłszy się na głązie, wychyliłem ostrożnie nad wierchołkową krawędź jego głowę po oczy i tak długo sy-

ciłem się widokiem kozic nic nie przeczuwających, przy-  
patrując się im dokładnie, jak się pasły, mierendzały,  
leżały, igrały, nadsłuchiwały i t. p. Napatrzywszy się  
wszystkiemu dosyta i mocno znużony nader niewygod-  
nem położeniem ciała, pokazałem się im wreszcie ca-  
ły, by je znaglić do ucieczki przeze mnie jeszcze nie-  
widzianej. I rzeczywiście cztery z nich, zoczywszy mnie,  
jakby piorunem rażone w jednej chwili ruszyły z kō-  
pyta ku kotlinie, sadząc ogromnemi susy, które po-  
dziwiałem dopóki gromadka nie znikła mi z oczu. Atoli  
piąta kozica, która straż trzymała, stojąc nieopodal  
tamtych na przezrocznej grani, nie pierzchła. Owszem  
została na swoim miejscu i wlepiwszy w nas cieka-  
wie oczy, tupiała przedniemi nogami o turnię, gwizdnę-  
ła raz i drugi i nie dała się skłonić do ucieczki, lu-  
bom ją straszył krzykiem i ploszył machaniem siatki po  
powietrzu. Dopiero po chwili jakby z własnej woli od-  
biegła kawałek, stanęła znowu na czubałku turni, obró-  
ciwszy się ku nam, tupiała nogami i gwizdała, co kilka-  
krotnie powtórzywszy, uszła wreszcie ku wierchom.  
Czy przeczuwała, że jej krzywdy nie wyrządzą? Któż  
to wie! Może też była to kozica, która nie doznawszy  
jeszcze żadnego prześladowania, okazała się wobec  
człowieka tak poufałą. Dotrzymując tak uporczywie  
miejsca strzelcowi, byłaby swą ciekawość czy śmiałość  
niezawodnie przypłaciła życiem. Gdyby zresztą każda  
kozica tak była nieprzezorna i dowierzająca, jak ta  
właśnie, o której dopiero mówiłem, natenczas nie by-  
łoby zaiste nic dziwnego, gdyby je wszystkie w jed-  
nym wystrzelano roku. Szczęściem tak nie jest.

Pisząc o węchu kozic, który jest najbardziej  
rozwiniętym ich zmysłem, Nowicki opowiada taką  
scenę, której sam był świadkiem:

Jeżeli wiatr tak słaby ku nim zawinie, że nie mogą  
z pewnością oznaczyć ani oddalenia miejsca, skąd grozi

niebezpieczeństwo, ani strony, skąd się takowe zbliża, a przeto obrać kierunku ucieczki, wonczas, jak to widziałem na Mięgoszowieckiej, trwożą się, biegają niespokojnie tam i sam, albo stają w kupce, tupkają nogami o ziemię, wyciągają szyję w górę, natężają zmysły do najwyższego stopnia, oko z uchem idą w zawody z wietrzącym nosem, aby wysledzić nieprzyjaciela. Zoczywszy go wreszcie, uspokajają się. Zwiertżywszy zaś się człowieka dobrze, choćby go nie widziały i takowy w znacznej od nich znajdował się odległości, natychmiast uciekają w stronę przeciwną od tej, skąd je wiatr zawiał. Tak przypatrywałem się raz długo z Wołoszyna gromadce kozic pasących się u górnego końca doliny Pańszczycy. Widziały one mnie i mego przewodnika dobrze, nie uciekały jednak, gdyż stojących pod wiatr nie mogły poczuć. Skoro atoli tegoż kierunku się zmienił i zwiertżyły nas, jedna z nich gwizdnęła, a na to hasło wszystkie natychmiast umknęły pędem strzały przez Krzyżne ku dolinie za Wołoszynem.

Opisując tryb życia kozic w kierdelach t. j. stadach, gdy się pasą spokojnie, Nowicki takimi kreśli między innymi sielankowy obrazek:

Czasem atoli, mieniąc się bezpiecznemi, porwie ich chęćka (matura) do figlowania i wtedy to wyprawiają gzy bardzo pocieszne czyli mówiąc góralskim językiem, hukają się. I tak pochyliwszy w bok głowę, postraszy jedna drugą rożkami, lecz jej nie ubodzie, gdyż ta w porę zręcznie na bok odskakuje; niby się strącają rożkami w przepaść, udają jakoby chciały uderzyć w jedno miejsce, aby szybkością błyskawicy rzucić się na inne niestrzeżone, i tak zaczepiają się nawzajem z największą swawolą nie uszkadzając się. Ulubionem miejscem ich hukania się są źleby zasypane starym śniegiem lub pochyłe takowego pomosty na zboczach gór. Kierdelek, przybywszy tam, oddaje się z całą swobodą najswawolniejszym igrom, i tak stare, jako też kozłatka



nader miluchne, to skaczą, to uganiają się za sobą. Czasem wychodzi kierdel na górny koniec śniegu a jedna z kozic zjeżdża po nim dołu z rozpiętymi racicami, już to stojąc przy tem, już też takim sposobem, że przycupnąwszy do śniegu, nogi tylne bierze pod się, przednie zasię przed siebie wyciąga. Podczas tego zjeżdżania towarzyszą jej inne ochotnice zwysoka koło niej hyskające i albo aż do dołu z nią pędzące, albo też po jednej w tyle zostające. Skoro wreszcie zjeżdżająca dopadnie piargu, zrywa się w tejże chwili na nogi i nawraca do góry, a za nią sadzą na prześcigi towarzyszki, skacząc potężnymi susy na wszystkie strony. Wrzekomym tym bójkom i swawolnym igrom możnaby się po całych godzinach przypatrywać, a nie znudzić się, odbywają się bowiem z przedziwną lekkością, nagłością i zręcznością.

Kozice są zwierzętami ostrożnemi, to też gdy pasą się w stadku, jedna zawsze stoi na straży. Najczęściej rola ta przypada kozie, gdyż kozy są wogóle uważniejsze, czujniejsze i gorliwsze w czuwaniu aniżeli capy.

Wartownica trzyma straż w niejakiem oddaleniu i zawsze powyżej kierdela. Na stanowisko obiera sobie przeźroczne piąterko czyli tak zwany po góralsku zapalik, gdzie ma tył zabezpieczony, a wolny widok przed, nad i pod sobą, również na boki. Tam leży lub stoi i mierendza, zachowując wszelką czujność. Czasem pasie się obok zapalika, czuwa jednak i wtedy bez przestanku, poziera bowiem i wietrzy co chwila naokoło siebie, wraca na swój zapalik lub wychodzi na czubek turni, skąd wyprężywszy ciało w górę, rozgląda się na wszystkie strony. Gdy tak stoi na wierzchołku, a poza nią widać tło niebios, patrzącemu na nią z oddalenia mniej więcej w tej samej wysokości wydaje się większą, aniżeli jest w istocie, jakiego to złudzenia sam

doznałem na szczycie Krywania. Koźlątko malutkie jest przy matce i podczas wartowania; starsze trzyma się kierdela, podchodzi atoli od czasu do czasu ku matce, by mu dała possać, w którym też celu matka wstaje, gdy leżała. Piękny to widok pieczołowitości macierzyńskiej obok równoczesnego czuwania nad bezpieczeństwem kierdela! Gdy kierdel pasący się na upłazie przejdzie mimo wartownicy do góry nasycony i legnie, wonczas i ona opuszcza swe stanowisko, idzie, pasąc się, ku kierdelowi, podchodzi znowu wyżej niego i staje na dogodnym zapaliku dla dalszego czuwania. Gdy zaś kierdel dla stromości turni nie może podejść w górę i legnie na upłazku, natenczas zdaniem strzelców wartownica paść się idzie.

W trzecim roku są kozy i capy zdatne do rozrodu, a parzą się zwykle w listopadzie.

Capcy, żyjące latem osobno i jużto samopas już też w kierdelu po kilku, poczynają około św. Michała zbliżać się ku sobie i próbują się, który mocniejszy, a starsze odpędzają od siebie młodszych. Później szukają za kozami, a zdybawszy się w drodze, nie mijają się, lecz się potykają zapalczywie i znowu rozchodzą, czy to z własnego umysłu, czy też po przemożeniu jednego przez drugiego. Dopadłszy kozy z koźlęciem jeszcze ssącym, odpędzają niebożątko od niej, gdy jest capiorkiem; samiczkom dają pokój i te zostają przy matce. Gzy i gonitwy capów po szczytach i dolinach trwają aż do św. Katarzyny. Atoli choćby capy zabawiały się w najlepsze, jednakowoż poczuwszy niebezpieczeństwo zaraz uciekają z miejsca igraszki, stają w pewnem oddaleniu, obcierają się, cupkają nogami o turnię i dalej umykają. Wszakże opowiadano mi, że gdy strzelec wdzieje na siebie czarną cuchę, a głowę podwiąże białą chustką i w takim przebraniu, czyniącem go podobnym do kozicy, skacze po grani, może capa złudzić i znać go dosyć blisko ku sobie, gdy wiatr jest po-

myślny. Cap bowiem na widok tak przebranego strzelca podchodzi ku niemu, mając go już to za capa, z którym radby się pogzić, już też za kozę, którą zalotami swemi chciałby zaszczycić.

Kozice są bardzo czułemi matkami dla małych kozłatek, trzymających się ich wiernie, a gdy matkę dosięgnie kula myśliwca, kozłatko zostaje przy niej i daje się złapać.

O chwytaniu kozłat opowiadał Sieczka, jak następuje. Po zastrzeleniu matki na miejscu, kozłę dwudniowe, leżące przy niej z wyżniej strony, wstało na zadnie nogi, bo się złąkło strzału. W tej postawie zostało tak długo, aż raczkami i bez zaszustania na szuwarku podkradł się ku niebożatku, któremu uszka drgały ze strachu, i chwycił je za tylną nóżkę. Przerażone tem kozłatko wyprężyło mu się w ręce jak struna, potem mierwiło (rzucało) się tak silnie, że je aż przytulił do siebie. Zabrawszy je z sobą, zniósł je na rękach w dół wraz z matką zabita, poczem podniósł jej nogę zadnią, wziął cycek w palce i doił kozłęcium mleko do pyszczka, a ono się oblizywało. Onczas stało spokojne na ziemi trzymane za boki koło przednich nóg; wkrótce wzięło samo cycek do pyszczka i wysssało najpierw jeden, a potem drugi. Do domu niósł je na rękach, związawszy mu poprzecznie szmatą nogi, by się nie wyrwało. W drodze biedniatko chwytalo go z głodu po twarzy jakby za cykiem, a gdy się od piersi jego zagrzało, rozdarło cały pyszczek do oddychania, a pobrzęskiwało od słaboty i głodu. Gdy je Sieczka litością zdjęty rozwiązał i puścił na ziemię, aby nie umarło, szło biedne za nim z 300 kroków, podczas gdy on naśladował głos matki (be-e-e), a potem legło. Wrócił się więc ku niemu i chwycił je pomału rękami, lecz ono wymknęło mu się, hipło ze cztery razy i znów legło. Sieczka skoczył ku niemu i silniej je chwycił, by mu się znów nie wy-

rwalo, ale ono nie ciskalo się już tak mocno jak poprzednio. Tak więc zaniósł je mocno brzeszczące z głodu do domu, gdzie mu z początku dawano ciepłego mleka do pyszczka, później zaś plekano pod kozą domową, nie zdołano wszakże utrzymać przy życiu, bo już po dwu tygodniach zginęło.

Wogóle wychowanie kozłat jest bardzo trudne, wychowane jednak, łatwo dają się oswoić i nawykają do człowieka.

Strzelcowi Sieczce udało się z siedmiu kozłat jedno tylko wychować. Za ciepłym mlekiem krowiem, którym je żywiono, chodziło biedniatko przez dwa miesiące za gospodynią na Gąsieniców potok i nazad z nią wracało. W chacie wyskakiwało na nalepę i tam spokojnie leżało. Skoro zaś nadszedł żebrak odmawiający głośno pacierz lub jaki inny obcy człowiek, uciekało za piec. Gdy gaździna poszła bez niego w pole, skokło (hipło) z nalepy na ławę pod okno, patrzyło smutnie przez nie na dwór i żałośnie brzeszczało. Sprzedano je potem na Spisz pod Spady, gdzie je na drugie lato konie na podwórzu stratowały, gdy sobie igrało.

Połowanie na kozice najczęściej było dla kłusowników połączone z największymi niebezpieczeństwami.

I tak przyplacił życiem Wandysa z Jurgowa wyprawę swą na kozice w zimie, gdyż się śnieg pod nim oberwał i spadając w dolinę zasypał go. Bystrzan, patrząc z wierchu Granatu w dolinę, spadł na głowę i byłby się niechybnie zabił, gdyby nie był przypadkiem upadł na własną torbę z żywnością, dostał tylko chwilowego obłędu i chorował potem przez całą zimę. Toż Raj spadł pod Wysoką z turni i potłukł się ciężko, jednak się wyleczył. Sobczak polując na Granacie, poszedł z garnkiem po wodę, a gdy wracał wykielzła mu

noga, zleciał wtył, i ledwie towarzysz zdołał go uchwycić za czuprynę i od śmierci ocalić. Strzelec ścigający kozicę nierozsądnie zapędza się czasem w swej zacieklności na miejsca, skąd ani wprzód, ani wtył ruszyć się nie może. I tak opowiadał Maciej Sieczka, że podkradając się raz na Kościelcu stromą ścianą ku kozicy, drapał się mozolnie po niej do góry. Podczas tego, gdy chwycił się paznogciami turni i podniósł jedną nogę, by nią stanąć na wysterku, skielzła mu się druga, na której się spierał, i tak nagle uwiśł w powietrzu, trzymając się tylko rękami. Wtedy przerażonemu wydał się świat czerwony i snuły mu się barwne koła poprzed oczami. Ochłonawszy nieco ze strachu, usiłował oprzeć nogę o jaką wysterk turni, co mu się też wreszcie udało, uratował się więc od śmierci, a wyszedłszy na bezpieczne miejsce, odmawiał dziękczynne pacierze; mimo to jednak chadzał później na kozice.

Złodzieje zwierzyny niczem nie zasługują na to, aby ich imiona podać pamięci, chyba tem jednym, że wraz z innymi nicponiami tworzą odwrotną, ujemną stronę w uczciwym góralstwie podhalskiem. Pierwsi z zakówian, co poczęli chodzić na kozice, byli Bartek Kasprzak i Jędrzek Gąsienica ze Skibówki. Tych jeszcze dobrze pamiętają... Więcej osławieni złodzieje zwierzyny są następujący: Stach Sieczka z synem Maciejem, Sobek Sobczak z synami Stanisławem i Staszkiem, Jędrzej Gąsienica, Wojciech i Szymon Bachledowie, Jan Błachuta, Jędrzej i Jan Krzeptowscy, inny Jan Krzeptowski (syn Józefa), Stanisław Sobczak, Wojciech Samek, Maciej Raj Gąsienica, Szymon Tatar, Jan Pająk, Majcher Nędza, Jan Jarząbek, Jan Gąsienica, Jędrzej Janosik, Michał Brzega.

O energicznej akcji, ażeby zapobiec dalszemu tępieniu kozic, Nowicki pisze w końcowym rozdziale swej rozprawy, między innymi, co następuje:

Po zwiedzeniu Tatr r. 1866 przeze mnie<sup>1)</sup> i Dra Janotę okazało się dla sprawy ochrony przydatnem ustanowienie zaprzysiężonej w urzędzie powiatowym straży myśliwskiej, któraby złodziejów zwierzyny szczególnie miała na oku. A gdy wskutek rokowań komisji w tej mierze z IP. Edw. Homolaczem, tenże na zaprowadzenie takiej straży ze swego ramienia przyzwolił, powierzono ją w powiecie nowotarskim 6 paźdz. 1866 r. Jędrzejowi Wali i Maciejowi Sieczce i zaprzysiężono ich w tym celu. Otrzymawszy od IP. Homolacza także broń dla własnego bezpieczeństwa, pełnili potem ci strażnicy swój obowiązek przez dwa lata najgorliwiej, a to nietyle dla płacy, jak raczej także z własnego dobrego przekonania. Zabrali w tym czasie kilka oklepców i zwódek, odstawili jednego urgowianina do urzędu, a że niejeden zły zamiar nie został wykonany, ich czujności przypisać należy. Jakoż skrytomysłiwstwo z obawy przed strażą przycichło prawie zupełnie. Na wiosnę tego roku dwór zakopiański wzbronił straży pełnienie dalszej służby w części Tatr zakopiańskiej, poczem za staraniem Komisji przeszła pod rozkazy IP. Adama Uzmańskiego, zacnego zwolennika sprawy ochrony kozic i świstaków, i broni nieustraszenie jego posiadłości od łożących strzelców, czego dowodem odebranie strzelby kilku myśliwym pomimo zaciętego oporu z ich strony.

Ale znaleźli się i tacy, którzy w tej akcji dopatrywali się niewłaściwej uczuciowości, szyderczo natrząsając się z żarliwych obrońców kozicy i świstaka. Tym, co tak myśleli w danej sprawie, Nowicki poświęcił końcowy ustęp swej pracy, brzmiający jak następuje:

---

<sup>1)</sup> Spostrzeżenia poczynione wtedy ogłosiłem w Krakauer Zeitung z d. 10, 11 i 12 września 1866.



Radzimy mu przejechać się do Tatr, zachwycić się ich uroczością, przejść się tam po spiętrzonych turniach skrzesanych i po dolinach halnych dziko głazami zawalonych, doznać na sobie wrażenia, jakie wywołuje grobowa cisza w tem morzu martwych głazów, uczuć się w niem samotnym i uradować potem niespodzianym widokiem ptaszyny halnej, kozicy lub świstaka, a przynajmniej usłyszeniem gwizdu tych zwierząt, a wtedy zrozumie, co miłośników przyrody górskiej może skłaniać do odzywania się za oszczędzaniem onych, pojmie niezawodnie, że te zwierzęta jak on kwiat, co zdobi turnie, stworzone są do ożywiania dzikiej pustyni i nadania jej większego uroku, a wcale nie do zaspokojenia namiętności, przesądów i chciwości.

Opisując niebezpieczeństwa polowania na kozice, zaznaczył Nowicki przy sposobności, że i na wycieczkach naukowych po górach „zdarzają się czasem okropne położenia“:

Pozwolę sobie tutaj opowiedzieć przynajmniej jedno zdarzenie z życia i wycieczek nieodżałowanego botanika naszego ś. p. Jacka Łobarzewskiego, zaszłej z końcem lipca 1854 r. w Beskidzie stryjskim pod połoniną Paraszką nad wsiami Kruszelnicą i Korczynem. Otóż Łobarzewski, ja i lwowski posługacz muzealny Jarolim puściliśmy się w drogę na pomienioną połoninę. U górnej granicy już skarłowaciałych buków Łobarzewski spostrzegł ładne mchy w nader stromym żlebie, osklepionym w wierchu konarami poplątanymi jak kosodrzewina, i koniecznie mu się zachciało je zebrać. Przedzieramy się tedy jak węże przez gęstwinę i włączymy do żlebu. Łobarzewski stanął nade mną, rozparłszy się na wysterkach skalistych ścian żlebu, i zdierał z nich mchy. Ja zaś dla jego bezpieczeństwa stanąłem poniżej, oparłszy się nogami o ściany, a ramionami o konary bukowe. Stanowisko nasze było nader niebezpieczne, gdyż na wypadek wyślizgnięcia się by-

ło można runąć w głęboką przepaść. Łoborzewski rozogniony ciekawymi zdobyczami, jakie mu nastreczył ten nieszczęsny parów, zapomniał śnać o potrzebie nieustannej uwagi, gdyż nagle wskutek nieostrożnego ruchu wyslizgnął się, upadł i zesunął się na moje nogi, na których się zatrzymał. Będąc wogóle usposobienia dość trwożliwego, upadkiem swym tak się przeraził, że nie miał mocy poruszenia się, co w tym razie dla nas obu było zbawiennem. Położenie moje było okropne, raz, że zobaczywszy krew sączącą się z niego sądziłem zrazu, że sobie głowę rozbił, gdy tymczasem przeciął tylko rękę, powtóre, że sam musiałem wyteżyć wszystkie moje siły, aby się utrzymać na nogach i nie runąć razem z nim w otchłań. Póki życia mego, nie zapomnę tych chwil przykrych. Wołanie moje na Jarolima o pomoc było zrazu daremne, gdyż botanizując na połoninie, znacznie się od nas oddalił. Gdy nas atoli zbyt długo nie było widać, powrócił ku nam, widział bowiem, jakżeśmy do parowu wchodzili. Usłyszawszy mnie wołającego, zaraz przybył i przy jego pomocy udało się nam wynieść Łoborzewskiego z parowu na połoninę.

Ktoby tedy z naszych czytelników przeglądając przypadkiem zielnik ś. p. Łoborzewskiego, znajdujący się obecnie w muzeum Włodz. hr. Dzieduszyckiego, spostrzegł tam mchy, niechaj wspomni, z jakim niebezpieczeństwem zebrane zostały.

W rok po ukazaniu się w *Prze gl ą d z i e P o l s k i m* tej monografii zoologicznej o Kozicy prof. Nowicki ogłosił w „książce zbiorowej“, zatytułowanej *Kł o s y i k w i a t y*<sup>1)</sup> zajmującą rozprawę p. t. *Nieprzyjaciele kozic tatrzańskich, niszczenie ich i różne sposoby łowów*. Określił ją w podtytule, jako „wyjątek

<sup>1)</sup> Kraków, 1869, w drukarni W. Kirchmajera.

z obszerniejszej pracy“, przez którą niewątpliwie należało mieć na myśli jego studjum o Kozicy. Okazuje się jednak, iż nie wszystko, co się znalazło w tym obszernym wyjątku, weszło do tej „obszerniejszej pracy“. Co pewna, iż jak w pierwszej tak i w drugiej rozprawie, kozicy poświęconej, Nowicki oparł się z jednej strony głównie na pisarzu szwajcarskim, Tschudi'm, z drugiej zaś na opowiadaniach Wali i Sieczki, nie bez współudziału w tem prof. Janoty. Stąd częste wzmianki o nich w obu pracach.

„Głównym nieprzyjacielem i tępicielem kozic jest człowiek“: tak się zaczyna studjum Nowickiego. Głównym, ale nie jedynym. W każdym razie jest on dla nich niebezpieczniejszym od niedźwiedzia, od wilka, od orła, od rysia, od psa owczarskiego.

Kozice bardzo psów się boją, są bowiem więcej przez nich ścigane, aniżeli sarny, a przedewszystkiem są psy niebezpieczne dla młodych kozłąt. Wala miał pieska kurlandzkiego, który, wykradłszy się z domu, szedł za nim w szczyty. Zwiwszy kozice, pędziła bieda jakby opętany ku nim i gonił dopóki mógł, co sam raz widziałem na własne oczy. Z Wołoszyna przypatrywałem się z Walą pasącym się kozicom. Wala, znając zapalczywość swego pieska i ostry węch jego, schował go do torby, aby nam nie popsuł widowiska. Gdy zaś kierunek wiatru się zmienił, a kozy nas poczuły i zaczęły uciekać, wstaliśmy z zasadzki, a Wala wypuścił pieska, który w jednej chwili zwiwszy kozice, popędził gdyby strzała za nimi. Goniąc zwałiskami skał, to zniknął pośród nich, to znów wychodził najaw, i tak gonił za kozicami niewiadomo jak długo i dokąd, bo się

potem nie wrócił do nas, lecz pobiegł do domu... Kozice, napastowane od psów, bronią się im różkami, których ostrym końcem brzuch im rozrywają.

Niebezpiecznym nieprzyjacielem kozic, zwłaszcza młodych, jest orzeł. Tak np. znaleziono na Miękuszwowieckiej dwurocznego capiorka zabitego od orła; w Walentkowej widziano znowu kośćiec kozicy całkiem odziobany, a pod Świnnicą od strony Pięciu Stawów natrafił dr. Janota kości z kozicy, zapewne także przez orła zabitej.

Sieczka podybał także raz wetulę właśnie co pokonaną przez orła. Ślady pazurów na jej ciele przy łopatkach, a między nimi aż do kości wydziobana dziura tak wielka, iż pięśćby w nią wlaża, naprowadziły na domysł, że biedaczka była srodze prześladowaną, co też i to potwierdziło, że uciekając mocno farbowała, a goniąc naosłep, złamała limbkę na drodze wywróconą od wiatru. Zapewne więc pędziła z orłem na sobie aż pod kosodrzewinę,<sup>1)</sup> gdzie padła trupem. Sieczka obaczywszy nieopodal orła siedzącego, powziął przekonanie, że to tego rabusia sprawka; nieżywa wszakże wetuła nie była jeszcze odeń nadjedzona, gdyż po dopiero co dokonaniem morderstwa nie miał on jeszcze czasu raczyć się swą ofiarą, a może mu w tem Sieczka przeszkodził.

Obszernie opisawszy najrozmaite sposoby polowania w Tatrach na kozicę, Nowicki kończy rzecz w ten sposób:

<sup>1)</sup> Przy tej sposobności Nowicki notuje ciekawe podanie o kosodrzewinie. „Według podania gminnego kosodrzewina za karę skarłowaciała, ponieważ z niej zrobiono krzyż, na którym Chrystus został przybity. Krzyż przydrozny, Boża Męka, nazywa się *ci er pi a ł k ą*“.

Ostatecznie wracają strzelcy z polowania do domu. Gdy im szczęście posłużyło i ubili kozicę jedną lub więcej, natenczas sprawiają w domu radośniki czyli ucztę, używając do tego wnętrzości kozicy, niezjedzonych na polowaniu. Gotują je najprzód w wodzie, a potem smażą na panewce w uskwarzonym łoju kozicy. Grono rodziny i kmiotków sproszonych spożywa wśród wesołej gawędy te kąski dziczyzny, chwając sobie, że są lepsze, niż z owcy lub krowy. Zjadłszy, patrzą sobie biesiadniki nawzajem w zęby i usta, dziwiąc się, że łój się na tych prędeż zsiada, zanim go zetrą rękawem koszuli. Gdy się goście rozejdą, skrytostrzelec rozmyśla nad tem, gdzie i jakby sprzedać łup.

Jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Nowickiego, tak i ta rozprawka o Nieprzyjaciołach kozic jest małym arcydziełkiem literackim, jako forma i kunszt pisarski.

KONIEC.



BADAŃ I  
BIBLIOTEKA  
30-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63







<http://rcin.org.pl>



F

18.607

2